

Feeria  
young

KASIE WEST

CHŁOPAK

Z  
INNEJ BAJKI

KASIE WEST

# CHŁOPAK

Z  
INNEJ BAJKI

PRZEKŁAD:  
JAROSŁAW IRZYKOWSKI

Feeria  
young

Tytuł oryginału: Distance Between Us

Przekład: Jarosław Irzykowski

Opieka redakcyjna: Maria Zalasa

Redakcja: Grzegorz Krzymianowski

Korekta: Bronisław Grzywacz

Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Norbert Młyniczak

Projekt okładki: Torborg Davern

Zdjęcie na okładce: © Robert Swiderski / Trevillion Images

Copyright © 2013 by Kasie West

Copyright for Polish edition and translation © Wydawnictwo JK, 2017

Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część tej publikacji nie może być powielana ani rozpowszechniana za pomocą urządzeń elektronicznych, mechanicznych, kopiujących, nagrywających i innych, bez uprzedniego wyrażenia zgody przez właściciela praw.

ISBN 978-83-7229-669-6

**Wydawnictwo JK**

Wydawnictwo JK, ul. Krokusowa 3,

92-101 Łódź tel. 42 676 49 69 [www.wydawnictwofeeria.pl](http://www.wydawnictwofeeria.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie [Zecer](#).

# Rozdział 1

**W**ypalam oczami dziurę w kartce. Powinnam to wiedzieć. Zwykle bez trudu rozwiązuję równania, ale w tym przypadku mam problem z odpowiedzią. Dzwoni dzwonek nad drzwiami. Szybko wpycham pod ladę zadanie domowe i podnoszę głowę. Wchodzi koleś z telefonem komórkowym przy uchu.

To coś nowego..

Nie to, że z telefonem, ale że koleś. Nie żeby faceci nieczęsto odwiedzali sklep z lalkami... Chociaż w sumie to tak. Faceci nieczęsto odwiedzają nasz sklep. Rzadko się ich tu widuje. Kiedy już wchodzi, to wloką się za płcią piękną i sprawiają wrażenie wybitnie onieśmiałonych... lub znudzonych. Ten tutaj nie należy do żadnej z tych kategorii. Jest niewątpliwie sam i wydaje się pewny siebie. Ma ten rodzaj pewności siebie, który można jedynie kupić. Za grube pieniądze.

Uśmiecham się lekko. W naszym miasteczku nad oceanem istnieją dwa typy ludzi: bogacze i ci, u których bogacze kupują. Posiadanie pieniędzy wiąże się najwidoczniej z kolekcjonowaniem bezużytecznych bibelotów, choćby porcelanowych lalek (choć w obecności mamy nigdy bym nie użyła w odniesieniu do lalek przymiotnika „bezużyteczny”). Bogacze nieustannie dostarczają nam rozrywki.

– Jak to chcesz, żebym ja wybrał? – mówi do telefonu Paniczyk. – Babcia nie powiedziała ci, którą chce? – Wzdycha przeciągle. – Dobra. Zajmę się tym. – Chowa telefon do kieszeni i przyzywa mnie skinieniem. Właśnie tak.

Tylko takim słowem potrafię opisać ten gest. Nawet nie spojrział w moją stronę, jedynie wyciągnął rękę i poruszył dwoma palcami w swoim kierunku. Drugą ręką wciąż jeszcze pociera podbródek, przypatrując się lalkom, które ma przed sobą.

Podchodząc, obcinam go wzrokiem. Niewprawne oko mogłoby nie wyłapać bogactwa, którym ten koleś ocieka, ja jednak potrafię się poznać na zamożności, a od niego nią jedzie na kilometr. Jeden komplet jego ubrań kosztuje zapewne więcej niż wszystkie ciuchy w mojej ciasnej szafie. Nie żeby wyglądały na tak drogie. To taki ubiór, który stara się udawać tańszy, niż jest w istocie: bojówki i różowa koszula zapinana na guziki, z podwiniętymi teraz rękawami. Tyle tylko, że te ciuchy zostały kupione gdzieś, gdzie specjalizują się w dbałości o gęstość wątku i w potrójnych szwach. Wyraźnie widać, że chłopak, gdyby zechciał, mógłby wykupić cały sklep. No dobra, nie on, ale jego rodzice. W pierwszej chwili nie rzuciło mi się to w oczy, bo pewność siebie dodawała mu lat, ale teraz, będąc bliżej, widzę, że jest młody. Może mój rówieśnik? Siedemnastolatek. Chociaż może też być o rok starszy. Jak ktoś w moim wieku może mieć taką wprawę w przyzywaniu skinieniem? Dzięki żywotowi człowieka uprzywilejowanego, bez dwóch zdań.

– Czy mogę w czymś pomóc? – Jedyne moja mama usłyszałaby wkomponowany w to pytanie sarkazm.

– Tak, szukam lalki.

– Przykro mi, wszystkie jesteśmy zajęte. – Wielu ludzi nie łapie mojego poczucia humoru. Mama nazywa je drętwym. Sądzę, że ma to oznaczać humor „nieśmieszny”, ale oznacza też, że tylko ja poznaję się na swoich żartach. Może gdybym się z nich śmiała, tak jak robi to mama, pomagając klientkom, więcej osób by się bawiło, ale na to nie potrafię się zdobyć.

– Zabawne – odpowiada, choć pewnie wcale tak nie uważa, raczej wolałby, żebym się w ogóle nie odzywała. Jeszcze na mnie nie spojrział. – To która

z nich, twoim zdaniem, spodobałaby się starszej kobiecie?

– Wszystkie.

Drgają mu mięśnie szczęki, a potem odwraca się do mnie. Przez ułamek sekundy widzę w jego oczach zaskoczenie, jakby spodziewał się zobaczyć kogoś starszego – to wina mojego głosu, odrobinę niższego niż u innych nastolatków – ale to nie powstrzymuje go od wypowiedzenia pytania, które już ciśnie mu się na usta:

– A która tobie się podoba?

Czy mogłabym odpowiedzieć „żadna”? Choć z tym sklepem nieodwołalnie związana będzie moja przyszłość, stanowi on oczko w głowie mamy, a nie moje.

– Mam słabość do tych wiecznie lamentujących.

– Słucham?

Pokazuję mu porcelanową wersję niemowlaka, z ustami otwartymi w bezgłośnym krzyku i mocno zaciśniętymi powiekami.

– Wolę nie widzieć ich oczu. Oczy tak wiele mówią. A w ich przypadku: „Pragnę skraść ci duszę, więc nie odwracaj się do mnie plecami”.

Nagrodą za to jest uśmiech odbierający jego twarzy całą arogancję, dzięki czemu chłopak okazuje się bardzo przystojny. Zdecydowanie powinien zainstalować go sobie na stałe. Tyle że zanim pomyślę to do końca, uśmiech znika.

– Zbliżają się urodziny mojej babci i muszę wybrać dla niej jakąś lalkę.

– Nie da się wybrać źle. Jeśli lubi porcelanowe lalki, spodoba jej się każda z nich.

Znów patrzy na półki zastawione lalkami.

– Dlaczego te lamentujące? Czemu nie śpiochy? – Przygląda się pogodnemu bobaskowi z różową kokardą wśród jasnych kędziorów, rączkami wsuniętymi pod policzek i buźką, na której maluje się spokój.

Ja też przypatruję się tej lalce i porównuję z siedzącą obok krzykaczką. Ta akurat ma zaciśnięte piąstki, paluszki u nóg podkurczone, a policzki poróżowiały ze złości.

Ponieważ tym właśnie jest moje życie: bezdźwięcznym krzykiem. No dobra, tak naprawdę nie powiedziałam tego. Jedynie sobie pomyślałam. Słowa, które wypowiedziałam, wzmacniając je wzruszeniem ramion, brzmiały: „Obie się nadadzą”. Bo jeżeli czegoś się nauczyłam na temat klientów, to tego, że tak naprawdę nie zależy im na mojej opinii. Chcą, żeby im mówić, że dobrze wybrali. Dlatego więc, skoro Paniczyk chce sprawić babci śpiącego bobaska, to jakie mam prawo go do tego zniechęcać?

Kręci głową, jakby kasował ten pomysł, a potem wskazuje całkiem inną półkę, zajęta przez zatrwazająco różnorodne lalki. Dziewczynka, którą pokazuje, jest ubrana w szkolny mundurek w szkocką kratę i trzyma na smyczy czarnego teriera szkockiego.

– Myślę, że ta się nada. Ona lubi pieski.

– Kto lubi? Babcia czy... – mrużę oczy, żeby przeczytać napis na plakietce przed lalką – ...Peggy?

– To, że Peggy lubi pieski, jest dość oczywiste – odpowiada chłopak, a na ustach igra mu cień uśmiechu. – Miałem na myśli moją babcie.

Otwieram dolne szafki, żeby znaleźć pudełko od Peggy. Wyjmuję je i ostrożnie zdejmuję z półki tę dziewczynkę z pieskiem, a także plakietkę z imieniem, i niosę do kasy. Kiedy to wszystko starannie pakuję, Paniczyk docieka:

– Jak to jest, że ten pies nie ma imienia? – Czyta na głos napis na pudełku. – Peggy z psem.

– Dlatego że ludzie wolą zwierzakom nadawać imiona swoich pupilków.

– Naprawdę?

– Nie. Nie mam pojęcia dlaczego. Jeśli to takie ważne, mogę dać numer do

twórcy Peggy.

- Masz numer telefonu twórcy tej lalki?
- Nie. – Nabijam na kasie cenę i wciskam „Razem”.
- Ciężko cię rozgryźć – mówi.

Czemu próbuje mnie rozgryzać? Rozmawialiśmy o lalkach. Wręcza mi kartę kredytową, przejeżdżam nią więc przez terminal. Z karty wynika, że to „Xander Spence”. Xander wymawiany jak „Zander” czy jak „Ksander”? Ale nie będę pytać. Tak naprawdę nie obchodzi mnie to. I tak byłam dość miła. Po takiej wymianie zdań mama, nawet gdyby tutaj była, oszczędziłaby mi pouczeń. Moja mama o wiele lepiej ode mnie radzi sobie z ukrywaniem niechęci. Nawet przede mną ją skrywa. Uważam, że to kwestia lat praktyki.

Dzwoni jego komórka, wyjmuję ją więc z kieszeni.

– Słucham?

Czekając, aż kasa wypluje wydruk, otwieram szufladę pod nią i dokładam plakietkę z imieniem do reszty sprzedanych w tym miesiącu. To ułatwia nam zapamiętanie, które lalki trzeba będzie domówić.

– Tak, już wybrałem. Jest z psem. – Chwilę słucha. – Nie. Nie jest psem. Jest z psem. Ta lalka ma psa. – Obraca pudełko i przygląda się podobnie Peggy, bo sama Peggy jest już bezpiecznie zamknięta w środku. – Uważam, że jest ładna. – Spogląda na mnie i wzrusza ramionami, jakby pytał, czy się z nim zgodzę. Kiwam głową. Peggy zdecydowanie jest ładna. – Tak, potwierdziła to ekspedientka. Ona jest ładna.

Wiem, że nie chodziło mu o to, że to ja jestem ładna, ale przez podkreślenie tego „ona” trochę tak to zabrzmiało. Spuszczam wzrok i odrywam wydruk, a potem podaję mu długopis, żeby złożył podpis. Robi to jedną ręką, ja porównuję jego podpis z tym na karcie, po czym mu ją oddaję.

– Nie, nie o to... To znaczy, ona też, ale... Oj, wiesz, co chciałem



powiedzieć. Wszystko gra. Niedługo będę w domu. – Wzdycha. – Tak, miałem na myśli to, że po cukierni. Przypomnij mi, żebyśmy następnym razem, kiedy twoja asystentka będzie brała sobie wolne, gdzieś nawiał. – Mocno zaciska powieki. – Nie tak to miało zabrzmieć. Tak, oczywiście, dzięki temu wszystko bardziej doceniam. Okej, mam. Do zobaczenia niedługo. Pa.

Podaję mu lalkę już w torbie.

– Dziękuję za pomoc.

– Nie ma sprawy.

Bierze ze stojaka przy kasie wizytówkę i przez chwilę ją studiuje.

– Dużo więcej?

Sklep nazywa się Lalki i Dużo Więcej. Zadaje to samo pytanie co wszyscy, którzy tu wchodzili przed nim i widzieli tylko lalki. Potakuję.

– Lalki i dużo więcej lalek.

Przekrzywia głowę.

– Miałyśmy jeszcze bransoletki z zawieszkami, pluszaki i takie tam, ale lalki okazały się zazdrosne.

Patrzy na mnie tak, jakby chciał zapytać: „Ty tak na serio?”. Widocznie podczas swoich wypraw typu „zstąp między zwykłych ludzi, a bardziej docenisz swoje życie” nie spotkał jeszcze kogoś takiego jak ja.

– Domyślam się, że lalki zagroziły ci skradzeniem duszy, jeśli nie spełnisz ich żądań.

– Nie. Groziły, że uwolnią dusze dotychczasowych klientów. Na to nie mogłyśmy pozwolić.

Wybuchają śmiechem, co mnie zaskakuje. Czuję się tak, jakbym osiągnęła coś, co udało się niewielu innym, i sama też uśmiecham się wbrew sobie.

Ruchem głowy wskazuję wizytówkę.

– Mama najbardziej lubi lalki. Zmęczyły ją już myszy wypychane rajstopami. – Poza tym przestało nas być stać na dodatkowy towar. Z czegoś

trzeba było zrezygnować i nie mogły to być lalki. A skoro trwamy w stanie nieustającej plajty (mając jedynie tyle pieniędzy, żeby to dalej ciągnąć), nazwa sklepu i wizytówki pozostały bez zmian.

Chłopak stuka palcem w wizytówkę.

– Susan? To mama?

Bo na wizytówce jest tylko tyle, jej imię, a zaraz potem numer telefonu sklepu, jakby była jakąś striptizerką czy kimś takim. Zawsze kulę się w sobie, ilekroć wręcza komuś tę wizytówkę poza sklepem.

– Tak jest.

– A ty to...? – Patrzy mi w oczy.

– Jej córka. – Wiem, że pytał mnie o imię, ale nie zamierzam go podawać. Pierwszą rzeczą, jakiej nauczyłam się o bogaczach, było to, że uważają zwykłych ludzi za zabawne urozmaicenie życia, ale nigdy, absolutnie nigdy, nie chcą mieć z nimi nic wspólnego. I mnie to pasuje. Bogacze to inny gatunek ludzi, który obserwuję jedynie z bezpiecznej odległości. Nie wchodzę z nimi w interakcje.

Odkłada wizytówkę i cofa się o kilka kroków.

– Wiesz może, gdzie tu jest Cukiernia Eddiego?

– Dwie przecznice dalej w tamtą stronę. Ale proszę uważać. Faszerują muffinki z jagodami jakąś substancją uzależniającą.

Kiwa głową.

– Zapamiętam.

## Rozdział 2

**N**ie, nie sprzedajemy lalek Barbie, tylko porcelanowe – mówię do słuchawki po raz piąty. Kobieta nie słucha. Nawija o tym, że jej córka nie przeżyje, jeśli nie dostanie królowej wrózek. – Rozumiem. Może nich pani sprawdzi w Walmarcie.

– Byłam. Wykupione. – Mamrocze coś o tym, że uważała nas za sklep z lalkami, i się rozłącza.

Odkładam słuchawkę i przewracam oczami, ale Skye tego nie zauważa, bo leży na podłodze, trzymając w górze naszyjnik i patrząc, jak się nad nią kołysze.

Skye Lockwood to moja najlepsza i jedyna przyjaciółka. Nie żeby ludzie w moim liceum byli wredni czy coś. Po prostu nie pamiętają, że istnieję. Nietrudno o to, jeśli wychodzi się przed obiadem i nigdy nie bierze udziału w życiu towarzyskim.

Skye jest o kilka lat starsza ode mnie i pracuje w sklepie obok, gdzie rzeczywiście mają „dużo więcej”. To antykwariat znany jako Ukryte Skarby, a przeze mnie nazywany Oczywistym Chłamem. Inni jednak uwielbiają ten sklep.

Z punktu widzenia nauki, gdyby Skye była nosicielem, mnie należałoby uznać za jej pasożyta. ona ma swoje życie, ja udaję, że też nim żyję. Innymi słowy, ona pewne rzeczy – muzykę, eklektyczne wintażowe ciuchy i szalone fryzury – autentycznie lubi, więc ja też udaję, że mnie to interesuje. Nie chodzi o to, że tak naprawdę to tego wszystkiego nie znoszę, po prostu te sprawy mnie

nie obchodzą. Ale Skye lubię, czemu więc nie brać z niej przykładu? Zwłaszcza że nie mam pojęcia, co rzeczywiście mi się podoba.

Przechodząc nad nią, wzdycham.

– Znalazłaś już odpowiedzi na kluczowe pytania w życiu? – Skye często wykorzystuje podłogę naszego sklepu do filozoficznych wędrówek (to taki fikuśny synonim „wewnętrznych rozterek”).

Z jękiem zasłania sobie ramieniem oczy.

– Co takiego mogłabym studiować, gdybym poszła na uniwersytet? – Gdyby to od niej zależało, do końca życia pracowałaby w sklepie z upominkami, ale do studiów wielką wagę przywiązuje jej ojciec, który przez ich brak został tylko przedsiębiorcą pogrzebowym.

– Biadolenie?

– Ha, ha. – Podnosi się do pozycji siedzącej. – A co ty byś studiowała?

Zero pomysłów.

– Długofalowe skutki filozoficznych wędrówek.

– A nie sarkazm stosowany?

– Dam głowę, że w tej dziedzinie już zasługuję na dyplom.

– Ale tak na poważnie, na jakie studia chcesz iść?

Strasznie często słyszę: „Ale tak na poważnie”, „Mówmy serio” lub „Tak naprawdę”. Po takich zwrotach oczekuje się poważnych odpowiedzi. A ja nie mam ochoty takich udzielać.

– Niezbyt się nad tym zastanawiałam. Sądzę, że najpierw trochę sobie postudiuję „bezkierunkowo”.

Skye znów się kładzie.

– Możliwe, że i ja tak zrobię. Może jak pójdziemy na studia, objawią się nam nasze właściwe ścieżki. – Siada nagle, bo coś zapało jej dech.

– Co znowu?

– Powinnyśmy razem pójść na studia! Za rok. Ty i ja. Byłoby niesamowicie.

Milion razy jej powtarzałam, że ani myślę w przyszłym roku iść na studia. Moja mama byłaby przeciwna takiemu planowi (i dlatego go jeszcze nie zna), ale po szkole zamierzam zrobić sobie rok lub dwa przerwy, poświęcając cały czas na pomaganie w sklepie. Skye jednak wydaje się tak zachwycona, że mogę się tylko uśmiechnąć i niezobowiązująco skinąć głową.

Skye zaczyna nucić ułożoną na poczekaniu piosenkę.

– Ja i Caymen, my razem na studiach. Właściwe ścieżki odkryć nam się uda... – Jej głos cichnie i przechodzi w radosny pomruk, a cała Skye znów zalega na podłodze.

Para dziewczynek, która niedawno od nas wyszła, wszystkiego podotykała. Mama utrzymuje, że ludziom łatwiej jest się zakochać w lalkach, których imiona znają. Dlatego przed każdą z nich umieszczamy plakietkę. Teraz te wizytóweczki są kompletnie przemieszane, poprzesztawiane i przewracane na płask. A naprawdę niewesoło jest mieć świadomość, że plakietka z imieniem Bethany stoi teraz przed Susie. Serio. Niewesoło. I to bardzo.

Dzwoni telefon Skye.

– Halo...? Nie. Jestem w Małym Sklepiku z Horrorami. – Tak właśnie nazywa mój sklep.

Przez chwilę panuje cisza, potem odpowiada:

– Nie wiedziałam, że przyjdiesz. – Podnosi się i opiera o ladę. – Naprawdę? Kiedy? – Okręca wokół palca kosmyk włosów. – Widocznie byłam podczas tego występu z lekka przymulona. – Głos Skye pasuje do jej imienia. Jest jasny i pogodny, a dzięki temu wszystko, co wychodzi z jej ust, brzmi słodko i niewinnie. – A więc jeszcze tu jesteś? – Obchodzi kołyski dla lalek i stoły z kocykami, żeby zbliżyć się do frontowego okna i przez nie wyrzucić. – Widzę cię. Jestem tuż obok, w sklepie z lalkami. Zajrzyj tu. – Chowa telefon.

– Kto to?

– Mój chłopak.

– A więc chłopak. Czy to znaczy, że w końcu go poznam?

Uśmiecha się.

– Tak, zaraz się przekonasz, czemu od razu się zgodziłam, kiedy w zeszłym tygodniu zaprosił mnie na randkę. – Otwiera drzwi tak szeroko, że dzwonek prawie zlatuje z haczyka. – Hej, kochanie.

On bierze ją w ramiona, potem ona odsuwa się na bok.

– Caymen, to Henry. Henry, to Caymen.

Nie wiem, czy patrzyłam wystarczająco uważnie, ale zdecydowanie nie tak znów wiele zobaczyłam. Jedynie chudzielca z przetłuszczonymi długimi włosami i spiczastym nosem. Z okularami słonecznymi zawieszonymi na wycięciu koszulki z wizerunkiem jakiejś kapeli i z sięgającym do kolan łańcuchem, którego jeden koniec przyczepiony jest do szlufki przy klamrze pasa, a drugi znika w tylnej kieszeni. Bezwiednie liczę, ile kroków zajęło mu przejście ze sklepu Skye do mojego i ile razy w tym czasie łańcuch obił mu się o nogę.

– Ctam? – pyta. Powaga. Tak właśnie powiedział.

– Hm... Nic?

Skye posyła mi szeroki uśmiech mówiący: „Wiedziałam, że ci się spodoba”. Ta dziewczyna doszukałaby się wybitnych zalet nawet u zmokłej kury, chociaż sens tego skojarzenia jeszcze mi się wymyka. Skye jest piękna. Niekonwencjonalnie. Zasadniczo ludzie na jej widok stają jak wryci, bo przede wszystkim oszołamia ich oglądanie nierówno ściętych jasnych włosów o różowych końcówkach, kolczyka z diamencikiem w brodzie i szalonych ciuchów. I nie mogą się napatrzeć, bo jest uderzająco piękna, o przenikliwych niebieskich oczach i rysach twarzy, o jakich można tylko marzyć.

Henry robi teraz rundkę po sklepie, oglądając po kolei wszystkie lalki.

– Uuu, odlot.

– Prawda? W pierwszej chwili odrobinę przytłacza.

Rozglądam się. Rzeczywiście, w pierwszej chwili przytłacza. Lalki, eksplozja kolorów i charakterów, przesłaniają niemal każdy centymetr ścian. I wszystkie się na nas gapią. Nie tylko ze ścian, bo podłoga jest labiryntem wyznaczanym przez stoły, kołyski i wózeczki przeładowane lalkami. W razie pożaru nie byłoby bezpośredniego dojścia do drzwi. Uciekając, musiałabym roztrącać niemowlaki. Sztuczne niemowlaki, ale zawsze.

Henry podchodzi do lalki ubranej w kilt.

– Aislyn – odczytuje jej imię z plakietki. – Też mam taki strój. Powiniennem sobie sprawić tę lalkę i moglibyśmy razem jeździć w trasy.

– Grasz na dudach? – pytam.

Przygląda mi się dziwnie.

– Nie. Szyję na gitarze w Zrzędliwych Ropuchach.

Tu cię mam. Oto powód, dla którego Skye z nim kręci. Ma słabość do muzyków. Chociaż stać ją na kogoś lepszego od gościa wyglądającego tak, jakby to jemu zawdzięczała nazwę kapela, w której gra.

– Haj, gotowa jesteś?

– No.

Haj? Muszę ją o to zapytać.

– Narka, Kajman – mówi Henry i tak rechocze, jakby czekał na to od chwili, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni.

A więc już nie muszę pytać o Haj. Ten typ tak ma. Ekspresowy Nadawacz Ksywek.

– Cześć, Henry. – Czy raczej Zrzędliwa Ropucho.

Ledwie wyszli frontowymi drzwiami, tymi od zaplecza wchodzi moja mama. Niesie naręcze zakupów.

– Caymen, zostało jeszcze kilka toreb, przyniesiesz? – Kieruje się od razu na schody.

– Mam zostawić sklep? – Pytanie wydaje się durne, ale ona jest szczególnie wyczulona na kwestię porzucania stanowiska sprzedaży. Po pierwsze dlatego, że lalki są drogie i kradzież którejkolwiek z nich byłaby grubszą sprawą. A nie mamy w sklepie żadnych kamer czy alarmów – utrzymanie ich zbyt wiele kosztuje. Po drugie, moja mama przywiązuje wielką wagę do obsługi klientów. Gdy ktoś wchodzi, nie powinnam zwlekać nawet sekundy z powitaniem.

– Tak. Proszę – mówi, ledwie dysząc. Mamie, królowej jogi, brakuje tchu? Czyżby wróciła z joggingu?

– Okej. – Zerkam w stronę drzwi frontowych, żeby się upewnić, że nikt nie nadchodzi, a potem wybiegam tylnymi i zabieram resztę zakupów. Gdy już jestem z nimi na górze, daję krok nad torbami, które mama zostawiła tuż za progiem, a potem kładę te swoje na blacie naszej kuchni o wymiarach jak z domku dla lalek. Bo tak naprawdę to one stanowią treść naszego życia. Lalki. Sprzedajemy je. Mieszkamy w domku przeznaczonym dla nich... A przynajmniej w jego dostosowanym do potrzeb ludzi odpowiedniku: z trzema pokojami, łazienką i miniaturową kuchnią. Jestem przekonana, że głównie tej ciasnocie zawdzięczamy to, że jesteśmy sobie z mamą tak bliskie. Zaglądam za ścianę i widzę mamę leżącą jak długa na kanapie.

– Dobrze się czujesz, mamo?

Siada prosto, ale nie wstaje.

– Tylko się zmęczyłam. Rano wstałam wyjątkowo wcześnie.

Zaczynam wypakowywać zakupy, wkładam do zamrażarki mięso i mrożony sok jabłkowy. Kiedyś spytałam mamę, czy mogłybyśmy kupić sok w butelce, i usłyszałam, że jest za drogi. Miałam sześć lat. Wtedy po raz pierwszy – i zdecydowanie nie po raz ostatni – uświadomiłam sobie, że jesteśmy biedne.

– Kochanie, nie zwracaj sobie głowy rozpakowywaniem. Za chwilę to



zrobię. Mogłabyś zejść do sklepu?

– Pewnie. – Wychodząc, przenoszę jeszcze na blat torby, które zostawiła na podłodze. Na schodach cały czas kołacze mi się po głowie, że wychodząc rano do szkoły, widziałam, że mama jest jeszcze w łóżku. Jak to się ma do tego „wstania wyjątkowo wcześnie”? Oglądam się przez ramię na stromiznę schodów, korci mnie, żeby zawrócić i ją zdemaskować.

Ale nie robię tego. Zajmuję swoje miejsce przy kasie, wyciągam lekturę z angielskiego i odrywam od niej oczy dopiero na dźwięk dzwonka przy drzwiach frontowych.

## Rozdział 3

**W** drzwiach pojawia się jedna z moich ulubionych klientek. To starsza pani, ale błyskotliwa i zabawna. Jej włosy mają kolor ciemnej czerwieni, czasem wpadającej w fiolet, w zależności od tego, jak dawno temu były farbowane. I zawsze, choćby na zewnątrz panował największy upał, nosi szal. Jesienna pogoda uzasadnia niekiedy noszenie szali, a ten dzisiejszy jest jasnopomarańczowy w fioletowe kwiaty.

– Caymen – uśmiecha się do mnie.

– Dzień dobry, pani Dalton.

– Twoja mama jest tu dzisiaj, skarbie?

– Jest na górze. Mam ją zawołać czy jakoś mogę pani pomóc?

– Czekam na zamówioną lalkę i ciekawa jestem, czy już przyszła.

– Pozwoli pani, że sprawdzę. – Z szuflady pod kasą wyciągam skoroszyt, w którym notujemy zamówienia. Dość łatwo znajduję nazwisko pani Dalton, bo wpisów jest tam tylko kilka, z czego większość związana z nią. – Wygląda na to, że ma przyjść jutro, ale proszę poczekać, to się upewnię, żeby nie musiała pani przychodzić na próżno. – Dzwonię i dowiaduję się, że lalka przyjdzie jutro po południu.

– Przepraszam, że zawracałam ci głowę. To samo powiedziała mi twoja mama. Mimo to robiłam sobie nadzieję. – Uśmiecha się. – To prezent dla mojej wnuczki. Za kilka tygodni ma urodziny.

– Super. Na pewno będzie zachwycona. Ile lat skończy ta szczęśliwa dziewczynka?

– Szesnaście.

– Aha. Ta szczęśliwa dziewczyna. – Nie wiem, co tu dodać, żeby nie zabrzmiało niegrzecznie.

Pani Dalton się śmieje.

– Caymen, nie przejmuj się. Mam dla niej i inne prezenty. Ten podarek jest bardziej po to, żeby dogodzić jej babci. Ofiarowuję jej lalki na każde urodziny, odkąd skończyła roczek. I choć dorasta, ciężko mi zerwać z tą tradycją.

– Moja mama jest pani za to wdzięczna.

Pani Dalton znów się śmieje. Trafiają do niej moje żarty. Może dlatego, że sama też bywa odrobinę sarkastyczna.

– To jedyna dziewczyna wśród moich wnuków, więc okropnie ją rozpuszczam.

– A co tradycyjnie dostają chłopcy?

– Kopniaka na szczęście.

– No, rzeczywiście wspomniała tradycja. Myślę jednak, że im też powinna pani dawać na urodziny lalki. Mogą się czuć pomijani.

– Może spróbuję – mówi ze śmiechem. Ze smutkiem przygląda się leżącemu na ladzie skoroszytowi, jakby żałowała, że data nie może się w magiczny sposób zmienić, a jej lalka być już do odbioru. Rozpina torebkę i zaczyna w niej grzebać. – Jak się miewa Susan?

Wypowiedziane głośno imię mamy sprawia, że oglądam się za siebie, sprawdzając, czy nie schodzi ona po schodach.

– Dobrze.

Wyjmuje czerwony notesik i zabiera się do kartkowania.

– Jutro po południu, powiedziałaś?

Kiwam głową.

– O nie, to nie wypali. Mam umówionego fryzjera.

– Nie ma sprawy. Przechowamy ją na zapleczu, dopóki pani nie przyjdzie. Będzie do odbioru w środę lub innego dnia w tym tygodniu. Kiedy najbardziej pani pasuje.

Bierze z lady czarny długopis i zapisuje coś w notesie.

– Mogłabym kogoś po nią podesłać. Czy jest taka możliwość?

– Oczywiście.

– Na imię mu Alex.

Dopisuję do terminu odbioru imię Alex.

– Doskonale.

Chwyta mnie za rękę i ściska ją obiema dłońmi.

– Caymen, taka dobra z ciebie dziewczyna. Cieszę się, że tak pomagasz mamie.

Zastanawiam się czasem, jak często takie panie rozmawiają z moją mamą. Na ile znają naszą historię. Czy wiedzą o moim ojcu? O rozpuszczonym dzieciaku z bogatego domu, który nawiał, zanim mama skończyła mówić: „Jestem w ciąży. Co teraz zrobimy?”. Jego rodzice nakłonili ją do podpisania papierów, których praktycznie nie zrozumiała i z których wynikało, że nigdy nie będzie się domagać obciążenia go kosztami utrzymania dziecka. Pieniądze, które jej dali, by nie nagłaśniała sprawy, stały się kapitałem założycielskim sklepu z lalkami. I właśnie dlatego absolutnie nie marzę o spotkaniu z tym wzorem ojcostwa. Nie to, żeby on kiedykolwiek do tego dążył.

No dobra, może troszkę marzę. Ale po tym, co zrobił mamie, to nie byłoby w porządku.

Ściskam dłoń pani Dalton.

– Zna mnie pani. Ubiegam się o tytuł Najlepszej Córki Świata. Słyszałam, że w tym roku dodają do niego kubek.

– Sądzę, że już go zdobyłaś – uśmiecha się.

Przewracam oczami. Pani Dalton klepie mnie po rękę, a potem niespiesznie

wychodzi ze sklepu, przyglądając się jeszcze lalkom.

Wracam na stołek i do czytania. Kiedy dochodzi siódma, po raz chyba enty oglądam się na schody. Mama ani razu nie zeszła. To dziwne. Jeśli jest na miejscu, rzadko zostawia mnie na dole całkiem samą. Zamykam sklep, opuszczam rolety i gaszę światła. Potem łapię za plik korespondencji i idę na górę.

W domu fantastycznie pachnie. Gotowaną marchewką i tłuczonymi ziemniakami z sosem.

Mama stoi przy kuchence, mieszając sos. Już mam się do niej odezwać, kiedy mówi:

– Ja wiem. I to jest problem.

Uświadamiam sobie, że rozmawia przez telefon, idę więc do siebie zdjąć buty. W połowie korytarza słyszę, jak mówi:

– Daj spokój. Nie po to mieszkają tutaj, żeby zadawać się z pospólstwem.

Niewątpliwie rozmawia ze swoją najlepszą przyjaciółką. Nie ma pojęcia, że podsłuchałam wiele takich rozmów, ale tak właśnie było. U siebie zrzucam z nóg buty i wracam do kuchni.

– Pięknie pachnie, mamo – mówię.

Aż podskakuje, a potem mówi:

– Właśnie weszła Caymen. Będę kończyć. – Śmieje się z czegoś, co mówi przyjaciółka. Jej śmiech jest jak melodyjna piosenka.

Kuchnia niezbyt toleruje obecność dwóch osób jednocześnie, nieustannie więc atakuje moje biodra i okolice krzyża krawędziami blatów i uchwyty szuflad. Szybko rezygnuję z koncepcji, że obie się tu zmieścimy, i przechodzę wokół blatu do kącika, w którym jemy.

– Przepraszam, że do ciebie nie zeszłam – mówi, odwiesiwszy telefon. – Pomyślałam, że zrobię nam ciepłą kolację. Dawno takiej nie było.

Siadam i przerzucam pocztę, którą przyniosłam.

– To jakaś okazja?

– Nie. Po prostu dla frajdy.

– Dzięki, mam. – Podnoszę różową kopertę z rachunkiem za prąd. Pojęcia nie mam, czemu do ponagleń przypisali kolor różowy. Czy taka właśnie barwa ma głosić światu (a przynajmniej listonoszowi), że „ci tutaj to nieodpowiedzialni nieudacznicy”? Według mnie do takiego komunikatu lepiej pasowałaby żółć rzygowin. – Czterdzieści osiem godzin na zapłatę.

– Brr. Tylko jeden?

– Na to wygląda.

– Okej. Zapłacę później przez internet. Zostaw na blacie.

Żeby osiągnąć blatu, nie muszę nawet wstawać. Od stołu dzieli go mniej niż długość mojej ręki. Mama przynosi dwa talerze parującego jedzonka i jeden stawia przede mną. Jedząc, rozmawiamy.

– Mam, nie powiedziałam ci jeszcze o kolesiu, który wszedł ostatnio do naszego sklepu.

– I co z nim?

– Skinął na mnie.

– Na pewno chciał tylko zwrócić na siebie uwagę.

Jeszcze nie kończę.

– Poza tym nikt go nie nauczył się uśmiechać, a w pewnej chwili nawet się skrzywił.

– Mam nadzieję, że zachowałeś te spostrzeżenia dla siebie. – Bierze na widelec trochę ziemniaków.

– Nie, powiedziałam, że popołudniami oferujesz lekcje uśmiechu. Chyba wpadnie jutro.

Wytrzeszcza oczy, ale wyraźnie dociera do niej, że żartuję, bo choć wzdycha, widzę, jak usiłuje ukryć uśmiech.

– Dzisiaj była znów pani Dalton.

Tę nowinę nagradza prawdziwym uśmiechem.

– W zeszłym tygodniu też była. Zawsze tak przeżywa oczekiwanie na lalkę.

– Wiem. To urocze. – Chrząkam i nie podnosząc wzroku na mamę, kreślę widelcem kręgi w purée.

– Przepraszam, że zostawiłam cię dziś na dole samą. Zakopałam się tutaj w papierach.

– Nic się nie stało.

– Wiesz, jak bardzo cię cenię, prawda?

– Nie za bardzo jest za co. – Wzruszam ramionami.

– Według mnie jest. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

– Sądzę, że miałabyś masę kotów.

– Naprawdę? Uważasz, że byłabym kociarą?

Powoli kiwam głową.

– Tak. Albo zbierałabyś dziadki do orzechów.

– Co takiego? Dziadki do orzechów? Ja nawet nie lubię orzechów.

– Nie trzeba zaraz lubić orzechów, żeby mieć pełno drewnianych lalek o rozdziawionych paszczach.

– Uważasz więc, że bez ciebie miałabym całkiem inny charakter, lubiłabym koty i/lub dziadki do orzechów?

Beze mnie jej życie wyglądałoby całkiem inaczej. Prawdopodobnie poszłaby na studia i wyszła za męża, a rodzice by jej nie wydziedziczyli.

– No tak. Halo. Beze mnie w twoim życiu brakowałoby humoru lub miłości. Byłabyś strasznie smutną kobietą.

Znów się śmieje.

– Święta prawda. – Kładzie widelec na talerzu i wstaje. – Skończyłaś?

– Tak.

Bierze mój talerz i przykrywa nim swój. Mimo to zdążyłam zauważyć, że prawie nic nie zjadła. Szybko zalewa je wodą.

– Mamo, ty gotowałaś. Ja posprzątam.

– Okej, dzięki, słonko. Chyba sobie poczytam przed snem.

Sprzątanie zajmuje mi tylko około dwudziestu minut. Po drodze do pokoju zaglądam do mamy, żeby powiedzieć jej dobranoc. Na piersi ma otwartą książkę, szybko zasnęła. Naprawdę była dziś zmęczona. Możliwie, że tak jak mówiła, wstała wcześniej, żeby popracować czy coś, a potem znów się położyła. Zamykam jej książkę, kładę na szafce i gaszę światło.



## Rozdział 4

**K**iedy następnego dnia po szkole wchodzę do naszego sklepu, zaskakuje mnie widok mężczyzny przy ladzie. Jest ciemno ubrany, ma krótko przystryżoną ciemną brodę, do tego jest opalony. Tak, zdecydowanie dominuje tu ciemna tonacja. Wydaje się nią emanować, a mimo to mama ma na policzkach rumieniec i uśmiecha się. Na dźwięk dzwonka nad drzwiami oboje oglądają się na mnie.

– Cześć, Caymen – mówi mama.

– Cześć.

– To do zobaczenia, Susan – odzywa się ten dziwny gość.

Mama kiwa głową.

On wychodzi, a ja pytam:

– Kto to był? – Wpycham swój plecak pod kasę. – Alex?

– Jaki Alex?

– Gość, który miał odebrać lalkę pani Dalton.

– Ach nie, to po prostu klient.

Pewnie. Przyglądam mu się, jak przechodzi za oknem. Mężczyzna po czterdziestce, bez damskiego towarzystwa miałby być naszym klientem. Już mam to powiedzieć, kiedy mama mówi:

– Cieszę się, że już jesteś. Muszę przed pierwszą nadać trochę rzeczy na pocztę. – Bierze dwie paczki i plik kopert, po czym rusza ku tylnym drzwiom.

– Aha, lalka pani Dalton jest na zapleczu.

– Okej, to na razie.

Otwierają się frontowe drzwi i podnoszę wzrok, spodziewając się powrotu „klienta” mamy, ale moim oczom objawia się smętna sylwetka Henry’ego. Nie wiem, czy wziął prysznic, czy po prostu facet z futerałem od gitary wygląda atrakcyjniej, tak czy inaczej, nagle zaczynam trochę rozumieć, co Skye w nim widzi.

– Hej, Kajman.

Wrr. Pewnie zapomniał, jak mam na imię.

– Hejka, Ropucha. Skye tu nie ma.

– Wiem. Pomyślałem sobie, że mógłbym ci zagrać piosenkę, którą dla niej napisałem. Powiedziałaabyś mi, czy według ciebie się jej spodoba.

– Okej. Jasne.

Siada na podłodze i wyjmuję gitarę. Oparty o dół szafki wyciąga nogi i krzyżuje je przed sobą. Lalki na podświetlonych szklanych półkach nad nim i w drewnianej kołysce tuż obok wyglądają jak sceneria jakiegoś odjechanego wideoklipu. Henry trąca kilka strun, potem chrząka i śpiewa.

Piosenka jest całkiem dobra, choć ociera się o kicz. Wers o tym, że Skye jest dla niego jak haj, omal nie doprowadza mnie do śmiechu, udaje mi się jednak powstrzymać. Ale pod koniec piosenki całkiem już rozumiem, co Skye w nim widzi. Dałabym głowę, że sama też wpatruję się teraz w niego z rozmarzeniem. Dlatego kiedy ciszę, która zapadła po piosence, przerywają czyjeś oklaski, zaczynają mnie palić policzki.

Przy drzwiach frontowych stoi Xander. Dzisiaj wygląda jeszcze bardziej bogato. Na ten wygląd składa się idealnie wymodelowana fryzura, designerskie ciuchy i skórzane mokasyny od Gucciego, noszone bez skarpet.

– Świetna piosenka – mówi do Henry’ego.

– Dzięki. – Henry spogląda na mnie, szukając potwierdzenia.

– Owszem, jest niesamowita.

Oddycha z ulgą, potem odkłada gitarę. Przenoszę uwagę na Xandra.

– Znowu robię za chłopca na posyłki – mówi.

– Kolejny taki dzień, gdy zadawanie się z pospólstwem pozwala docenić życie? – Mogłabym przysiąc, że poprzednim razem powiedziałam coś w tym guście, ale wyraz oburzenia, który pojawia się na jego twarzy, uświadamia mi, że chyba tylko coś takiego sobie pomyślałam. Dobra, to i tak był tylko żart (poniekąd). Jeśli nie zna się na żartach, jego strata.

– Tak jakby – mamrocze.

Henry wstaje.

– Ta szkocka lala jest moja, więc ręce precz.

Xander unosi ręce.

– Nie jestem zainteresowany. – Odnoszę wrażenie, że według Xandra Henry’emu chodzi o coś innego niż o lalkę w kilcie. Ale skoro nie jest zainteresowany, to i tak nie ma znaczenia.

Henry kieruje się do drzwi.

– Zaśpiewam ten kawałek w czasie naszego setu w piątek wieczorem. Wpadnijcie. Gramy we Wniebogłosach. O dziesiątej. – Wniebogłosy to klub jakieś pięć przecznic dalej, w którym miejscowe kapele przygrywają niewielkiej, często narąbanej publiczności za małą kasę lub za friko. Czasem dają się tam zaciągnąć Skye, ale tak naprawdę to nie moje klimaty.

Xander odprowadza go wzrokiem, a potem znów odwraca się do mnie, cały zasadniczy.

– Babcia prosiła mnie o odbiór lalki, którą zamówiła.

– Babcia? – Otwieram rejestr, zastanawiając się, czy może przeoczyłam to zamówienie.

– Katherine Dalton.

– Pani Dalton to twoja babcia?

– Co w tym takiego dziwnego?

Zamykam rozdziawione usta. To, że pani Dalton jest urocza, kontaktowa

i niesamowita... A ty traktujesz siebie zbyt poważnie, masz idealnie zrobione paznokcie i ciuchy podszyte pieniędzmi (tak przynajmniej tłumaczę sobie jego tak dobre samopoczucie).

– Po prostu się tego nie spodziewałam.

– Chyba więc nie opowiadała ci o swoim wspaniałym wnuczku?

– Myślałam po prostu, że przyśle Alexa.

– Alex to ja.

Oo. No tak. Xander. Czyli Alexander.

– To przedstawiasz się Alex czy Xander?

Patrzy drwiąco, jakbym go wygooglowała czy coś w tym stylu.

– To z twojej karty kredytowej – informuję, przypominając mu, że skorzystał z niej podczas swojej ostatniej wizyty.

– Rzeczywiście, mówią na mnie Xander, ale dla dziadków jestem Alex. To imię po dziadku, więc wiesz, jak to jest.

Nie mam pojęcia, jak to jest.

– Tak, dokładnie.

– A zatem, córko Susan... – Opiera łokcie o ladę, przygląda się drewnianemu jabłuszku, które lata temu dostałyśmy od klienta, i zaczyna je obracać jak bączek. – Czy masz moją lalkę?

Tak to zabrzmiało, że trochę mnie rozśmieszyło.

– Tak, mam. Jedną chwileczkę. – Znajduję na zapleczu pudełko i przynoszę je na ladę. Zaskakuje mnie, że mama go nie otworzyła, żeby sprawdzić lalkę. Czasami trafiają do nas pęknięte lub potłuczone, a za to odpowiada kurier, z którego usług korzystamy. Ze srebrnej czarki obok kasy biorę nóż introligatorski i przecinam taśmę zabezpieczającą. – Tylko się upewnię, że podczas podróży nie przeszła amputacji kończyn.

– Okej.

Wyjmuję z kartonu dostawcy pudełko z lalką, przesypując przy tym trochę

styporianowych chrupek, i ostrożnie otwieram.

– Mandy – Xander czyta jej imię z pokrywki.

– Mandy jest w świetnej formie. Babcia będzie szczęśliwa. To, jak sądzę, dla twojej siostry?

– Nie. Dla mojej kuzynki, Scarlett. Ta lalka bardzo ją przypomina. To nawet trochę upiorne.

– Kuzynka nosi skarpetki z koronką i szydełkowe sukienki?

– No nie. Ale te włosy... I mojej kuzynce zdecydowanie też tak wrednie z oczu patrzy.

– A więc twoja kuzynka nosi czarny kok i szuka zaczepki?

– Właśnie.

Przesuwam pudełko po ladzie w jego stronę.

– Pozdrów ode mnie babcię.

– A będzie wiedziała, od jakiej „mnie”?

– Chyba wszyscy wiedzą?

– Wszyscy poza mną, jak się zdaje. – Wyjmuje telefon i wciska kilka klawiszy.

– Co robisz?

– Powiem babci, że ją pozdrawiasz.

Przewracam oczami.

– Oszukujesz.

– Nie wiedziałem, że w coś gramy. – Posyła mi pierwszy tego dnia uśmiech, a ja z miejsca się cieszę, że się z tym nie spieszył. Żadną bronią by mnie tak nie rozbroił. – Cześć, babciu. Mam twoją lalkę... Tak, pomogła mi młoda dama ze sklepu. Prosiła, żeby ciebie pozdrowić... Nie, nie Susan.

Śmieję się głośno.

– Jej córka. Ciemne włosy, zielone oczy.

Spuszczam wzrok, zaskoczona, że zauważył kolor moich oczu. Sam ma

brązowe, ze złotymi plamkami. Nie żebym się przyglądała.

– Szesna... ście? – Szeroko otwartymi oczyma pyta, czy zgadł. Kręcę głową przecząco. – Siedemnaście?

I pół.

– Caymen? – Unosi brwi. Wzruszam ramionami. – No to Caymen cię pozdrawia... Słodka? Nie wiem, czy słodka, ale coś w sobie ma. – Chwilę milczy. – Jestem miły. To ją powinnaś poprosić, żeby była miła. Nawet nie chciała mi powiedzieć, jak ma na imię... Nie, nie dlatego, że byłem wredny.

Uwielbiam panią Dalton.

Zapisuję w skoroszycie datę i godzinę odbioru zamówienia specjalnego. Potem z jakiegoś powodu do napisanego wcześniej Alex dodaję „ander”. Zamykam rejestr i chowam go pod ladą. On nadal uważnie słucha czegoś, co mówi jego babcia. W pewnej chwili spogląda mi w oczy, a potem podnosi palec. Sięga do kieszeni i wyjmuję portfel, a z niego kartę kredytową, nawet na nią nie patrząc.

– Już zapłaciła – mówię szeptem.

Kiwa głową i chowa to wszystko.

Babcia mówi coś, co wywołuje u niego uśmiech. Znowu. Co takiego jest w tym uśmiechu? Może jest taki wspaniały przez idealnie proste i białe zęby. Chodzi jednak o coś więcej. Bo jego uśmiech jest trochę krzywy, jeden kącik ust podjeżdża wyżej niż drugi. I co jakiś czas górne jedyńki wgryzają się w dolną wargę. To bardzo niekontrolowany uśmiech, odstający od reszty jego kojarzącej się z twierdzą aparycji.

– To hej, babciu, muszę lecieć. Caymen mi się przygląda, zapewne się zastanawia, czy kiedykolwiek opuszczę sklep, żeby mogła wrócić do pracy.

Dziwnie jest słyszeć, jak wymawia moje imię. Wydaje się przez to kimś więcej niż jakimś przypadkowym klientem. Prawie kimś znajomym.

Chowa komórkę.

– Caymen.

– Xander.

– Czy to znaczy, że wygrałem?

– Nie wiedziałam, że w coś gramy.

Zabiera lalkę i wycofuje się, przygryzając wargę w tym swoim uśmiechu.

– Myślę, że tak.

## Rozdział 5

Jakiś rok temu mama zaczęła wynajmować zaplecze sklepu na imprezy urodzinowe dla małych dziewczynek. Wydawało mi się to niedorzeczne (i nadal się takie wydaje), ale wpadła na pomysł zamawiania niedokończonych lalek, a potem zapraszania dziewczynek, by same wybierały ostatnie szczegóły – ubranka, kolor włosów i oczu – tak żeby mogły wrócić do domu z lalką zrobioną według własnych potrzeb. Początkowo mama pozwalała im nawet malować oczy, ale przerodziło się to w paradę potworów. Dlatego siedzę teraz przy kasie, malując oczy, a mama przebywa na zapleczu z całym towarzystwem i pomaga dobrać ubranko i włosy. W dobre dni wpada nam do kieszeni sto dolarów. W większość sobót mamy jednak szczęście, jeśli wychodzimy na zero (mama jak frajerka pozwala dzieciakom dobrać więcej niż trzy wliczone w cenę elementy stroju).

Dziś, jak przypuszczam, zarobiłyśmy dwie dychy, i ponad wszystko marzy mi się zaprzestanie urządzania tych sobotnich imprez. Ale skoro uszczęśliwiają moją mamę – dziecięcy szczebiot i w ogóle – nie narzekam. Dziewczynki wychodzą ze sklepu rozchichotane, kurczowo trzymając swoje nowo odziane lale i dotykając wszystkiego, co im się nawinie. Najbliższe dwie godziny mama poświęci na sprzątnięcie „sali imprez” (dawniej zwanej kanciapą). Podnoszę wzrok, bo wchodzi Skye, wlokąc za sobą Henry’ego.

– Szkoda, że nie było cię wczoraj wieczorem – mówi.

Grzebię w pamięci, ale nic z tego nie wychodzi.

– Co było wczoraj wieczorem?



– Występ mojej kapeli we Wniebogłosach – informuje Henry tonem typu „no co ty?”.

– No jasne. Jak poszło?

– Napisał dla mnie piosenkę – uśmiecha się Skye.

Henry kładzie gitarę i siada obok niej.

– Pomyśleliśmy sobie, że dziś zrobimy powtórkę.

– Fantastycznie – mówię, przeglądając zrobioną przez mamę listę ubranek, które nam się kończą, i odfajkowując te już przeze mnie zamówione.

– Ona udaje, że jej to nie rusza, ale ruszyło ją totalnie – przekonuje Henry’ego Skye.

– Totalnie – zapewniam sarkastycznie.

Henry trąca struny.

– Kajman nie ma życia – nuci. Rzucam w niego długopisem, a że zaraz znów go potrzebuję, idę, mijając Henry’ego, by podnieść go z podłogi.

– Ona ma życie, Henry – prostuje Skye ze śmiechem. – Tyle że nudne.

– Biorąc pod uwagę to, że jego połowę spędzam z tobą, Skye, na twoim miejscu uważałabym na słowa.

– Kajman to się pławi w nudzie – śpiewa Henry. – Brak jej wyzwania oraz uciech.

– Nie, wielkie dzięki. Mnie taka nuda leży. – Bo rzeczywiście, dość dobrze wpasowałam się w to swoje monotonne życie, a pragnienie, by z tego powodu rwać sobie włosy z głowy, miewam teraz co najwyżej raz na tydzień.

Skye poprawia pozycję lalki na półce obok siebie.

– Poważnie, Caymen, spodziewaliśmy się ciebie wczoraj. Czemu nie przyszedłaś?

– O której wróciliście do domu? – pytam.

– Sama nie wiem... Koło drugiej.

– Właśnie dlatego nie poszłam. Rano musiałam być w pracy.

– Gada jak stara baba – mówi Henry.

Pytał cię kto?

– Zagraj jej piosenkę, Henry. Prawdziwą.

– Okej.

Gdy tylko zaczyna grać, Skye zabiera mi z rąk papiery i kładzie je na ladzie.

– Zrób sobie małą przerwę. – Ściąga mnie na podłogę naprzeciw Henry’ego. Przygląda mi się, słuchając jego śpiewu. – Aha, ktoś wczoraj o ciebie pytał.

– Gdzie?

– We Wniebogłosach.

– Kto?

– Nie znam człowieka, koleś wyglądający tak, jakby mógł sobie kupić tamten lokal. Taki elegancik. Superbiałe ząbki.

Ta wiadomość z jakiegoś powodu budzi we mnie lęk.

– Xander?

– Nie wiem. – Wzrusza ramionami. – Nie przedstawił się.

– Co powiedział?

– Wpadło mi w ucho, jak zagadnął jakiegoś gościa za mną. Zapytał: „Znasz dziewczynę imieniem Caymen?”. Gość na to, że nie. Kiedy się odwróciłam, żeby mu powiedzieć, że cię znam, już odchodził.

– I wyszedł?

– Nie, trochę jeszcze został, posłuchał, jak Henry gra, zamówił colę. Dopiero potem się zmył.

Xander mnie szukał. Niedobrze. Lepiej, żeby ten paniczyk z całym swoim sznytem nie z mojej bajki za bardzo się do mnie nie zbliżał.

– Był sam?

– Nie. Z jakąś dziewczyną. Miała krótkie ciemne włosy. Wyglądała na

znudzoną.

Może jego kuzynka? Wzruszam ramionami.

– Kto to jest?

– Tylko wnuczek klientki.

– Bogaty wnuczek bogatej klientki?

– No.

– Przydałoby się nam więcej bogatych przyjaciół. Nasze imprezowanie weszłoby na wyższy poziom.

– O czym ty gadasz? – Wskazuję Henry’ego. – To już jest ekstraklasa. Mamy swojego osobistego muzyka.

– A nawet nie słuchacie mojej piosenki – żali się Henry.

– Sorki. Na pewno jest świetna, miśku.

Przestaje grać i chowa gitarę do futerału.

– Kajman, zamierzam coś dla ciebie zrobić.

– Błagam, nie.

– Posłuchaj. Umówię cię z kumplem. Możemy urządzić podwójną randkę. – Ogląda się na Skye. – Z Tikiem. To frontman w Zrzedliwych Ropuchach.

Skye uśmiecha się szeroko.

– No tak, jest super ekstra. Caymen, będziesz zachwycona.

– Tik? Jak tik-tak w zegarze?

– Nie, jak ten nerwowy. Tik. – Mocno mruga, naśladując, jak rozumiem, nerwowy tik. – Naprawdę nazywa się inaczej.

– Bez kitu – mówię.

– Naprawdę. Ale zapomniałem, jak ma na imię. Powaga, idealnie do siebie pasujecie. Spodoba ci się.

Wstaję i znów łapię za swoje papiery.

– Nie. Nie mam ochoty nigdzie się wybierać. – A już na pewno nie na randkę w ciemno z jakimś Tikiem, którego Henry uważa za idealnego dla mnie.

– Pliz, pliz, pliz – błaga Skye, szarpiąc mnie za rękę.

– Nawet nie znam tego kolesia. To żalosne.

– Możemy to zmienić. Namówię go i jeszcze w tym tygodniu pokaże się tu w sklepie – mówi Henry.

Odwracam się do niego gwałtownie jak burza.

– Ani mi się waż.

– To brzmi jak wyzwanie – odpowiada ze śmiechem.

– Ale nim nie jest, Ropucho. Po prostu tego nie rób. – Czy byłoby w porządku, gdybym poszczuła go którąś z lalek?

– Nie bój nic. Podejdę do tego chytrze. Nie powiem mu, że chcesz się z nim umówić ani nic takiego.

– No i dobrze. Zwłaszcza, że nie chcę się z nim umawiać.

– Trema – nuci Skye.

Henry znów się śmieje i podnosi się z podłogi.

– Bez obaw, Kajman, będzie dobrze. Po prostu bądź sobą.

Tylko nie „bądź sobą”. Nienawidzę tego tekstu. Tak jakbyśmy oboje, Ja i Tik, już się znali i dobrze dogadywali, a teraz mam zadbać tylko o to, by znów być tą Mną. Zero logiki.

– Idziemy, Haj?

– Tak. To na razie. – Skye błyska prawdziwie złowróbnym uśmiechem, a mnie bierze cholera. To nie w porządku. Chcą nasłać mi do sklepu jakiegoś Tika, a ja nic nie mogę na to poradzić.

## Rozdział 6

**P**o tygodniu niespokojnego oglądania się za każdym razem, gdy brzęknął dzwonek nad drzwiami, dochodzę do wniosku, że może Skye wybiła Henry'emu z głowy to straszne nasłanie na mnie Tika. Ale dochodzi do tego w poniedziałek po południu. Do sklepu wpada koleś z plikiem papierów.

Ma kręcone czarne włosy, krótko ścięte, i jest śniady. Jego i tak wydatne usta jeszcze bardziej rzucają się w oczy z uwagi na wpięte w wargę kółko. Ma na sobie dzinsy wetknięte w buty z demobilu i T-shirt, który głosi: „Moja kapela jest bardziej czadowa od twojej”. Na swój sposób jest do bólu przystojny. I jak dla mnie zbyt czadowy. Dziwię się, czemu Skye nie chodzi akurat z tym gościem. Wydaje się, że o wiele bardziej by do niej pasował.

– Hej – mówi. Głos ma chrapliwy, jakby dopiero co się obudził lub potrzebował odchrząknąć. – Henry powiedział, że zgodzicie się wyłożyć na ladzie parę ulotek o naszym najbliższym występie. – Rozgląda się.

– Starsze panie na pewno uwielbiają koncerty rockowe – przyznają.  
Marszczy brwi.

– No tak, a Henry myślał... – Milknie, przypatrując się porcelanowemu bobaskowi w kołysce. – Może pomyliłem sklepy.

– Nie. Wszystko gra. Połóż je tu.

Podchodzi i kładzie na ladzie pliczek kartek, a potem obcina mnie wzrokiem. Chyba podoba mu się to, co widzi, bo wskazując ulotkę, dodaje:

– Może też byś wpadła?

Na ulotce widnieje ropucha wyglądająca tak, jakby miała za sobą bliskie

spotkanie z grillem o masie półciężarówki. Kto im to zaprojektował? Brzuch ma przecięty napisem „Zrzęдлиwe Ropuchy”. U dołu jest jeszcze informacja: „Piątek, 22:00, Wniebogłosy”.

Na końcu języka zbiera mi się coś sarkastycznego na temat tych ulotek, daję sobie jednak na wstrzymanie.

– Hm, postaram się.

– Zabrzmiało to tak, jakbyś chciała mi dać do zrozumienia, że to ostatnia rzecz, o jakiej marzysz. – Intensywnie mruga, przypominając mi tym, skąd wzięła się jego ksywka. – Ja tam śpiewam. Czy to bardziej cię zachęci czy zniechęci?

Uśmiecham się.

– Bardziej może zachęci.

– Jestem Mason. – To znacznie lepsze niż Tik.

– Caymen.

Błagam, nie rób z tego ksywki.

– Miło mi cię poznać, Caymen.

Pięć punktów.

– To jakie są szanse, że zobaczę cię w piątek?

Ponownie spoglądam na ulotkę, a potem na niego.

– Nawet spore.

Pociąga za kółko w wardze.

– Przekaż starszym paniom, że będzie jazda.

– Przekażę.

Zaczyna już wychodzić, ale staje, bo w drzwiach prowadzących na zaplecze pojawia się mama.

– Cześć – mówi mama.

– Mamo, to Mason. Mason, poznaj moją mamę, Susan.

– Dzień dobry, Susan, miło mi panią poznać.

– Ciebie też. – Wskazuje sufit. – Caymen, jeśli będę potrzebna, to jestem na górze. Muszę trochę podzwonić. – Ramiona jej opadają, wyciąga rękę w stronę poręczy schodów.

– Wszystko dobrze?

– Tak... Ja... Tak, nic mi nie jest.

Odprowadzam ją wzrokiem, potem odwracam się do Masona.

Klepię dłonią policzek ulotek na ladzie.

– To do piątku. – Macha mi i wychodzi ze sklepu.

Zagryzam wargę i wpatruję się w ropuchę na papierze. Będę potrzebowała nowego ciucha lub fryzjera. Czegóż nowego. Upewniam się, że nikt nie zbliża się do drzwi sklepu, a potem idę do kantorka mamy, sprawdzić, czy już wypisała mi czek z wypłatą. Zazwyczaj zostawia go na biurku, w kopercie. Nie ma tego wiele i milion razy jej powtarzałam, iż dziwnie się z tym czuję, że mi płaci, ale ona upiera się przy swoim.

W prawej szufladzie jest księga rachunkowa pęczniejąca od rachunków i luźnych kartek. Wyciągam ją i zaglądam na koniec, bo stamtąd, jak kilkakrotnie widziałam, mama brała kwotę mojej wypłaty. Niczego takiego tam nie ma. Zamykam już książkę, gdy nagle mój wzrok przyciąga coś czerwonego. Przypatrując się tej stronie, zatrzymuję się na ostatniej liczbie, czerwonym „2253,00”. To więcej, niż wydajemy miesięcznie. Jestem pewna. Czasem to ja robię rozliczenia.

Serce wali mi bez opamiętania, a poczucie winy dławi oddech. Ja tu sobie myszkuję w poszukiwaniu wypłaty, a przecież moją mamę na nią nie stać. Jesteśmy bankrutkami. Nic dziwnego, że mama chodziła ostatnio tak zestresowana. Czy to oznacza, że stracimy sklep? Przez jedną chwilkę wyobrażam sobie życie bez sklepu z lalkami.

I przez tę chwilę czuję się wolna.

## Rozdział 7

**W**patruję się w lustro, wiszące w moim pokoju. Choćbym nie wiem jak bardzo się oddaliła, nie obejmuje całej mojej sylwetki. Pokój jest za mały. Już wyprostowałam włosy, włożyłam najlepsze džinsy i czarny T-shirt, zasznurowałam fioletowe głany. Żadnych nowości. Wystarczająco wiele miałam zmagać z faktem, że to i tak nie najlepszy pomysł. Za osiem godzin od tej chwili muszę być przytomna i gotowa do pracy. Świadomość tego, w jak złej sytuacji jest sklep, przepełnia mnie poczuciem winy. Jakbym nie dość się starała. Po raz setny mówię sobie, że nie muszę być na koncercie długo. Wystarczy, że się pokażę i wyjdę.

Do pokoju wchodzi mama, zaraz się jednak cofa.

– Myślałam, że już wyszłaś.

– Nie. I wcale nie muszę, jeśli jestem ci potrzebna.

– Caymen, dam sobie radę. A teraz już zmiataj. Wyglądasz zjawiskowo.

Przemierzając pięć przecznic dzielących mnie od Wniebogłosów, przypatruję się otoczeniu. Stare miasto wygląda tak, jakby wycięto je z jakiegoś westernu. Wszystkie fasady są albo z czerwonej cegły, albo pokrywa je pionowy siding. Do niektórych sklepów prowadzą nawet wahadłowe drzwiczki, takie jak w saloonach. Chodniki są brukowane. Przed sklepami brakuje tylko poziomych drągów do wiązania koni. Mamy natomiast szeroką ulicę i ukośne krawężniki. Od oceanu dzieli mnie kilka przecznic, ale słychać go w spokojne wieczory, a zawsze daje się wyczuć jego zapach. Biorę głęboki



wdech.

Dwa sklepy od naszego mieści się studio tańca i ze zdziwieniem zauważam, że mimo późnej pory pali się tam światło. Odsłonięte okna w tak ciemny wieczór sprawiają, że wszystko wewnątrz widać tak wyraźnie, jak na ekranie w kinie. W środku przed wyłożoną lustrami ścianą tańczy dziewczyna mniej więcej w moim wieku. Wdzięk jej ruchów dowodzi, że ma za sobą lata ćwiczeń. Zastanawiam się, jak to jest, że jedni chyba od urodzenia wiedzą, co chcą zrobić z życiem, inni natomiast – a przede wszystkim ja – nie mają zielonego pojęcia. Wzdycham i znów ruszam w kierunku klubu.

W pękających dziś w szwach Wniebogłosach widzę samych miejscowych. Rozpoznaję osoby ze szkoły i witam się z nimi kiwnięciem głowy. Scena to trochę za dużo powiedziane. Bardziej przypomina koślawy podest. Obstawiona jest niepasującymi do siebie stolikami, a pod jedną ze ścian ciągnie się bar. Ludzi jest tak wielu, że muszę szukać Skye.

– Hej – mówi, gdy ją znajduję. Jej włosy zdobi dziś więcej różu, czuję, że przy niej wyglądam drętwo.

– Heja. Tłoczno tu dzisiaj.

– Widzę. Jest super. Musiałaś zrobić wrażenie na Tiku, bo podpytywał mnie, czy sądzę, że się dzisiaj pokażesz. – Ruchem głowy wskazuje drzwi z boku sceny, gdzie, jak przypuszczam, szykuje się teraz ich kapela.

– Musimy go tak nazywać? – Jeszcze nie zdecydowałam, co myśleć o Masonie. Na pewno jednak coś w nim jest, bo inaczej nie stałabym tutaj, rezygnując ze snu.

– Musimy, Kajman.

– Błagam. Tylko nie ty, Haj.

Wybuchają śmiechem.

– Okropne są te ksywki, co nie? Ale mi też się chce śmiać, kiedy nazywasz Henry'ego Ropuchą.

– A jak w ogóle układa ci się z Ropuchą?

– Spoko. – Skye jest wybitnie lojalna. Żeby zerwała z Henrym na tym etapie, musiałby zrobić jej coś bezapelacyjnie okropnego. A raczej tak nie postąpi. Jeśli nie liczyć skandalicznej skłonności do nadprodukcji ksywek, Henry jest w porządku.

Oglądam się na scenę, czekając na tych, którzy ją zajmą.

– Myślę, że dzisiaj możesz zabujać się w nim na amen. Bo dla ciebie robi z siebie prawdziwą gwiazdę rocka.

– Na pewno. – Uśmiecha się. – A ty zabujasz się na amen w Tik, bo głos ma jak miód.

Ma rację. Przynajmniej w kwestii miodu. Od chwili gdy zaczął śpiewać, nie mogę oderwać od niego oczu. Jego głos ma w sobie chrapliwą miękkość, sprawiającą, że chce mi się kołysać do rytmu. Ostatecznie z transu wyrywa mnie chichot Skye.

– Mówiłam, że tak będzie – przypomina, gdy na nią spoglądam.

– O co ci chodzi? Po prostu słuchałam. Niegrzecznie byłoby nie słuchać.

Znów się śmieje.

Kiedy wybrzmiewa ostatnia piosenka, Mason zeskakuje ze sceny i z resztą ekipy znika na zapleczu. Pierwszy wychodzi stamtąd Henry i całuje się ze Skye na moich oczach. Ohyda. Tylko dlaczego nagle zamarzyło mi się, żeby mieć kogoś, z kim też mogłabym to robić? Przecież dobrze mi samej. Osiągnęłam w tym niemałą wprawę. Co więc się zmieniło? W myślach miga mi uśmiech Xandra, ten z przygryzieniem wargi. Nie. Wywalam ten obraz. A kiedy mam już pewność, że pobranie próbki śliny z ust Skye wykazałoby obecność DNA Henry’ego, ogłaszam:

– Okej, wystarczy.

Skye odsuwa się ze śmiechem, a Henry udaje, że nie wiedział, że tu stoję. Akurat.

– Ctam? – pyta, a potem przechyla się przez bar i prosi o wodę z lodem. Bierze ją i szukamy stolika. Wolnych jednak nie ma, więc stajemy w kacie, rozmawiając.

Po jakimś czasie przychodzi Mason i kładzie mi rękę na ramionach. T-shirt lepi mu się od potu, niemal niwelując to, jak działał na mnie jego śpiew.

– Hej, Caymen, przyszłaś?

– Oto jestem.

– Jak dziś wypadliśmy?

– Naprawdę fajnie.

– Przeprowadziłaś jakąś starszą panią? – Rozgląda się, jakby dopuszczała taką możliwość.

– Prawie. Ale w ostatniej chwili się wykręciła. Przypuszczam, że dzisiaj gdzieś grają metal.

– Jaka kapela? – pyta Henry, a Mason zaczyna się śmiać.

– To był żart, idioto – mówi.

– Nie nazywaj mnie idiotą.

– To się tak nie zachowuj.

Henry się nadyma, a Skye go pociesza.

– Nie jesteś idiotą, miśku. – I znów zabierają się do całowania. Brr. Serio?

– Napijesz się czegoś? – pyta Mason, prowadząc mnie do jakiegoś opuszczonego stolika.

– Tak, chętnie.

Siadam, a on wraca z dwiema butelkami piwa. Jedną wyciąga w moją stronę.

Podnoszę rękę.

– Ja nie piję. Mam siedemnaście lat.

– No to co? Ja mam dziewiętnaście.

– Mama mówi, że przed osiemnastką ma pełne prawo mnie zamordować. –

Zawsze mi też powtarza, żebym w kłopotliwych sytuacjach wszystko zwałała na nią. Jak widać, to się sprawdza.

Śmieje się.

– No, to było mocne. – Siada naprzeciwko mnie.

Patrzę, jak pije, a po chwili mówię:

– Przyniosę sobie wody.

– Oo – podrywa się. – Siedź. Ja przyniosę.

Patrzę, jak się oddala, i nie potrafię określić, czy jestem roztrzęsiona, dlatego że rozmawiam z frontmanem kapeli, czy z tego powodu, że to Mason. Kiedy przy barze dopadają go dwie inne dziewczyny, a on wdaje się z nimi w pogawędkę, pojmuję, że chodzi o pierwszą opcję. Zresztą prawie go nie znam. Czuję się, jakbym była naprawdę płytka.

Barman podaje mu moją wodę z lodem, ale Mason nadal gawędzi.

Nagle wstaję. Trzeba iść. Czeka mnie wczesna pobudka.

Idę tam, gdzie zostawiliśmy Skye z Henrym, i klepię ją w ramię.

– Hej, ja już idę.

Odkleja się od Henry'ego.

– Zaczekaj. – Rozgląda się i wypatruje Masona. – Nie, nie wychodzisz. Zawsze oblegają go dziewczyny. To nie jego wina.

– Nim się nie przejmuję. To nie dlatego wychodzę. – A przynajmniej usilnie chciałabym w to wierzyć. – Po prostu mam pracę od samego rana. Na razie.

Idąc się pożegnać z Masonem, słyszę jeszcze:

– Czekaaj, odprowadzimy cię.

Kiedy mijamy Masona, macham do niego i bezgłośnie mówię mu cześć.

Skye jednak woła na głos:

– Odprowadzimy Caymen do domu.

Mason daje mi ręką znak, żebym zaczekała, i elegancko kłania się dziewczynie przed nim, kończąc rozmowę. Stawia na barze wodę, którą dla

mnie zamówił, i już jest przy mnie.

– Ja też idę.

Skye i Henry idą przed nami, rozmawiając cicho. Mason opasuje mnie ramieniem. Szybko do mnie dociera, że jest z tych bezpośrednich. Jakiś czas jeszcze milczymy.

– Nie miałem pojęcia, że będziesz musiała wyjść tak wcześnie – odzywa się w końcu.

– Niestety. Od rana pracuję.

– W przyszłym tygodniu znowu gramy.

Nie jestem pewna, czy mnie zaprasza, czy tak tylko gada, więc tylko kiwam głową.

– Dzięki – mówię, gdy dochodzimy do sklepu, i wyciągam z kieszeni klucze.

Nachyla się do mnie, a ponieważ do głowy mi nie przyszło, że nawet biorąc pod uwagę to, jaki jest bezpośredni, spróbuje mnie pocałować w obecności świadków, nie dość szybko się cofam i przeżywam szok, gdy jego usta dotykają moich. Są zaskakująco delikatne.

– Oo... łał – mówię, odsuwając się.

On nie rusza się z miejsca i patrzy mi w oczy.

– Dzięki, że przysłaś.

Jego chrypka sprawia, że serce budzi mi się do życia, i znów jestem zaskiwiona tym, jak na niego reaguję.

– Okej, do zobaczenia.

Skye uśmiecha się do mnie, jakby wydarzyło się coś wybitnie ekscytującego. Ja mam ochotę uciec.

## Rozdział 8

Sklepu nie otwieramy przed dziewiątą, ale w sobotę rano powieki otwierają mi się o szóstej rano jak na dźwięk budzika. Staram się ponownie zasnąć, ale mój organizm się buntuje, więc jakiś czas gapię się w sufit, rozpamiętując miniony wieczór. Co właściwie się wydarzyło? Czy Mason chciał mnie pocałować? Czy to ja tak się do niego odwróciłam, kiedy zamierzał mnie uściskać albo coś? Odczuwam potrzebę rozebrania tego wieczoru na czynniki pierwsze i zrekonstruowania go w ten sposób, żeby nabrał sensu.

Wychodzą z tego dwie logiczne możliwości. Pierwsza, że to był przypadek, a chłopak miał zbyt wiele taktu, by się do tego przyznać. I druga, że po prostu taki z niego kumpel, co wszystkich całuje. Z tak sensownymi wyjaśnieniami czuję się lepiej. Mam jednak nadzieję, że przez jakiś czas na siebie nie wpadniemy.

Po godzinie bezskutecznych prób pogrążenia się z powrotem we śnie zwlekam się z łóżka i biorę prysznic, zanim mama zajmie łazienkę. Wciągam na siebie dzinsy i T-shirt, stopy wsuwam w puchate czarne kapcie. Mając jeszcze mokre włosy, idę po listę zamówień, którą poprzedniego dnia zostawiłam na dole, żeby wprowadzić je do komputera.

Kolejny raz konfrontuję ją z listą zrobioną przez mamę. Do otwarcia została jeszcze godzina, jest więc mnóstwo czasu na dokończenie przygotowań. Pakuję listę do kieszeni i idę do komputera. Kiedy jestem przy schodach, słyszę pukanie w drzwi od frontu. Moja ręka natychmiast wędruje ku mokrym

włosom, a mózg podsuwa mi myśl, że to Mason. Taki scenariusz nie pasuje jednak do żadnego z wyjaśnień, do jakich wcześniej doszłam. Gwiazdy rocka, nawet nadmiernie uczuciowe, nie pojawiają się tak na progu już następnego ranka. Jeszcze mamy zamknięte, więc szyby są osłonięte roletami. Nie muszę otwierać drzwi.

Chwilę później w sklepie dzwoni telefon.

Mason chyba nie ma naszego numeru? Czyżby Skye mu go dała? Podnoszę słuchawkę, zanim mama odbierze na górze.

– Lalki i Dużo Więcej, słucham.

– Tydzień temu ktoś uprzedził mnie, żebym nie kupował muffinek z jagodami u Eddiego, ale nie posłuchałem i się skusiłem. Od tamtej pory o dziwnych godzinach ogarnia mnie niepohamowany głód.

Słyszając, kto dzwoni, odczuwam taką ulgę, że pozwalam sobie na dziwaczne połączenie śmiechu z westchnieniem, zaraz jednak chrząkam.

– Dodają do nich substancje uzależniające.

– Teraz już ci wierzę.

Uśmiecham się.

– To może mnie wpuścisz? Trochę tu zimno. Podzielę się.

Mój wzrok skacze ku drzwiom.

– Wydaje mi się nawet, że na tej muffince jest napisane twoje imię... A nie, przepraszam, moje.

– Ja...

– Chyba nie chciałabyś, żebym umarł z wyziębienia, prawda? – pyta.

– Nie sądzę, żeby było aż tak zimno. – Szuram kapciami, żeby odblokować zamek i otworzyć drzwi Xandrowi.

– Cześć. – Jego głos odbija się echem w słuchawce, którą wciąż trzymam przy uchu. Wyłączam aparat.

Minęło tyle czasu, że prawie zapomniałam, jaki jest przystojny... i bogaty.

A tym właśnie tchnie, kiedy wchodzi, podobnie jak mroźnym powietrzem. Zamykam drzwi na zamek i odwracam się do niego. Trzyma brunatną torbę z Cukierni Eddiego i dwa styropianowe kubki z przykrywkami.

– Gorąca czekolada. – Podnosi kubek trzymany w prawej ręce. – Lub kawa.  
– Pokazuje ten w lewej. – Upiłem po łyczku z każdego, więc dla mnie bez różnicy.

To miłe. Może bogactwo roznosi się jak choroba zakaźna. Wskazuję jego prawą rękę.

– Gorąca czekolada.

– Tak myślałem, że gorąca czekolada może ci pasować.

Biorę od niego kubek, starając się nie zwracać uwagi na drżenie ręki. Wskazywałoby to, że jego pojawienie się ni stąd, ni zowąd na moim progu wytrąciło mnie z równowagi.

Ogarniam spojrzeniem całą jego postać. Irytuje mnie, że Xander o tak wczesnej porze sprawia wrażenie tak... przytomnego. Czy gdybym oglądała go w środku nocy, rozczochranego i zaspanego, też prezentowałby się równie nienagannie?

– Twoje spojrzenie może człowieka zaniepokoić.

– Ja nie spoglądam. Ja obserwuję.

– Co za różnica?

– Celem obserwacji jest zgromadzenie danych i sformułowanie teorii lub wniosku.

Przekrzywia głowę.

– I jaką teorię sformułowałaś?

*Że odbiegasz od normy co najmniej o krok.* Kiedy się obraca, rozglądając po ciemnym sklepie, stuka w bujany fotel masywnym sygnetem, czernią odcinającym się od różowego palca. Podnoszę brwi. *Może o dwa kroki.*

– Że z ciebie ranny ptaszek.



Rozkłada ręce, jakby chciał powiedzieć: Tu mnie masz.

– Ja też coś zaobserwowałem.

– Co?

– Że masz bardzo mokre włosy.

No tak. Racja.

– Wiesz, przyszedłeś bez uprzedzenia. Nie od razu po obudzeniu wyglądam idealnie. – W odróżnieniu od niektórych.

Na jego twarzy pojawia się zrozumienie, czekam więc, żeby je wyraził. Ogląda się przez ramię w stronę zaplecza.

– Mieszkasz tutaj?

– Tak, na górze mamy mieszkanie. – Teraz to ja jestem zdezorientowana. – Skoro nie wiedziałeś, że tu mieszkam, to czemu przed wejściem pukaleś?

– Ponieważ założyłem, że musiałaś przyjść wcześniej, żeby wszystko przygotować przed otwarciem.

– I właśnie w takich sytuacjach przydaje się odpowiednia doza obserwacji.

Chłopak się śmieje.

– Nie wyobrażasz sobie, jak wiele materiału na koszmarne sny dostarczyć może sklep z lalkami. Te anielsko wyglądające lale od lat mordują mnie na mnóstwo sposobów.

– To rzeczywiście... makabra.

Teraz ja się śmieję.

– To co tutaj robisz?

– Zamierzam się zająć zakupami u Eddiego. Nie widać? A skoro to dzięki tobie poznałem tę truciznę, uznałem za słuszne podzielić się z tobą łupem.

– Lubisz patrzeć na te lalki, prawda? Tęsknisz za ich widokiem.

Posyła mi jeden ze swoich oszczędnie dawkowanych uśmiechów.

– Właśnie, strasznie się za tym sklepem stęskniłem.

Odkładam telefon na ladę, otulam dłońmi ciepły kubek i prowadzę nas na

zaplecze. Idzie za mną. Siadam na starej kanapie i opieram nogi o ławę.

Xander stawia torbę od Eddiego i kawę na blacie koło moich stóp, zdejmuje kurtkę i siada obok mnie.

– A więc, Caymen...

– A więc, Xander...

– To jak te wyspy.

– Słucham?

– Twoje imię. Caymen. To jak Kajmany. To ulubione miejsce na wakacje twojej mamy czy coś w tym stylu?

– Nie, trzecie z ulubionych miejsc. Mam starszego brata imieniem Paris i starszą siostrę Sydney.

– Łał. – Otwiera torbę, wyjmując muffinkę i podaje mi ją. Jej wierzch skrzy się cukrem. – Naprawdę?

Odwijam ją ostrożnie.

– Nie.

– Czekać, nie masz starszego rodzeństwa czy tylko nazywają się inaczej?

– Jestem jedynaczką. – Głównie dlatego, że jestem nieślubnym dzieckiem i nie utrzymuję kontaktów z ojcem. Czy po takim stwierdzeniu by nie nawiał? Pewnie tak. Czemu więc nie powiedziałam tego głośno?

– Notatka: Caymen bardzo dobrze wychodzi sarkazm.

– Jeżeli te notatki sporządzasz na użytek oficjalnego dossier, wolałabym, żebyś wykreślił słowo „bardzo”, zastępując je określeniem „wybitnie”.

W jego oczach pojawia się wesołość i choć nie całkiem dociera do ust, wydaje się, że Xander uznał to za zabawne. A mama zawsze powtarzała, że mój sarkazm odstrasza ludzi.

– W porządku, twoja kolej – mówi Xander.

– Na co?

– Zadaj mi pytanie.

– Okej... Hm... Często zmuszasz dziewczyny do tego, żeby cię zapraszały do siebie?

– Nigdy. Zazwyczaj same mnie zapraszają.

– Na pewno.

Odchyła się i zjada kawałek muffinki.

– A jakie, Panno Obserwatorko, było twoje wrażenie, gdy mnie zobaczyłaś po raz pierwszy?

– Kiedy wszedłeś do sklepu?

– Tak.

Łatwizna.

– Arogancik.

– Naprawdę? Dlaczego tak pomyślałaś?

Jest zaskoczony?

– Myślałam, że to moja kolej na zadanie pytania.

– Słucham?

– Nie na tym polega ta gra? Że na zmianę zadajemy sobie pytania?

Patrzy na mnie wyczekująco. Uświadamiam sobie, że nie przychodzi mi na myśl żadne pytanie. A może raczej mam ich zbyt wiele. Choćby takie, dlaczego właściwie tu jest? Kiedy sobie uświadomi, że nie gram w jego lidze? Czemu konkretnie wydał mi się interesujący...? Jeśli tak to można określić...

– Mogę już szykować sklep?

## Rozdział 9

**N**ie. Okej, moja kolej. Co sprawiło, że wyszedłem na aroganta?

Przyglądam się fałdzie na rękawie jego T-shirta – wyraźnej wskazówce, że był prasowany. Kto prasuje T-shirty?

– Skinąłeś na mnie – mówię, przypominając sobie tamten pierwszy dzień.

Jego brązowe oczy już wpatrują się w moje. Nawet widoczne w nich złote cętki przypominają mi o jego bogactwie.

– Co zrobiłem?

– Ty zostań tutaj. Ja będę tobą. – Idę na drugi koniec magazynu i udaję, że wchodzę drzwiami, trzymając przy uchu komórkę. Wykonuję kilka rozkołysanych kroków, staję i wpatruję się w ścianę, potem podnoszę rękę i kiwam na niego. Czekam, żeby się roześmiał, ale gdy na niego patrzę, widzę na jego twarzy zawstydzenie.

– Może odrobinę przesadziłam – mówię, chociaż wiem, że nie.

– Tak wyglądałem w twoich oczach?

Chrząkam i powoli wracam na kanapę.

– A tak właściwie jesteś tym piłkarzem czy geniuszem matematycznym?

– Słucham?

– Twoja babcia tak was chwali. Zastanawiam się, którym wnukiem jesteś?

– Tym, który jeszcze niewiele osiągnął.

Trącam kapciem nogę ławy.

– Zdajesz sobie sprawę, z kim rozmawiasz?

– Zdaję, Caymen.

Przewracam oczami.

– Rzecz w tym, że jestem królową braku osiągnięć, więc w tej dziedzinie biję cię na głowę.

– Czego takiego nie zrobiłaś, a chciałabyś zrobić?

Wzruszam ramionami.

– Nie wiem. Staram się za wiele o tym nie myśleć. Idealnie wystarcza mi moje życie. Sądzę, że brak poczucia szczęścia bierze się z niespełnionych oczekiwań.

– Im mniej więc oczekujesz od życia...

– Nie. To nie tak. Po prostu próbuję czuć się szczęśliwa i o niczym więcej nie marzyć. – Przynajmniej ta druga rzecz wychodzi mi lepiej. A przebywanie w otoczeniu takich ludzi jak on przypominałoby mi jedynie o wszystkim, czego mi brak.

Xander kończy muffinkę, potem wyrzuca papieraek do torby.

– I to działa? Czujesz się szczęśliwa?

– Przeważnie.

Podnosi styropianowy kubek jak do toastu.

– I tylko to się liczy, czyż nie?

Przytakuję i podnoszę nogę na blat ławy. Przez ten ruch gniecie się lista zamówień, którą mam w kieszeni. Wyciągam ją.

– Powinnam iść. Muszę jeszcze popracować, zanim otworzymy.

– Jasne. Oczywiście, już sobie idę. – Chwilę się waha, jakby chciał coś jeszcze powiedzieć.

Wstaję, a on idzie w moje ślady i bierze kurtkę. Odprowadzam go do głównych drzwi i je otwieram.

Kiedy się oddala, dociera do mnie, jak mało dowiedzieliśmy się o sobie wzajemnie z tej sesji pytań i odpowiedzi. Wciąż nie wiem, ile ma lat, gdzie chodzi do szkoły i co lubi robić. Czy celowo unikaliśmy tego rodzaju pytań?

Oboje pytaliśmy o sprawy niedorzeczne i bez znaczenia, bo tak naprawdę żadne z nas nie chciało poznać tego drugiego?

Xander wciska guzik na kluczykach i zaraz odzywa się bajerancka srebrzysta sportowa fura stojąca przed sklepem. Ten samochód wystarcza mi za wszystkie odpowiedzi, które mogłabym uzyskać. Niczego więcej mi nie trzeba. Xander otwiera drzwiczki, posyła mi ten uśmiech i słyszę, jak krzyczę:

– Kończysz już szkołę?

Kiwa głową.

– A ty?

– Też. – Podnoszę kubek. – Dzięki za śniadanie.

– Nie ma sprawy.

Zamykam drzwi i opieram się o nie. Po co to?

Oderwanie się od drzwi i powrót na górę zajmuje mi kilka minut. Mama jest w łazience, więc przyciągam krzesło do starego komputera i zaczynam wprowadzać zamówienia.

– Czyżbym słyszała dzwonek telefonu? – pyta mama, wchodząc do kąpika, w którym jemy, i wycierając mokre włosy ręcznikiem.

– Tak. Odebrałam.

– Kto to był?

– Ktoś pytał, o której otwieramy.

I tak oto pierwszy raz w życiu okłamałam mamę. Wszystko sobie mówimy. Sama więc jestem zaskoczona, bo powinnam powiedzieć: „Ten chłopak, Xander – tak właśnie się przedstawia, Xander – który chodzi w prasowanych T-shirtach i nosi biżuterię”. Byłby z tego ubaw. Mama próbowałaby udawać zbulwersowaną, pogadałybyśmy o tym, że on pewnie strzyże się dwa razy w miesiącu. Zauważyłaby uprzejmie, że „najlepiej nie zadawać się z takimi ludźmi”. Ja bym się z nią zgodziła. Bo się z nią zgadzam.

Co więc mnie powstrzymało?

– Mamo, możesz dokończyć te zamówienia? Jeśli nie skorzystam z suszarki, moje włosy po wyschnięciu będą wyglądały tak, jakby strzelił w nie piorun.

– Tak, oczywiście.

– Dzięki.

Zamykam się w łazience i przyciskam dłonie do oczu. Co mnie powstrzymało?

Lojalność. Nie chciałam, żeby mama poczuła do niego niechęć. Temu chłopakowi jakoś udało się wydostać z pudełka pełnego ludzi już spisanych przez mnie na straty i zacząć się od nich różnić. A ja, ku swojej irytacji, czuję się przez to w jakiś sposób lojalna wobec Xandra Spence'a. Trzeba będzie to niezwłocznie zmienić.

## Rozdział 10

**W** poniedziałek rano macham mamie na do widzenia i otwieram drzwi sklepu. Idąc do szkoły, zwracam uwagę na zaparkowany kilka domów od niej sportowy samochód; wygląda zupełnie tak samo jak ten Xandra. Schylam się, żeby zajrzeć do środka, a gdy się prostuję, naprzeciw mnie stoi Xander. Aż podskakuję. Podaje mi kubek gorącej czekolady, a ze swojego upija łyk.

Przyglądam się kubkowi – taki sam jak przedwczoraj.

– Pod warunkiem, że pierwszy się z niego napijesz – mówię, nie pozwalając sobie na pytanie: „Co tutaj robisz?”. To mogłoby zdradzić, że mnie to obchodzi.

Zabiera mi kubek, pije, a potem oddaje.

Tak mocno zaskakuje mnie to, jak reaguje na mój sarkazm, że nie mogę się nie roześmiać.

– O ile wiem, u Luigiego co czwartek wieczorem odbywają się spotkania uzależnionych od muffinek Eddiego. Jeśli nie pomogą, słyszałam też, że jest na to tabletki.

– Obawiam się, że z tym moim uzależnieniem nie mam jeszcze ochoty się żegnać – odpowiada.

Przyglądam mu się z ukosa. Nadal chyba rozmawiamy o muffinkach?

– Współczuję.

– To czyja kolej na zadanie pytania? – pyta.

– Moja – zapewniam, choć tak naprawdę to nie pamiętam. Wolę jednak



zadawać pytania, niż na nie odpowiadać.

– Okej. To jak ono brzmi?

– Masz braci? – Wiem, że nie ma sióstr, bo jego babcia mówiła, że ma tylko jedną wnuczkę, od niego zaś wiem, że to jego kuzynka.

– Tak, mam dwóch starszych braci. Samuel ma dwadzieścia trzy lata, właśnie skończył prawo.

– Gdzie studiował?

– Na Harvardzie.

Oczywiście.

– Mój drugi brat, Lucas, ma dwadzieścia lat i nie mieszka z nami, bo studiuje.

– To całkiem normalne imiona.

– Normalne?

– Żaden tam Chet albo Wellington, nic w tym stylu.

Unosi brew.

– Znasz jakichś Wellingtonów?

– Oczywiście, że nie, ale ty pewnie tak.

– Akurat nie.

– Hm – komentuję.

– Okej, moja kolej.

Uśmiecham się, ale jednocześnie zżerają mnie nerwy. Autentycznie chciałabym mieć kontrolę nad wszystkimi zadawanymi tu pytaniami. Wtedy mogłabym unikać tych, na które wolałabym nie odpowiadać.

– Nosisz soczewki?

– Co? To twoje pytanie?

– Tak.

– Nie, nie noszę. A czemu?

– Jeszcze nie widziałem tak zielonych oczu jak twoje. Myślałem, że to może

za sprawą kolorowych soczewek.

Odwracam głowę, żeby nie widział mojego uśmiechu, i w duchu przeklinam go za to, że poczułam się kimś wyjątkowym.

– A ty?

– Oczywiście, że nie noszę soczewek. Myślisz, że zależałoby mi na tym nudnym brązie?

– Dzięki złotym cętkom bardziej wpadają w bursztyn. – Powinnam sobie nakopać za przyznanie, że to zauważyłam, tym bardziej że Xander uśmiecha się szeroko.

– Ja już tutaj. – Wskazuję stary budynek po prawej, w którym mieści się moja szkoła. Stanął tam siedemdziesiąt pięć lat temu i choć wyróżnia się rzadką w dzisiejszych czasach architekturą, zdecydowanie przydałaby mu się renowacja.

Xander przypatruje się mojej szkole. Niespokojnie przestępuję z nogi na nogę, zastanawiając się, co sobie o niej pomyślał. A także czemu obchodzi mnie, co sobie myśli. Sam prawdopodobnie chodzi do jednej z dwóch prywatnych szkół w naszym miasteczku. Oto, ilu mamy tu bogatych ludzi – wystarczająco wielu, żeby w niedużej nadmorskiej miejscinie trzeba było aż dwóch prywatnych szkół.

Patrzy znów na mnie.

– To widzimy się niedługo.

– To niedługo miało oznaczać, że będziesz tu o dwunastej, żeby odprowadzić mnie do domu? Bo nie wiem, czy zniosę cię dwa razy dziennie.

Cieężko wzdycha.

– A moja babcia uważa, że jesteś słodka. – Potem lekko ściąga brwi. – Lekcje u was trwają do południa?

– No, nie dla wszystkich, ale tak. Ja wychodzę w południe.

– Dlaczego?

– Hm... – Macham ręką w stronę sklepu. – Zwolnienie ze względu na pracę. Robi wielkie oczy.

– Tracisz pół dnia w szkole, żeby pracować w sklepie?

– To nic takiego... To był mój pomysł... Naprawdę nie ma się czym przejmować, skoro mogę pomóc. – Wiem, że się płaczę, bo w głębi duszy się tym przejmuję, i to bardzo, czym prędzej więc ucinam wyliczankę argumentów i poprzestaję na: „Lepiej już pójdę”.

– Okej. Cześć, Caymen. – Zawraca i idzie do samochodu, nawet się nie oglądając.

\* \* \*

– Caymen – mówi pan Brown, kiedy wchodzę na nauki przyrodnicze kilka minut spóźniona.

– Przepraszam, wpadłam na kolcorośl i musiałam się z niej wyplątać. – To w pewnym sensie odpowiada prawdzie.

– Chociaż twoje tłumaczenia mocno wyróżniają się kreatywnością, nie o to mi chodzi.

Reszta klasy zaczęła już zajmować się doświadczeniami i ja też chciałabym się do nich zabrać. Wygląda na to, że dziś w użyciu są substancje chemiczne.

Pan Brown chyba zauważył moje spojrzenie, bo mnie uspokaja:

– To zajmie tylko chwilę.

Niechętnie podchodzę do jego biurka. Podsuwa mi kilka kartek.

– To z uczelni, o której ci mówiłem. Specjalizują się w matematyce i naukach przyrodniczych.

Zgarniam papiery.

– Ach tak, dzięki.

Już na początku roku nauczyłam się, że w sprawie studiów lepiej nadawać na tej samej fali co nauczyciele, niż próbować im wyjaśnić, że chce się je na

jakiś czas odłożyć. Wpycham papiery do plecaka i zajmuję miejsce przy swoim stanowisku. Na początku roku okazało się, że jest nas w klasie nieparzysta liczba. Pan Brown zapytał, czy ktoś chciałby siedzieć sam. Podniosłam rękę. W laboratorium wolę już pracować sama, niż żeby ktoś miał mi coś schrzanić. Wszystko przychodzi o wiele łatwiej, gdy nie trzeba polegać na innych.

\* \* \*

Następnego ranka Xander znów czeka pod sklepem, swobodnie oparty o słupek latarni, jakbyśmy od początku szkoły chodzili do niej razem.

Upija łyk mojej gorącej czekolady, a potem mi ją podaje i zaczynamy iść.

Piję. Parzy mi przełyk. Nic z tego nie będzie. Powinien zniknąć, żebym mogła wrócić do normalnego życia i drwin z ludzi jego pokroju. Może wybiłoby mi to z głowy czekanie na każdy poranek.

– A zatem, panie Spence, jeden z pana braci jest prawnikiem, a drugi studiuje na jakiejś bajeranckiej uczelni. Co kryje pana przyszłość?

– Pod tym względem jestem podobny do ciebie.

– Chyba w innym życiu?

Uznał to pewnie za żart, bo się śmieje.

– Oczekuje się ode mnie, że przejmę rodzinny interes.

– Dlaczego myślisz, że czeka mnie to samo?

– I pracujesz tam, i mieszkasz, pomagasz prowadzić sklep... Jestem pewien, że twoja mama myśli, że z czasem ją zastąpisz.

Pogodziłam się z tym faktem dawno temu, ale to, że wspomina o tym ktoś inny, coś we mnie odpala.

– Nie zamierzam wiecznie prowadzić sklepu z lalkami.

– To lepiej zacznij wysyłać inne sygnały. Już teraz.

– To wszystko jest bardziej skomplikowane. – Nie mogłabym tak po prostu

odejść i zająć się czymś innym. Mama na mnie liczy.

– W pełni to rozumiem.

Teraz moja kolej, żeby wybuchnąć śmiechem. On w ogóle nie byłby w stanie zrozumieć mojej sytuacji. Patrząc na jego styl życia, nie ulega wątpliwości, że nawet jeśli nie wejdzie w ten „rodzinny interes”, nic się tam nie zawali. Rodzinę nadal będzie stać na płacenie rachunków. Jego przyszłość kryje w sobie nieograniczone możliwości.

– Co byś robiła zamiast tego? – pyta.

– Jeszcze nie wiem. Lubię chyba nauki przyrodnicze, ale jak bym to wykorzystała? – Odpowiedź na to pytanie wymagałaby, żebym już w momencie dorastania wiedziała, że wybór w tej kwestii należy do mnie. – A czemu ty?

– Czemu ja?

– Tak, czemu ty masz przejąć ten interes? Dlaczego nie twoi bracia?

– Ponieważ ja nic nie działałem. Nie pokazałem żadnej mocnej strony, więc mój tata sam ją za mnie wybrał. Mówi, że skoro jestem dobry na w różnych dziedzinach, to nadaję się także do tego, żeby firmować ten interes. Dlatego wysyłają mnie w świat.

– Co to za rodzinny interes?

Przekrzywia głowę, jakby próbował stwierdzić, czy pytam poważnie.

– The Road’s End.

Próbuję złapać sens tej informacji.

– Macie hotel?

– Można tak powiedzieć.

– Co znaczy „można tak powiedzieć”? Albo macie, albo nie macie.

– Jest ich pięćset.

– Okej.

– No i wszystkie są nasze.

– Oo. – Dopiero do mnie dociera. – I wszystkie należą do was... – Jasna cholera. Ten koleś jest bogaty, ale przez ogromne B. Cała tężeję.

– Owszem. I przygotowuję mnie do tego, żebym pewnego dnia je przejął. Tak jak ty sklep.

Tak jak ja sklep. *Bliźnięta jak się patrzy*. Jesteśmy już pod moją szkołą. To dlatego zaczął się wokół mnie kręcić? Mam ochotę mu powiedzieć, że jeśli uważa, iż odkrył jakąś więź ze mną z uwagi na „podobieństwo” naszych sytuacji, powinien to ponownie przemyśleć. Nie mogę się jednak na to zdobyć i nie jestem pewna, czy jest tak dlatego, że nie chcę ranić jego uczuć czy własnych.

– Do zobaczenia...

Tym razem ja oddalam się pierwsza, nie oglądając się za siebie.

## Rozdział 11

**P**ierwszy raz od niepamiętnych czasów mamy w sklepie dwoje klientów. To jakby dwie grupy, które przyszły osobno i obie oczekują pomocy.

Nie za dobrze sobie radzę z dziećmi – i może to jest powód, dla którego podczas przyjęć dla nich jestem zsyłana na „odcinek malowania oczu”. Dlatego mama, bez jakiegokolwiek uzgodnienia ze mną, kieruje się w stronę innej mamy i jej córki, a ja podchodzę do kobiety w średnim wieku.

– Dzień dobry. Czy mogę w czymś pomóc?

– Tak. Byłam tu kilka miesięcy temu, mogło minąć nawet więcej niż pół roku, nie jestem tego pewna, i była tu wtedy taka lalka.

Kiedy na tym kończy, mówię:

– Zajmę się tym. Nie lubimy, jak lalki nachodzą nasz sklep.

Śmieje się bez przekonania. Może to raczej nerwowy chichot.

– Wiem, powinnam być bardziej precyzyjna. – Przechodzi wzdłuż tylnej ściany, uważnie przyglądając się dosłownie każdej z lalek.

Idę w ślad za nią.

– Jeśli ją pani opisze, zacznę sporządzać listę podejrzanych.

– Ciemne kręcone włosy, dołeczek w lewym policzku.

Kobieta opisuje siebie. Wielu ludzi zakochuje się w lalkach, które ich przypominają. Przyglądam się więc tej kobiecie nieco uważniej i próbuję określić, którą z lalek można by uznać za podobną do niej.

– Tina – ogłaszam w końcu. – To była lalka siedząca?

– Tak. – Na twarzy kobiety pojawia się szeroki uśmiech. – Tak, wydaje mi

się, że nazywała się Tina.

– Powinna być tam. Pozwoli pani, że spojrzę. – Idę w kąt sklepu, gdzie poprzednio widziałam Tinę, ale już jej tam nie ma. – Sprawdzę na zapleczu. Lalki, które dobrze się sprzedają, prawie zawsze zamawiamy ponownie.

Boczna ściana magazynku zastawiona jest regałem, na którego półkach piętrzą się na tyle duże pudełka, by mieścić pojedyncze lalki. Na węższej ścianie każdego z pudełek wypisane jest imię. To coś w rodzaju naszej osobistej krypty porcelanowych lalek. Gdzieś w połowie regału zauważam imię Tina. Przyciągam drabinkę i zdejmuję to pudełko, zresztą bardzo lekkie. Już na podłodze, po przekopaniu się przez styropianowe chrupki, pojmuję dlaczego. Lalki nie ma. To dziwne. Przez chwilę stoję zdezorientowana, niepewna, co dalej robić. Potem wracam na salę sprzedaży i przerywam mamie w pół zdania.

– Przepraszam, mam, mogę cię prosić na chwileczkę?

Podnosi palec, a gdy już kończy rozmawiać z klientką, idzie ze mną za kasę.

– O co chodzi?

– Poszłam wyjąć Tinę z pudełka, ale wszystko wskazuje na to, że została uprowadzona.

– Och, tak, przepraszam, sprzedałam ją jakiś czas temu. Widocznie zapomniałam schować do szuflady plakietkę z imieniem.

– Nic się nie stało. Po prostu się wystraszyłam. Powiem klientce, że możemy ją dla niej zamówić. – Już prawie idę.

– Caymen – mówi mama, zniżając głos.

– Słucham?

– Może zanim cokolwiek zamówimy, postarasz się sprzedawać to, co mamy na półkach?

Kiwam głową. Oczywiście. Od pięciu minut nie padły bardziej sensowne słowa. Mama chce przede wszystkim sprzedać to, co mamy na stanie, i nie



spieszyć się z zamówieniami. To dobry sposób na wyciągnięcie nas z dołka. Momentalnie czuję ulgę, bo wiem, że ma plan na uporanie się z tą wielką czerwoną liczbą z księgi rachunkowej.

– Tak mi przykro – tłumaczę tamtej pani. – Tina znalazła już nowy dom, jestem jednak przekonana, że mamy też inne lalki, podobne do Tiny, które mogą się pani spodobać. Pozwoli pani, że przedstawię moją ulubienicę. – Ulubienica to pojęcie względne, oznacza tylko tyle, że akurat ta lalka wydaje mi się najmniej wkurzająca.

\* \* \*

Kobieta tego nie kupiła. Po obejrzeniu pięciu lalek bardzo podobnych do Tiny jest wyraźnie zmartwiona. Jej głos zaczyna się łamać, policzki ciemnieją.

– Naprawdę zależy mi na Tinie. Czy istnieje możliwość, żeby ją zamówić? Macie tu jakiś katalog?

Mama, która pożegnała się już ze swoimi klientkami, dołącza do nas.

– Mogę w czymś pomóc?

– Mieliście tutaj lalkę, którą chcę kupić, i okazuje się, że została sprzedana.

– Chodzi o Tinę – przypominam mamie.

– Czy Caymen pokazała pani inne lalki?

– Tak, ale one się nie nadają.

– Czy w Tinie jest coś szczególnego, co sprawia, że jest dla pani wyjątkowa?

– Tak. Mój ojciec kupił mi lalkę, gdy byłam jeszcze dzieckiem. Kiedy podrosłam, ta lalka przeszła w inne ręce, a potem straciłam ojca. Kiedy kilka miesięcy temu zobaczyłam Tinę, nie mogłam się nadziwić, jak bardzo przypomina moją lalkę. Tamtego dnia jej nie kupiłam, ale nie jestem w stanie o niej zapomnieć. Po prostu naprawdę chcę mieć tę lalkę. – Z oczu kobiety wemyka się kilka łez, które klientka szybko ściera.

Skrepowana odwracam wzrok. Możliwe zresztą, że chodzi też o coś więcej; może jestem zazdrosna o to, że ktoś może odczuwać taką bliską więź z ojcem, że nawet po jego śmierci nie potrafi myśleć o nim bez emocji. Ja na myśl o moim ojcu czuję tylko pustkę.

Mama klepie ją po ramieniu i zapewnia:

– W pełni to rozumiem. – Czy rzeczywiście rozumie? Mama została wydziedziczona przez swojego ojca. Czy pocieszając tę panią, myśli o tym? Czy w ogóle zaprzęta sobie tym głowę? Czy, podobnie jak ja, próbuje upchnąć to w najgłębszych zakamarkach umysłu, mając nadzieję, że to coś nigdy się stamtąd nie wymknie, zwłaszcza w obecności innych ludzi?

– Współczuję takiej straty – kontynuuje mama. – Bywa, że drobiazgi na swój małeńki sposób potrafią przywołać kogoś dla nas ważnego. – Macha ręką w moją stronę i dodaje: – Caymen bywa czasem zbyt zasadnicza, ale zdecydowanie możemy dla pani zamówić tę lalkę. I prawdopodobnie będziemy mogły ją sprzedać po wyjątkowo atrakcyjnej cenie.

Proszę bardzo, zrób ze mnie kozła ofiarnego. Mogę to wziąć na siebie. Niepokoi mnie raczej fakt, że mama znów nie myśli o naszych problemach finansowych. Czy ten sklep już dawno by nie upadł, gdybym nie powstrzymywała jej przed dawaniem klientom zbyt wielu zniżek i obdarowywaniem dziewczynek dodatkowymi ubrankami dla urodzinowych lalek...?

– Z całą pewnością – mówię. – Przejdźmy teraz do katalogu, żebyśmy miały pewność, że mówimy o tej samej lalce. – Prowadzę ją tam, a potem dodaję: – Przy złożeniu zamówienia pobieramy zapłatę z góry. – Tego tylko brakowało, żebyśmy zamówiły lalkę, po którą ta pani nigdy się nie zgłosi.

Zaraz po wyjściu klientki mama odwraca się do mnie.

– Caymen.

– Słucham?

– Wierzyć mi się nie chce, że przebywając z tą klientką dobre pół godziny, nie odkryłaś, czemu potrzebuje tej lalki. Caymen, troszczymy się o innych. Miałam wokół siebie zbyt wielu ludzi przejmujących się tylko sobą, żeby teraz wychować córkę, która nie myśli o innych, choćby i nieznajomych.

Nie umknęła mojej uwadze niezbyt zawoalowana przez mamę krytyka pod adresem mojego ojca, ale to uogólnienie mnie zaniepokoiło. Czyżby to nie o pieniądze chodziło w tym, jak odnosił się do niej ten maleńki wycinek sfery ludzi obrzydliwie bogatych, z którym miała do czynienia?

– Poleciałaś mi spróbować ją nakłonić do kupienia lalki, którą już mamy na stanie.

– Nie kosztem jej uczuć.

– Uczucia nic nie kosztują. Lalki tak.

Mama uśmiecha się lekko, a potem przesuwa dłoń po moim policzku.

– Uczucia, o czym może się kiedyś przekonasz, moja droga córeczko, mogą być najkosztowniejszą rzeczą na tym świecie.

I właśnie takie podejście grozi sklepowi ruiną.

\* \* \*

Kiedy później siedzę w moim pokoiku, jej słowa raz po raz kołaczą mi się po głowie. Uczucia mogą być najkosztowniejszą rzeczą na tym świecie. Co to znaczy? Oczywiście, rozumiem sens tych słów, ale co oznaczają dla niej? Mówiła o moim ojcu? O swoim?

Zdejmuję z górnej półki szafy brulion zatytułowany *Dawca organów*, znajduję czystą kartkę i zapisuję na niej zdanie wypowiedziane przez mamę. Tu właśnie przechowuję wszystkie informacje, jakie mam o moim tacie. Wiem niemało: jak się nazywa, gdzie mieszka, nawet to, jak wygląda. Z ciekawości obejrzałam go sobie w internecie. Pracuje w jakiejś wielkiej kancelarii prawniczej w Nowym Jorku. Ale wiedzieć coś o kimś to nie to samo, co go

znać. Dlatego w tym brulionie zapisuję też wszystko, co mama kiedykolwiek powiedziała o tacie. Nie ma tego wiele. Znała tatę w młodości i był to krótki związek, który nagle się skończył. Często się zastanawiam, czy rzeczywiście go znała. Rzadko uzyskiwałam odpowiedź na moje pytania o niego, przestałam więc pytać. Ale co jakiś czas mama niespodziewanie mówi coś, co pragnę zapamiętać. Coś, co może mi pomóc odkryć... Jego? Siebie samą?

Nawet takie myślenie budzi we mnie złość. Jakbym bez niego była niekompletna. Zostawił moją mamę zdaną na samą siebie. Jak mogłabym chcieć choć trochę go przypominać? Ale jestem osobą praktyczną, racjonalistką i jeśli kiedyś będę zmuszona go odszukać, chcę wiedzieć najwięcej, jak to możliwe.

Zamykam brulion i jeszcze raz podkreślam nadany mu tytuł. Nigdy nie wiadomo, czy któregoś dnia nie będzie się potrzebowało nerki czy czegoś takiego. Właśnie dlatego prowadzę ten brulion. Tylko z tego powodu.

## Rozdział 12

**N**astępny ranek nie bardzo poprawił mi nastrój. Gdy zaczynam myśleć o tacie, zawsze łapię doła. A odkrycie na zapleczu pustego pudełka po lalce uświadomiło mi, że sklep ma większe problemy, niż przypuszczałam. Miałam nadzieję, że zawsze wychodzimy z długów, teraz jednak wiem, że tak nie jest. A fakt, że mama zamówiła lalkę dla tamtej pani, rezygnując z zysku, uświadamia mi coś jeszcze – że mama może nie mieć takiej smykałki do interesów, by wyciągnąć nas z kłopotów finansowych. Czyżby tylko miesiące dzieliły nas od bezdomności? Czuję spoczywające mi na barkach brzemie i nie wiem, jak sobie poradzić z tym dodatkowym ciężarem.

Chwytam za plecak i wychodzę ze sklepu. Powietrze jest dziś zimne i szczypie mnie w policzki, ledwie znajdę się na zewnątrz. Przed następną przecznicą pojawia się u mego boku Xander i wręcza mi kubek, z którego już się napił. Cieszę się ciepłem powlekającym wewnątrz moich ust i gardła. Wierzyć mi się nie chce, że chodzimy tak razem od początku tygodnia. Ukrywając uśmiech, pociągam kolejny długi łyk.

– Dobrze się czujesz?

Widzę, że przypatruje mi się krytycznie.

– Co? Oczywiście, że tak.

– Bo zwykle już na starcie masz do powiedzenia coś sarkastycznego.

Tak dobrze mnie poznał?

– Czyżbym zapewniała ci zalecaną dawkę codziennych przytyków?

– I to skutecznie. – Zakaszłał. – Okej, nowa gra. W wyzwania, jeśli ci

pasuje.

– Słucham.

– Ty nie wiesz, co chcesz zrobić ze swoim życiem. Ja też nie wiem, czego oczekuję od swojego. Oboje wiemy tylko, że nie chcemy się zajmować ani lalkami, ani hotelami.

– Zabrzmiało groźnie, ale słucham dalej.

– I dlatego zamierzam odkryć twoje powołanie, a ty możesz poszukać mojego.

– To znaczy?

– Postaram się określić, co chciałabyś robić.

– Jak?

– Wypróbuj różne możliwości, oczywiście. Nazwijmy to dniami kariery. Pierwszy mam już opracowany. Jutro, godzina trzynasta. Nastaw się.

– Jutro jest sobota. Nie będziesz oglądał meczu tenisowego czy czegoś podobnego?

– Co takiego? Nie. Nie cierpię tenisa.

Rozglądam się na boki.

– Mówiąc coś takiego, lepiej zniżaj głos. Nie chciałbyś, żeby wykopali cię z klubu.

– Próbujesz się wykręcić od swojego pierwszego dnia kariery?

– W soboty pracuję.

– Pora zacząć wysyłać inne sygnały.

W wyobraźni widzę leżący na zapleczu kalendarz na ten miesiąc. Przypominam sobie, jak z mamą wypełniałyśmy go tradycyjnie na początku miesiąca.

– Zamówiono u nas przyjęcie. Mowy nie ma, żebym zostawiła ją samą. – Ale może po tym przyjęciu...

Xander nie mówi ani słowa, tylko podnosi znacząco brew. Brzemię na

moich barkach ciąży jeszcze bardziej i budzi we mnie złość. Dlaczego mam prowadzić mojej mamie sklep? Czemu nie miałabym wybrać sobie innej przyszłości?

– Okej, o pierwszej.

\* \* \*

Jest już sobota, a ja jeszcze nie wspomniałam mamie, że chcę wyjść. Mój krótki wybuch złości przerodził się w poczucie winy. Mama jest zestresowana, a sklep plajtuje. Nie czas, żeby się buntować. Ale czy jakakolwiek pora byłaby właściwa? Jedno popołudnie sklepu nie zrukuje... Na to przynajmniej liczę.

Rozpiska potwierdza, że mamy przyjęcie urodzinowe od dziesiątej do południa. Idealna sytuacja, żeby pomóc i załatwić to na tyle wcześnie, żeby wyjść z Xandrem. Wyjść z Xandrem. Na randkę. Czy o to mu chodzi? Staram się nie uśmiechać, ale mięśnie mojej twarzy tak właśnie chciałyby zareagować na tę myśl. Przypominam sobie minę, z jaką przyjął ogłoszenie przez Xandra dnia kariery, i to chyba pomaga.

Mama na zapleczu przygotowuje wszystko do przyjęcia, a ja pilnuję sklepu. Wiem, że muszę z nią pomówić, ale z tym zwlekam. Wciąż gryzie mnie poczucie winy. W sklepie nikogo nie ma, przekradam się więc korytarzykiem i patrzę, jak mama rozkłada na stole ubranka dla lalek.

Odwraca się po kolejny stosik i mnie zauważa.

– Hej. – Zerka nad moim ramieniem. – Jestem ci potrzebna?

– Nie. Chciałam się tylko upewnić, czy nie potrzebujesz pomocy. – Straszny z ciebie mięczak, Caymen.

– Jest okej. Przygotowałam wszystkie farby do oczu?

– Tak.

– No to myślę, że jesteśmy gotowe.

– Okej. – Idę do sklepu, ale zmuszam się, żeby zawrócić. Wróciła do pracy. Odkryłam, że o wiele łatwiej jest mi mówić do jej potylicy.

– Hm... Jeśli ci to nie przeszkadza, jestem z kimś umówiona na pierwszą.

Prostuje się i odwraca do mnie, otrzepując ręce. Od siedemnastu lat ze wszystkim czekałam na zamknięcie sklepu. Dopasowywałam swoje życie do godzin jego otwarcia. Wyłącznie po to, żeby uniknąć spodziewanego wyrazu rozczarowania na jej twarzy, gdy o coś takiego poproszę. Jej mina pogłębia moje poczucie winy – to wyczerpanie. Widoczne jest w zmarszczce między brwiami, obniżeniu podbródka. Nie ma go za to w jej głosie, kiedy odpowiada:

– Oczywiście, Caymen. Bawcie się dobrze. Co szykujecie ze Skye?

– Nie chodzi o Skye. To... ktoś ze szkoły.

Nie jestem jeszcze gotowa, żeby wyjaśnić mamie, czemu postanowiłam postąpić wbrew wszystkiemu, za czym obstawała i w czym się z nią zgadzałam, i skumać się z samym Królem Bogaczy. Nie trzeba jej teraz w życiu dodatkowych stresów. Jaki zresztą miałyoby to sens, skoro w ciągu kilku tygodni Xander przekona się, jak żyje ta druga połowa społeczeństwa? Wtedy się mną znudzi i ruszy dalej, szukając kolejnej zabawki.

Wraca do pracy.

– To o pierwszej.



## Rozdział 13

**K**iedy do sklepu wchodzi dziesięć małych dziewczynek, kieruję je na zaplecze, a mamę widzę dopiero, gdy zaczyna przynosić mi lalki i mówić, jaki kolor oczu został do każdej z nich przypisany. Całą energię skupiam na nieprzekraczaniu zaznaczonych granic lalczych oczu, dodając zieleń i czerń. Jedna z dziewczynek poprosiła o brązowe oczy, nanoszę więc warstwę ciemnego brązu. Potem wyciskam na plastikową tackę odrobinę złotej farby i wybieram najmniejszy pędzelek. Niezwykle skoncentrowana znaczę brąz złotymi punkcikami.

Dzwoni dzwonek nad drzwiami, a ja podskakuję, przekreślając złotą smugą czarną źrenicę.

– Cholera – wzdycham.

– Jestem trochę wcześniej – mówi Xander, kiedy zaskoczona podnoszę wzrok.

Zegar na kasie wskazuje dwunastą trzydzieści. Przyjęcie miało się skończyć pół godziny temu. Nie zdawałam sobie sprawy, że jest już tak późno. Gdybym to zauważyła, poszłabym na zaplecze i popędziła towarzystwo, jak to wielokrotnie robiłam.

Xander podchodzi bliżej i przejeżdża palcem po swoim policzku.

– Masz coś na twarzy. Może farbę?

– Aha. No tak. – Wycieram policzek.

– Jeszcze tam.

Podchodzi bliżej, a do mnie dociera, że wciąż trzymam pędzelek ze złotą

farbą, na ladzie przede mną zaś siedzi lalka o oczach w złote cętki.

– Popilnujesz sklepu przez chwilkę? – walę prosto z mostu, zeskakuję ze stołka, chwytam lalkę i ruszam na zaplecze, nie czekając na jego odpowiedź. –

Mamo, przekroczyłaś  
czas.

– Co takiego? Naprawdę? – Klaszcze w dłonie. – Dziewczynki, pora kończyć. – Rzuca mi przez ramię spojrzenie, w którym łączy się „Tak mi przykro” i „Znasz mnie przecież”. Rzeczywiście ją znam i przez to spojrzenie chce mi się śmiać.

– Uporałaś się już z tą lalką? – Podnosi z blatu suszarkę, żeby wysuszyć oczy.

Opuszczam wzrok na trzymaną lalkę.

– Tak. Och, zaczekaj. Nie. Schrzaniłam ją.

Uważnie przygląda się oczom lalki.

– Nawet ładnie wyszło – mówi. Ta złota smuga na źrenicy wygląda na dodaną celowo, jak błysk w oku. – Sądzę, że powinnaś to tak zostawić.

– Okej. – Przekazuję jej lalkę. – Mój gość już tu jest. – Po tych słowach mama zaczyna strzelać wzrokiem dookoła. – Poczekam, aż dziewczynki wyjdą, ale cały bałagan zostaw, posprzątam jak wrócę.

– Niech będzie.

Wracam do sklepu. Słyszę jeszcze, jak mama mówi:

– Dobrze, a teraz ubierzmy tę lalę.

Kiedy wchodzę, Xander znów przygląda się wizytówce.

– Nie ma tam żadnego ukrytego przesłania – mówię.

Odkłada wizytówkę.

– Nie masz telefonu komórkowego.

– Wizytówka ci to powiedziała? – Sprzątam farby, domykam wieczka, a potem zawijam pędzelki w papierowy ręcznik, żeby umyć je na zapleczu.

Zerkam przez ramię w nadziei, że mama akurat teraz nie wyjdzie. Głowią się też, jak poprosić Xandra, żeby zaczekał przed sklepem, nie zdradzając, dlaczego to robię.

– Nigdy niczego takiego nie masz w ręce, kieszeni twoich dżinsów nie wypycha nic prostokątnego, poza tym nie podałaś mi numeru.

– Twój zmysł obserwacji się poprawia. Chociaż nie wydaje mi się, żeby ten ostatni argument potwierdzał twoją teorię. – Chowam farby do plastikowej puszki. – Zaraz wychodzę. Może zaczekasz w samochodzie?

Ani drgnie.

– To nie potrwa długo. Zaraz będę.

– Okej.

Czekam, aż ruszy w stronę drzwi, potem zanoszę pędzelki do zlewu w sali imprez, myję je wodą z mydłem, następnie wstawiam do słoika, żeby wyschły. Dziewczynki zbierają swoje rzeczy i porównują lalki. Wyprzedzam rozbawioną grupkę, a kiedy mijam narożnik, widzę, że Xander jeszcze tam stoi. Zatrzymuję się w pół kroku, a dzieciaki przepychają się wokół mnie. Uśmiecha się, kiedy śmigają koło jego nóg. Odwracam się czym prędzej i przebijam się przez resztę dziewczynek, żeby zasłonić mamie widok.

– Coś nie tak? – pyta mama.

– Wydaje mi się, że któreś dziecko zostawiło tam kurtkę.

– Okej, już po nią idę.

Jedna z dziewczynek zatrzymuje się przy Xandrze.

– Wyglądasz jak mój Ken – mówi wpatrzona w niego.

– Naprawdę? – pyta.

Mała kiwa głową.

– A wiesz, jak ty wyglądasz? – Xander kuca i zaczyna wyjmować telefon, ale już jestem przy nim. Łapię go za ramię i wyciągam za drzwi.

– Musimy już iść.

Xander wzdycha.

– Caymen, właśnie rozmawiałem z tą dziewczynką.

– Która najwyraźniej ma zwidy.

– Wielkie dzięki.

– Bo jednoznacznie bardziej niż Kena przypominasz Dereka, tego bruneta. –

Odprowadzam go aż do samochodu, a potem mówię: – Zaraz wracam.

Gdy wchodzę do sklepu, mama akurat wychodzi z zaplecza.

– Nie widziałam tam żadnej kurtki.

– Widocznie źle ją zrozumiałam, przepraszam.

– Okej. – Wzdycha. – Wesołe były te urodziny. Solenizantka nie mogła się oderwać od lalki.

– Wyglądało na to, że dobrze się bawią. – Przeszuję nerwowo z nogi na nogę. – A tak w ogóle ktoś tam na mnie czeka. Zobaczymy się później. – Szybko kieruję się ku drzwiom.

– Hej, Picasso! – woła mama.

Zatrzymuję się, przekonana, że zobaczyła Xandra na zewnątrz i chce mnie zawrócić. Powoli się odwracam.

– Masz farbę na twarzy. – Wkłada kciuk do ust, a potem wyciągając go, zbliża się do mnie.

– Ani mi się waż. – Wycieram policzek.

Wybuchą śmiechem.

– Bawcie się dobrze.

– Dzięki, mamó. Przepraszam, że zostawiam cię samą.

– Wszystko gra, Caymen.

– Dzięki.

Kiedy wsiadam do samochodu, Xander siedzi w środku, bawiąc się radiem. Moje zmysły atakuje zapach nowej skóry. Tyłu przycisków i ekranów w samochodzie jeszcze w życiu nie widziałam.

Chłopak wyłącza radio, kiedy zapinam pas.

– Mówisz więc, że nawet gdybyś miała komórkę, nie dałabyś mi numeru?

Dopiero po chwili dociera do mnie, że kontynuuje naszą wcześniejszą rozmowę.

– Tego nie powiedziałam. Stwierdziłam tylko, że to za mało konkretny argument, żeby potwierdził twoją teorię.

Opuszcza daszek przeciwsloneczny przede mną, odsłaniając lusterko.

– Wciąż jeszcze masz farbę na twarzy. – Przesuwa palcem po moim policzku, pokazując tę krechę. Na chwilę zapiera mi dech, bo ten jego palec robi to ciut dłużej niż to konieczne.

– Co za uparta farba. – Odwracając głowę, widzę niebieską smugę. Trę ją, aż znika.

Xander otwiera schowek nad moimi kolanami i wyjmuję parę skórzanych rękawiczek. Kiedy je wkłada, nie mogę powstrzymać się od śmiechu.

– Co?

– Masz rękawiczki samochodowe.

– I?

– I to jest zabawne.

– Uroczo zabawne?

Kręcę głową.

– Skoro tak mówisz.

Zwiększa obroty silnika, a potem zjeżdża na jezdnię.

– Dlaczego odnoszę wrażenie, że tam, w sklepie, nie chciałaś, żebym poznał twoją mamę?

Myślałam, że tego nie zauważył. Najwyraźniej się myliłam.

– Bo nie chciałam.

– To wyjaśnia moje wrażenie.

– Ona... Powiedzmy, że trzeba mi trochę czasu, żeby was sobie

przedstawić. – Pięćdziesiąt lat może by wystarczyło.

– Jestem pewien, że bym ją polubił.

– Na pewno byś ją polubił. – Śmieję się.

Zatrzymuje się na skrzyżowaniu, przepuszczając trzy kobiety w jaskrawych płaszczech.

– Czekaj, sugerujesz, że ona by mnie nie polubiła. Jeszcze nie spotkałem mamy, której nie przypadłbym do gustu.

Moje spojrzenia dotyka jego dłoni w rękawiczkach.

– Kiedyś musi być ten pierwszy raz. – Przez jakiś czas obserwuję wystawy sklepów, potem pytam: – Dokąd jedziemy?

– Zobaczysz.

Piętnaście minut później zatrzymujemy się przed hotelem The Road's End.

## Rozdział 14

**C**chodzi o wasz hotel? Jestem najzupełniej pewna, że nie chcę być pokojówką, kiedy dorosnę – mówię do Xandra, gdy jedziemy przez parking.

– Nawet gdybyś chciała, nie sądzę, żebyś dała radę. To ciężka praca.

Mam ochotę odciąć się czymś sarkastycznym, ale jego komentarz tak bardzo mnie zaskoczył, że nic nie przychodzi mi do głowy. Zatrzymuje samochód przed hotelem i wysiada. Idę za nim.

– To nie będzie miało związku z hotelem. Poza tym, że posłuży on jako tło.

– A więc DROM? – pytam skrzeczącym głosem.

– Słucham?

– Nie widziałaś *Lśnienia*?

– Nie.

– Z powoli pogrążającym się w obłędzie Jackiem Nicholsonem?

– Nie.

– To chyba nawet dobrze, skoro twoja rodzina posiada sieć hoteli. Nie polecałabym wam tego filmu. To horror, którego akcja toczy się w hotelu. Dlatego. Jest zbyt straszny.

– A ten drom to co, hipodrom?

– To mord wypowiedziane wspak. – Dodaję do tego trzy złowróżbne dźwięki: – Dum, dum, dum.

Znów patrzy na mnie tak, jakby pytał, czy ja tak na serio.

– Strasznie to zabrzmiało.

– Właśnie o to chodzi. Musisz obejrzeć ten film. Mniejsza o to, czy sprawi, że już nigdy nie przestąpisz progu hotelu. Masz go obejrzeć.

Rzuca kluczyki stojącemu przy wejściu parkingowemu, a potem otwiera drzwi. Hol robi wrażenie. Luksusowe umeblowanie, wielkie rośliny, lśniące płytki na podłodze, a do tego... jest większy niż całe moje mieszkanie. Ludzie w recepcji uśmiechają się, kiedy ich mijamy.

– Dzień dobry, panie Spence.

Chłopak odpowiada nieznacznym ruchem głowy i kieruje mnie w głąb korytarza, dotykając dłonią niższych partii moich pleców. Przechodzi mnie dreszcz. Stajemy przed złotą dwudrzwiową windą i Xander odrywa rękę od moich pleców, żeby ją przywołać. W jej wnętrzu czeka prawdziwy windziarz, w niebieskiej marynarce z wielkimi złotymi guzikami. Wita się z Xandrem i ze mną, ja odpowiadam machaniem. Wciska jakiś guzik blisko dwudziestki. Winda jedzie wyżej i wyżej, aż w końcu zatrzymuje się z brzękiem dzwonka.

Korytarz, na który wychodzimy, jest szeroki i prowadzi do tylko jednych drzwi. Nie mam pojęcia, co za drzwiami, prowadzącymi niewątpliwie do apartamentu, mogłoby mi pomóc w odkryciu, co chcę w życiu robić.

Xander wydaje się jednak podekscytowany, kiedy przekręca gałkę u drzwi i je otwiera. Mnie z miejsca przytłacza nadmiar chaosu i hałasu. Kilku facetów ustawia wielkie reflektory, z których bije białe światło. Jakieś kobiety układają poduszki na kanapie. Wokół tego wszystkiego chodzi gość z wielkim aparatem fotograficznym na szyi, analizując różne perspektywy. Co jakiś czas wyciąga czarną pałkę i przyciska na niej guzik.

– Co my tu robimy? – pytam Xandra.

– To sesja zdjęciowa. Mój tata chce trochę nowych zdjęć z tego pokoju na stronę internetową, więc przysłał mnie tu, żebym tego dopilnował. – Podchodzi do stojącego przy ścianie wysokiego kredensu, wyjmuje z futerału aparat fotograficzny i dokręca do niego obiektyw. – Będziesz naśladowała



tego fotografa. Staniesz się jakby jego uczennicą.

– Uprzedziłeś go, że przez cały dzień będzie mu wchodzić w paradę dziewczyna niemająca pojęcia o fotografowaniu?

– Uprzedziłem. – Staje przede mną i zakłada mi na szyję pasek od aparatu, uwalniając spod niego potem włosy. Staram się nie westchnąć. Xander pachnie drogim mydłem i kosztownym proszkiem do prania. – Był zachwycony, że ktoś chce się od niego uczyć.

– Skoro tak mówisz.

Dzwoni jego komórka, odwraca się więc, żeby odebrać.

– Jak to, gdzie jestem? – Jego ton robi się stanowczy i chłodny. – Tak, jestem na sesji zdjęciowej. Tam, gdzie prosiłeś, żebym był... Tak, dzisiaj zdecydowałem... Okej... Tak... Nie, na dzisiejszy wieczór mam inne plany. W porządku. – Rozłącza się bez słowa pożegnania.

Unoszę brwi i zerkam na jego telefon.

– Mój tata. – Wzrusza ramionami, jakby ten chłód podczas rozmowy był udawany.

– Panie Spence – woła fotograf. – Jeśli jest pan gotowy, zaczynamy.

– Tylko się przebiorę.

Przebierze się?

Kiedy znika, fotograf woła mnie do siebie i pokazuje kilka podstawowych funkcji aparatu, tłumacząc, jak i kiedy robić zdjęcia. Xander wraca w garniturze, w którym totalnie wymiata. Przez ten strój, w zestawieniu z jego konserwatywną fryzurą, wydaje się o wiele starszy niż jest w rzeczywistości. Bierze ze stołu jakiś magazyn i siada na kanapie. W życiu nie widziałam, żeby ktoś tak dobrze wyglądał w garniturze. Fotograf strzela kilka fotek, a potem zaczyna go ustawiać. Później robi jeszcze z tuzin zdjęć i odwraca się do mnie.

– Może teraz ty poprobujesz, kiedy ja będę ustawiał następny plan?

I idzie do kuchni (ten pokój hotelowy ma swoją kuchnię) i zaczyna tam coś

przestawiać.

– Nie mówiłeś mi, że jesteś modelem.

– Chyba powiedziałem, że tata chce, żebym firmował ten interes? – odpowiada i spuszcza wzrok. Pierwszy raz widzę, jak się rumieni. – To krępujące, ale stwierdził, że ludzi bardziej przyciągają zdjęcia, na których jest trochę życia.

– A więc to trafi do folderów i różnych takich?

– Głównie na naszą stronę internetową, ale tak, również do folderów.

Na stronę internetową. Czemu nasz sklep z lalkami nie ma strony internetowej? Uśmiecham się i przykładam aparat do oka.

– W porządku, pięknie. Daj z siebie wszystko.

\* \* \*

Oglądanie Xandra w obiektywie ma swoje zalety. Nie muszę się obawiać zarzutów, że się na niego gapię. W miarę upływu dnia uczę się zoomować i ustawiać ostrość na jego uśmiech lub oczy. Cerę ma wspaniałą. Odrobinę falujące, dość krótkie włosy, układają się doskonale. Ich objętość i połysk są bliskie ideału.

Zabieram się do robienia fotek, bawię się światłem wpadającym przez okna. Najpierw idę w prześwietlenie, kąpiąc jego twarz w blasku, a potem odwracam ten efekt i podświetlam go z tyłu, żeby wyglądał jak mroczny cień obrysowany ostrymi krawędziami i krzywiznami. Kilka ujęć robię z oceanem w tle. Widok z tego pokoju hotelowego jest wspaniały.

– Xander, wrzuc na luz – mówię w pewnej chwili.

– O co ci chodzi? Jestem wyluzowany.

– Jesteś zbyt formalny. Na tych zdjęciach powinieneś wyglądać jak na wczasach, tak? Zagraj to.

– Mam na sobie garnitur. Przyjechałem prawdopodobnie na spotkanie

biznesowe czy coś w tym stylu.

– Może na zjazd sztywniaków?

– Ej, ty. – Śmieje się, a my oboje, prawdziwy fotograf i ja, pstrykamy kolejne zdjęcia.

Akurat gdy dochodzę do wniosku, że fotograf ma już wszystko, czego mógłby potrzebować (a nawet więcej), drzwi pokoju otwierają się i wchodzi przystojny mężczyzna w średnim wieku. Nawet gdyby Xander nie zaklął pod nosem, domyśliłabym się, że to jego ojciec. Podobieństwo rzuca się w oczy. Obaj są jasnymi szatynami o brązowych oczach, wysokich kościach policzkowych i pełnych wargach. Obaj też poruszają się dokładnie w ten sam sposób – jakby to do nich należał świat. Ojciec Xandra rozgląda się wokoło i jego spojrzenie zatrzymuje się na mnie.

## Rozdział 15

**P**an Spence poświęca mi całe pół minuty, przypatrując się wszystkiemu, od włosów podciętych w domu pół roku temu po ściachane trampki. Potem wita mnie nieznacznym ruchem głowy. Czuję, że uznał mnie za asystentkę fotografa, jeżeli więc Xander też będzie chciał to tak wyjaśnić, nie będę miała do niego pretensji.

Xander popatruje to na ojca, to na mnie. Sama miałam opory przed poznaniem go z moją matką, wyobrażam więc sobie, co myśli o przedstawieniu mnie tacie. Nie otwieram ust i mocno ściskam uchwyt aparatu.

Pan Spence zwraca uwagę na stojący w rogu otwarty laptop. Fotograf, najwyraźniej rozumiejąc, co to oznacza, mówi:

– To jeszcze surowe, nieobrobione zdjęcia, ale proszę przejrzeć te, które dotąd zrobiłem.

Xander wstaje.

– Ja w każdym razie już skończyłem.

Idzie do sypialni, a tuż przed drzwiami odwraca się do mnie i mówi: „Caymen”, jakby się spodziewał, że za nim pójdę. Pytam go samym spojrzeniem: „Jesteś pewien?”, a on wyciąga rękę. Serce mi wali, biorę głęboki wdech i idę ku niemu, nie jestem jednak na tyle głupia, by chwycić go za rękę. Po prostu mijam go i wchodzę do sypialni. On zamyka za nami drzwi.

Z jakiegoś powodu brak mi tchu.

Ubranie, w którym przyszedł, powiesił schludnie na krześle w kącie i teraz

idzie w tamtą stronę, mamrocząc niezrozumiale. Kiedy zdejmuję marynarkę i zaczyna rozpinąć koszulę, nagle coś przychodzi mi do głowy. A jeśli odgrywam rolę pionka w grze w bunt, sygnału, jednego z tych, które mają dać tacie do zrozumienia, że syn nie chce się stać częścią jego świata? Czy to dlatego zaczął się wokół mnie kręcić? Zadawać się z biedną dziewczyną? Czymś takim na pewno zalazłby ojcu za skórę. Odwracam się twarzą do ściany, żeby mógł się przebrać.

Zdejmuję aparat z szyi i przesuвам palcem po srebrnym guziku na jego obudowie.

– Bez obaw – mówi. – Nie będę się tu przebierał. Pójdę do łazienki.

Ale kiedy się odwracam, myśląc, że jest już bezpiecznie, koszulę ma całkiem rozpiętą. I chociaż z ubraniem przewieszonym przez rękę zmierza do połączonej z pokojem łazienki, twarz mi się rumieni na widok jego nagiego, ładnie wyrzeźbionego torsu. I nawet gdy drzwi łazienki trzaskają, serce nadal bije mi szybciej. Powoli obchodzę pokój, próbując ochłoniąć. Xander nie będzie tak na mnie działał. Nie pozwolę na to.

Meble i pościel są o wiele fajniejsze niż to, co mam w domu. Przesuwam dłońią po kosztownej tkaninie. Kiedy chłopak wraca już przebrany, pytam:

– Xander, czy to twój aparat, czy fotografa?

– Mój.

– Pożyczyłbyś mi go na kilka dni?

– Oczywiście. Po co?

– Mam hopla na punkcie porcelanowych lalek. Pomyślałam, że mogłabym porobić im trochę zdjęć wysokiej jakości.

Kręci głową.

– Zaczniemy więc jeszcze raz. Po co?

– Dosyć spodobał mi się ten pomysł ze stroną internetową. Może pora, żeby nasz sklep też się jej dorobił. – Może uratowałyby to nas od ruiny.

– Hm, to chyba nie najlepszy sposób na pokazanie mamie, że sklep cię nie interesuje.

Wzruszam ramionami.

– Ja tylko ją założę, jej prowadzenie pozostawię mamie. Wprowadzę ją w nowoczesność.

Może z czasem ta strona mnie zastąpi. Ludzie mogliby tam składać zamówienia, my zarabiałobyśmy więcej... a mamę byłoby stać na zatrudnienie pracownika na część etatu. Wolę nie robić sobie nadziei, ponieważ może trzeba by na to kilku miesięcy, ale sam pomysł mi się podoba.

Xander nie odpowiada, ale odbiera ode mnie aparat i kiwa głową w stronę drzwi, za którymi działa jego ojciec. Jak to będzie wyglądać, kiedy wyjdziemy stąd razem po tym, jak zdążył się całkiem przebrać?

Xander musiał wyczuć moje wahanie, bo zapewnia:

– Nie obchodzi mnie, co on sobie pomyśli, Caymen.

Oczywiście, że go to nie obchodzi. Marzy mu się prawdopodobnie, żeby jego tata uznał, że coś między nami zaszło.

– Jak uważasz. – Otwieram drzwi, starając się iść najspokojniej, jak tylko potrafię. Do mojej twarzy to jednak nie dociera, więc się rumienię. Jego tata nadal studiuje zdjęcia na laptopie w kącie pokoju.

Odwracam się do Xandra, zastanawiając się, dokąd dalej pójść. On zaś podnosi aparat i strzela fotkę. Podnoszę rękę.

– Żadnych takich.

– Daj spokój, musisz trochę pobyć po drugiej stronie obiektywu. Tylko się przekonam, czy może modeling nie jest tym czymś, co chciałabyś robić.

– Nie ma na to szans.

– Z takimi oczami? – Pstryka kolejne zdjęcie. – Zdecydowanie jest szansa.

Możliwe, że to tylko moja wyobraźnia, ale wychodzi z niego flirciarz. Przełykam gulę w gardle.

– Te oczy zaraz popełnią drom.

Jeszcze nie słyszałam, żeby śmiał się tak głośno, i to tylko potwierdza moje podejrzenie, że robi to wszystko na użytek swojego taty.

– Daj spokój, Caymen, wyluzuj – cytuję mnie.

Krzyżuję ramiona na piersi i wpatruję się w niego ze złością. Śmiejąc się, robi jeszcze jedno zdjęcie, a potem podchodzi do kredensu, chowa aparat do futerału i mi go podaje.

– Poszalej sobie z lalkami.

– Dzięki.

Spojrzenie Xandra skupia się na czymś nad moim ramieniem. Kiedy się odwracam, ku swemu zaskoczeniu widzę za sobą jego tatę.

– Myślałem, że przyszedł z tą ekipą. Nie wiedziałem, że jesteś jedną z koleżanek mojego syna. – Wyciąga rękę. – Jestem Blaine Spence.

Podaję mu dłoń.

– Caymen Meyers – udaje mi się wykrztusić. Nie mogę wyjść z szoku, że chce mnie poznać. Zażąda zwrotu aparatu?

– Miło cię poznać – mówi i brzmi to bardzo szczerze. Czyżby stosował na swoim synu zasady psychologii odwróconej? – Potem odwraca się do Xandra. – Alexandrze, wiele z tych zdjęć jest świetnych.

Twarz Xandra momentalnie tężeje.

– Doskonale. Mam więc to już z głowy.

– Chciałbym, żebyś popracował z grafikiem nad układem strony i folderem.

– Ze względu na szkołę i resztę spraw, nie bardzo mam na to czas, ale może w najbliższych tygodniach trochę go wygospodaruję. – Znów dotyka dłonią dolnych partii moich pleców, jakby chciał mnie szybko wyprowadzić z pokoju, podskakuję więc zaskoczona, zaraz jednak pozwalam mu się pokierować w stronę wyjścia.

– Mnie również miło było pana poznać – wołam za siebie.

– Alexandrze.

Zatrzymuje się.

– Taa?

– Tak – poprawia go z naciskiem pan Spence, a Xander zaciska szczęki.

– Tak? – powtarza Xander jeszcze dobitniej.

– Za cztery tygodnie twoja matka wydaje bal charytatywny. Wymagamy twojej obecności. Zadbaj, żeby na ten wieczór foldery były gotowe.

Kiedy wychodzimy na korytarz, Xander mówi:

– Mam nadzieję, że wszystko notujesz. Bo olewanie rodziny wychodzi mi o wiele lepiej niż tobie.

– Robię notatki. – Znaleźć sobie ostatnią osobę na tym świecie, z jaką mama (jak w jego przypadku tata) chciałaby mnie widywać, i udawać, że z nią chodzę. Mama, oczywiście, miałaby się o tym dowiedzieć. Tyle że tu się różnimy. Ja się nie wysługuję Xandrem. – I to obszerne. Kiedy mama każe mi coś zrobić – oglądam się przez ramię na drzwi, które właśnie za sobą zamknęliśmy – naburmuszę się i zachowam jak burak.

– Ostro. – Uśmiecha się krzywo, co mnie irytuje, gdyż uważam, że ta odrobina sarkazmu warta była co najmniej szerokiego uśmiechu.

Na ścianie przy drzwiach windy wciska guzik kierujący ją na dół.

– I jak fotografia? To twoja przyszłość?

– Trafi na listę możliwości.

– Pomyślałem sobie, że może ci się spodobać, bo mówiłaś, że lubisz nauki przyrodnicze, a one wymagają zmysłu obserwacji i zwracania uwagi na szczegóły. Jesteś w tym dobra, a te cechy bardzo się przydają, kiedy się patrzy w obiektyw.

Zaskoczona podnoszę na niego wzrok.

– Co znowu? – pyta.

Uświadamiam sobie, że gapię się na niego jak głupia, więc zaraz wracam



do wpatrywania się w swoje niewyraźne odbicie w złotych drzwiach windy.

– Ja... Dzięki... że to zauważyłeś.

Wzrusza ramionami.

– Staram się odkryć, co ci się spodoba. A teraz twoja kolej.

– Tak, moja. A skoro stawiamy na dopasowywanie dni kariery do naszych talentów, sądzę, że powinnam poszukać dla ciebie czegoś, co wiąże się z prasowaniem T-shirtów i używaniem dużych ilości preparatów do włosów.

Przeczesuje włosy dłonią.

– Używam ich bardzo mało. – Zjeżdżamy windą. – A więc w następną sobotę o tej samej porze?

Staram się zobaczyć w myślach kalendarz z zaplecza sklepu. Nie pamiętam, czy mamy zaplanowane jakieś urodziny.

– Taa... Tak – poprawiam się zaraz z uśmiechem, dając mu do zrozumienia, że nie uszło mojej uwadze, jak zirytowało go to poprawianie przez tatę. –

Myślę, że może być. – Czekamy jeszcze na podstawienie samochodu. – Aha, włóż najbardziej dziadowskie ciuchy, jakie masz.

## Rozdział 16

**W** sobotę czekam na Xandra na chodniku, żeby uniknąć sytuacji sprzed tygodnia. Mama chyba kupiła bajer o „kimś ze szkoły”, dopóki więc nie zmusi mnie do przedstawienia jej tego kogoś, będę się trzymać takiej wersji. Xander gasi silnik i wysiada, nie widząc jeszcze, że tu stoję.

Ma na sobie fajne dzinsy, jeszcze fajniejszy T-shirt i coś w rodzaju mokasynów.

Zwracam mu uwagę na ten ubiór.

– Powaga? Nie mówiłam, że mają być najbardziej dziadowskie, jakie masz?

Idzie prosto w moją stronę. Normalnie jest ode mnie o głowę wyższy, ale kiedy znajduje się na jezdni, a ja nadal na krawężniku, oczy mam na wysokości jego podbródka.

– Też się cieszę, że cię widzę.

Nie widziałam go od tygodnia. Jeździł z tatą w jakichś interesach. Przez chwilę mam wrażenie, że chce mnie chwycić w ramiona, i zaczyna mi brakować tchu, on jednak przygląda się swojemu ubraniu.

– To są najbardziej dziadowskie ciuchy, jakie mam.

Daję mu szturchańca, zaspokajając w ten sposób pragnienie dotknięcia go.

– Niezły z ciebie dziad. – Wiem jednak, że mówi poważnie. – Okej, po drodze musimy zrobić mały postój.

Mijamy kilka przecznic i pokazuję mu parking Armii Zbawienia.

– Przystanek pierwszy, nowa kreacja. Chodź. Musimy cię przebrać.

Wchodzimy do środka, gdzie wita mnie woń stęchlizny, jaką czuje się tylko

pośród starych mebli. Kojarzy mi się ze Skye, bo tak wiele czasu spędzamy z nią w takich miejscach.

– Rozmiar buta? – pytam.

– Czterdzieści pięć... Czekać... Kupujemy tutaj buty? Nie wiem, czy mógłbym założyć buty, w których chodził ktoś inny.

– Chyba błysnęłaś refleksją filozoficzną. I lepiej to przebolej, mały, bo albo to, albo zniszczysz swoje śliczne butki.

– Mogę zniszczyć buty.

– Czekać. Dałam ci jakiś wybór? Nieważne, jak widać, tobie nie można pozwolić wybierać. Buty kupimy ci tutaj. – Ciągnę go do działu z obuwem. W jego rozmiarze są tylko trzy propozycje. Wybieram te najokropniejsze – za kostkę, z żarówkami sznurowadłami. Potem zaganiam go do przymierzania ubrań.

Gdy jest w przymierzalni, przeglądam bluzy. Przetrzepując stelaż, nieruchomieję. Pomiędzy dającą po oczach pomarańczową bluzą a niebieską uniwersytecką wisi czarna sukienka. Jest ręcznie wyszywana koralikami, ma dekolt w serce i krótkie rękawki. Sprawdzam rozmiar. Pasowałaby na mnie. Zagryzam wargę i patrzę na metkę – cztery dychy. Drogo jak na sklep z używaną odzieżą. Ale wycenili uczciwie. Sukienka wygląda na wintaż. Najlepsze znalezisko, na jakie kiedykolwiek trafiłam. Fakt, że ukryto ją między dwiema bluzami, uzmysławia mi, że ktoś ją sobie upatrzył i ukrył w nadziei, że po nią wróci. Niestety, czterdzieści dolarów znacznie przekracza moje możliwości. W tym miesiącu jeszcze nie miałam wypłaty, a i tak się zastanawiam, czy ją w ogóle dostanę. Mamy nie stać na to, żeby mi płacić. Moja skromniutka wypłata nieznacznie zwiększyłaby zadłużenie sklepu, mnie za to odrobinę podniosłaby na duchu.

– Wolę nie myśleć, kto to nosił przede mną – krzyczy Xander z przymierzalni.

– Podać ci chusteczki czy sam przestaniesz marudzić? Chodź tu i pokaż mi się.

Przesuwam następną bluzę, żeby nie widzieć tej czarnej sukienki. Bo nawet gdybym miała czterdzieści dolarów, to gdzie bym w czymś takim chodziła? Na jakieś bajeranckie imprezy z Xandrem? Mam nadzieję, że nie zmieniam się w dziewczynę, która śni na jawie o nieosiągalnym dla niej facecie.

Odsuwa się zasłonka przymierzalni i wychodzi z niej Xander, dopinając jeszcze dolne guziki flanelowej koszuli.

– Czuję się jak kretyn.

– Raz na jakiś czas dobrze się tak poczuć. Potrzebna ci będzie jeszcze bluza.

– Mam kurtkę.

– Mówisz o swoim wybitnie drogim prochowcu? Do pracy się nie nada. – Z wieszaka obok siebie ściągam szarą bluzę i rzucam mu ją nad dwoma dzielącymi nas rzędami ciuchów.

– Okej, a teraz znów wskoczę w swoje ubrania.

– Nie. Nosisz te kupione tutaj, chłopcze. Chodź, spotkamy się przy kasie. – Rzucam sukience pożegnalne spojrzenie, a potem stamtąd idę.

Kobieta przy kasie patrzy na nas, jakby pytała: „Poważnie?”.

– Proszę – mówię, zmuszając Xandra, żeby się obrócił. Z jednej z tylnych szlufek zdejmuję metkę z ceną dzinsów. Kolejną odczepiam od rękawa koszuli i podaję jej wraz z tymi z bluzy i butów.

– Razem piętnaście dolarów – mówi kobieta.

Xander wręcza jej dwudziestkę.

– Piętnaście dolarów? Za to wszystko?

Kiedy idziemy do samochodu, wciąż jeszcze nie może się nadziwić.

– W zeszłym tygodniu kupiłem parę skarpet za trzy dychy.

– To dlatego, że jesteś idiotą.

– Dzięki.

– Tak przy okazji, uwielbiam te twoje nowe buty.

Przewraca oczami.

– Jeżeli ścieżka kariery wiąże się z upokorzeniem, już teraz ci mówię, że chyba nie jestem zainteresowany.

– Szkoda, bo idealnie byś się nadawał.

\* \* \*

Zatrzymujemy się pod cmentarzem i Xander ogląda się na mnie.

– Co będziemy tu robić?

– Badać twój potencjał.

– Tutaj?

– Tak. Nie zapominaj, że uwielbiam makabrę. Chodźmy.

Sprowadziłam go tu z kilku różnych powodów. Po pierwsze, bo to nic nie kosztuje. Nie stać mnie na urządzenie mu odpowiednika fikuśnej sesji fotograficznej. A po drugie, naprawdę uważam, że Xandrowi przyda się pobrudzić rączki, trochę odprężyć. Jak dotąd robi dobrą minę do złej gry, ale nie wie jeszcze, co dla niego szykuję.

– Dzień dobry, panie Lockwood – mówię, podchodząc do lekko górującego nad kwaterami domu pogrzebowego.

Tata Skye jest niesamowity. Ze swoimi długimi siwymi włosami i haczykowatym nosem wygląda na kogoś, kogo dom powinien stać na środku cmentarza. Zawsze zadaję sobie pytanie, czy zarządza tym cmentarzem, dlatego że tak wygląda, czy jego wygląd wziął się z tego, że zarządza cmentarzem.

– Hej, Caymen. – Podaje mi dwie łopaty. – Pewna jesteś, że tego chcecie?

– Tak. – Odbieram je od niego.

– Okej. Zacząłem za was, żebyście mieli pojęcie, jakie powinny być wymiary. Jest tam, za tym dębem. – Z tylnej kieszeni spodni wyciąga krótkofalówkę i mi ją wręcza. – Jeśli będziecie mieli jakieś pytania, daj znać.

Jedną z łopat przekazuję Xandrowi.

– Okej.

– Grabarz? – pyta, kiedy idziemy na tamto miejsce. – Serio? Uważasz to za poważną ewentualność?

– Nie o samo kopanie grobów tu chodzi, Xander. O całe to miejsce. O ciche życie pośród wiekuistego spokoju.

– Uwielbiasz makabrę.

\* \* \*

Brud wczepia mu się we włosy i plami policzek. Ale nawet w takim stanie daje o sobie znać jego pewność siebie i sztywniactwo.

– Chyba nas tu nie pogrzebią?

– Przejrzałeś mnie.

– Nie myślałaś, że to zrobię, prawda?

Ani przez moment.

– Miałam pewne wątpliwości.

– Szkoda, że nie zabrałem jakichś rękawic. – Otwiera dłoń i miga mi na niej krwawy pęcherz.

Zatyka mnie.

– Xander!

– Co takiego?

Łapię go za rękę i przyglądam się z bliska, delikatnie dotykając skaleczonej skóry.

– Nie mówiłeś, że to rani ci rękę. – Ja na swoje dłonie naciągnęłam rękawy bluzy. Jego była trochę za mała.

– Nie jest tak źle.

Odpinam od kieszeni dzinsów krótkofalówkę.

– Panie Lockwood, sądzę, że już dość.

– Ten dół jest jeszcze za płytki – wtrąca Xander.

– Wiem. Chodziło mi o to, że my mamy dość.

Z krótkofalówki dobiegają trzaski, a potem odzywa się pan Lockwood.

– Mogę już podesłać koparkę?

– Tak.

– Czekaj – mówi Xander. – Dół dokończy koparka?

– Tak. Od lat nie kopie się grobów ręcznie. Pomyślałam sobie jednak, że będzie zabawnie.

– Zabiję cię.

– Trudno o lepsze miejsce.

Naciera na mnie i podstawia mi nogę, ale zaraz łapie, żeby łagodnie położyć na ziemi. Ze śmiechem próbuję się uwolnić. Jedną ręką przytrzymuje moje obie nad głową, nogi unieruchamia mi swoimi. W drugą garść nabiera ziemi i wciera mi ją we włosy.

Wybucham śmiechem, dalej się mocuję i wtedy dociera do mnie, że Xander znieruchomiał. Czuję nagle te wszystkie miejsca, w których stykają się nasze ciała. Chłopak patrzy mi w oczy, a nacisk na moje nadgarstki staje się lżejszy.

W przypiływie paniki nabieram nad głową ziemi i rozcieram mu ją na policzku. Z jękiem stacza się ze mnie, lądując na boku i opierając na łokciu.

Jeszcze chwilę leżę na rozkopanej ziemi. Chłodzi mi kark. Nie jestem pewna, czy właśnie czemuś zapobiegłam, czy tylko to sobie uroiłam.

Xander potężnie wzdycha.

– Tego mi było trzeba po tygodniu z tatą.

– Daje ci popalić?

– Daje popalić wszystkim.

– Współczuję.

– Nie musisz. Potrafię sobie z nim radzić.

Widziałam, jak Xander sobie „z nim radzi”. Spina się, robi niemiły, zamyka

w sobie. Ale jeśli mu to pomaga, nie mnie się z tym spierać. Sama nie najlepiej radzę sobie ostatnio z mamą.

Bołą mnie plecy, a leżenie jest wspaniałe. Zamykam oczy. Jest naprawdę spokojnie, zewsząd otacza mnie ziemia, a cisza wydaje się wszechwładna. Możliwe, że zdołałabym tutaj zapomnieć o wszystkich stresach. Nie pamiętać już, że jako siedemnastolatka wiodę życie osoby czterdziestoletniej. Myśl o tym sprawia, że czuję się tak, jakby ktoś niespodziewanie zwałił mi na pierś dwie tony piachu.

– Coś się dzieje?

Po otwarciu oczu widzę, że Xander mi się przypatruje.

– Nic.

– Nie wydaje się, że nic. Nie jesteś dziś sobą.

– To znaczy?

– Nie wykorzystujesz wszelkich okazji, żeby mieć ze mnie ubaw. – Przygląda się swojej dłoni. – To byłby temat na milion docinków. – Znów pokazuje mi pęcherz.

– Wiem. Serio powinnam się czepiać twoich delikatnych, niespracowanych rączek.

– Właśnie. – Zmiata mi ziemię z policzka. – To co się stało? Co jest nie tak?

– Czasem czuję się za stara jak na swój wiek, to wszystko.

– Ja też. I właśnie dlatego to robimy, prawda? Żeby mieć ubaw. Żeby przestać się przejmować tym, czego od nas oczekują, i spróbować odkryć, czego my sami chcemy.

Kiwam głową na potwierdzenie.

– Mój tata by padł, gdyby mnie tu zobaczył.

– To chyba powinniśmy go zaprosić.

– W życiu nie pokazałby się w takim miejscu – śmieje się.



– Z życiem to ono ma raczej mało wspólnego.

Znów wybucha śmiechem.

– Caymen, jesteś inna.

– Inna niż kto?

– Niż znane mi dziewczyny.

Biorąc pod uwagę, że znane mu dziewczyny mają zapewne ze sto razy więcej kasy ode mnie, trudno się dziwić. Na myśl o tym szczypią mnie oczy.

– To coś nowego. Przy tobie czuję się normalniej.

– Aha. Muszę więc nad tym popracować, bo znacznie odstajesz od normy.

Uśmiecha się i wesoło szturcha mnie w ramię. Aż mi serce szybciej zabiło.

– Caymen.

Nabieram kolejną garść ziemi i rozgniatam mu na karku, a potem próbuję szybko uciec. Chwyta mnie od tyłu i już widzę, jak do mojej twarzy zbliża się jego pełna ziemi dłoń, kiedy rozlega się klakson traktora.

– Uratowana przez grabarzy – mówi Xander.

## Rozdział 17

**X**ander podrywa się i pomaga mi stanąć na nogi. Wyrzucamy łopaty na górę, potem mnie podsadza i podciąga się w ślad za mną.

Kiedy wracamy do domu pogrzebowego, Xander, z naszymi łopatami na ramieniu, pyta:

– To tutaj mieszka twoja najlepsza przyjaciółka?

Przytakuję.

– Ty mieszkasz and sklepem z porcelanowymi lalkami, a twoja najlepsza przyjaciółka na cmentarzu. – Śmieje się niepewnie. – Wyrastasz, jak widać, w upiornych klimatach. Istnieje coś, czego się boisz?

Ty.

Patrzy mi w oczy prawie tak, jakby czytał mi w myślach, a może po prostu mam je wypisane na twarzy.

Chrząkam.

– Psy.

– Ugryzł cię kiedyś pies?

– Nie, ale wystarcza mi świadomość, że mogą mnie pogryźć.

– Interesujące.

– Proszę cię. Nie doszukuj się nie wiadomo czego. Psy mają ostre zęby.

Gryzą ludzi.

Śmieje się.

– A u ciebie jak? Co w tobie budzi największy lęk?

W zadumie przekręca łopatę na ramieniu. I albo nie chce mi tego

powiedzieć, albo niczego się aż tak nie boi, bo dopiero po chwili odpowiada:

– Klęska. Przegrana.

– Jaka przegrana?

– Każda. Czasem trudno mi się do czegoś zabrać, bo lepiej nie próbować, niż potem być rozczarowanym.

– Kto nie ryzykuje, nic dobrego nie robi.

– Wiem. Ale i tak...

Podchodzimy pod tylne drzwi domu pogrzebowego i Xander opiera nasze łopaty o ścianę. Wytrząsam z włosów ziemię, on robi to samo. Potem odwraca mnie i otrzepuje mi plecy.

– Ale i tak co? – pytam, zaczynając wątpić, czy pociągnie temat.

– Ale i tak nie mogę się przełamać. – Nie spieszy się z zabraniem rąk z moich pleców, a ja zamykam oczy.

– Może powinieneś pozwolić sobie na jakieś niepowodzenie. Nawet bolesne. Potem już byś się tak nie bał.

– A po te psy mam iść teraz czy później...?

– Okej, okej, załapałam. – Ma rację. Nie wolno mi go namawiać, żeby zmierzył się z lękiem, skoro sama nie mam ochoty tego zrobić. I nie o lęk przed psami mi tu chodzi.

– A ty się boisz tylko dużych psów czy małe też cię niepokoją?

– Masz psy, prawda? Takie, które się nosi w torebce?

– Nie – krzywi się. – Oczywiście, że nie mam.

– Ich wielkość nie ma znaczenia. Prawdę mówiąc, czasem te małe są nawet gorsze. Potrafią odgryźć palec.

– Powiedziała dziewczyna, której żaden jeszcze nie ugryzł.

– Refleksja, Xander, to taka refleksja.

Chichocze, potem klepie mnie po ramionach, jakby dawał do zrozumienia, że już pozbył się ziemi.

– Idziemy?

– Tak. Nie, zaczekaj. Najpierw opatrzmy ci szybko rękę. Pan Lockwood ma tam w środku opatrunki. – Pukam do drzwi, a później je uchylam. – Panie Lockwood? – Wchodzę do środka. – Idź za mną. O ile dobrze pamiętam, do apteczki idzie się tędy.

Idziemy długim korytarzem i otwieram ostatnie drzwi po prawej. Zamieram, bo oto spogląda na mnie pan Lockwood, odrywając wzrok od leżącego na stole przed nim nieboszczyka.

– Przepraszam – mówię. Na piersi zmarłego widać długie rozcięcie, spięte wielkimi szwami. Najwyraźniej jest po sekcji. Policzki ma zapadnięte, więc to nie są świeże zwłoki, a prawdopodobnie dostarczone przed kilkoma dniami.

– Nic się nie stało, wejdźcie.

W tej salce jest tak zimno, że przechodzi mnie dreszcz.

– Chciałam tylko prosić o coś z apteczki. Trochę gazy i może coś do odkażania.

Pan Lockwood wskazuje przylegającą do tej salki małą łazienkę.

– Tam jest.

Maluje twarz zmarłego jakimś podkładem.

Ciężko znieść zapach panujący w tym pomieszczeniu. Nie żeby był jakiś straszny, ale kojarzy się z procesem konserwacji.

– Trumna będzie otwarta?

– Tak. Jutro. – Do ściany obok pan Lockwood przypiął dużą fotografię tego człowieka, zrobioną za jego życia, i korzysta z niej jako wzoru.

– Trzeba nad nim popracować – mówię.

– To już końcówka. – Wyciąga rękę z pędzlem. – Chcesz dodać nieco rumieńca?

– Xander, co ty na to? Kolejne oblicze tej profesji? – Odwracam się, ale on zastygł w drzwiach, wpatrując się z przerażeniem w człowieka na stole. Obaj

są prawie tak samo bladzi.

– Może nie.

Staję przed nim, ale potrzebuje chwili, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Dobrze się czujesz? – pytam.

– Zaskoczyło mnie to. Ale wszystko gra.

– Pewien jesteś?

– Tak.

– Okej, to chodź tutaj.

Prowadzę go do łazienki i zamykam drzwi w nadziei, że gdy zwłoki znikną nam z oczu, to mu pomoże. Trzymam rękę Xandra pod łagodnym strumieniem wody, delikatnie ją namydlając. Jego spojrzenie wciąż ucieka ku zamkniętym drzwiom.

– Nie ruszaj się – mówię, przeszukując szafki w poszukiwaniu apteczki. Znajduję ją i kładę na blacie, żeby otworzyć. Xander zakręca wodę i osusza dłoń.

Odkręcam pokrywkę środka odkażającego, a potem biorę chłopaka za rękę i wmasowuję mu trochę preparatu w obtarcie.

– Boli?

– Wszystko gra.

Gdy odpowiada, czuję jego oddech na policzku i uświadamiam sobie, że jesteśmy tak blisko siebie. Bandażuję mu dłoń i podnoszę wzrok.

– Jest jak nowa.

Jego twarz powlekła chorobliwa szarość.

– Dzięki – mamrocze i mijając mnie, wybiega na zewnątrz.

Dziękuję panu Lockwoodowi, potem również wychodzę. Kiedy opuszczam budynek, Xander opiera się jedną ręką o ścianę i puszcza pawia w jakieś krzaki. Katastrofa. Dałam plamę z tym moim dniem kariery, jak nie pęcherz, to torsje.

– Przepraszam. – Podchodzę do niego i głaszczę go po ramieniu. Moja mama zawsze tak robi, kiedy wymiotuję. Niewiele to pomaga, ale wiem, że jest przy mnie.

– Nic mi nie jest. Jak myślisz, ile płacą za obciach, bo wyraźnie jestem w tym dobry?

– Jeszcze nigdy nie widziałeś zwłok?

– Nie... – Ociera usta rękawem bluzy i prostuje się.

– Ku pamięci. Xander ma wrażliwy żołądek. Unikać profesji związanych z obrzydliwościami.

W samochodzie ściąga bluzę i o mały włos także koszulę, a potem zdejmuje buty. Wrzuca je do bagażnika, żeby zastąpić swoimi porządnymi. Starając się zbytnio nie przyglądać paskowi gołej skóry nad jego dżinsami, ja też zdejmuję bluzę.

– Chcesz, żebym to ja prowadziła? – pytam, widząc, że jest jeszcze bardzo blady.

Chwilę się waha.

– Nie powierzyłbyś mi swojego autka?

– Nie o to... Dobra, właśnie o to.

– Prosto z mostu.

Wsiada do samochodu.

Lokuję się na miejscu obok kierowcy.

– Naprawdę nie pozwolisz mi prowadzić? Parkingowemu pod hotelem pozwoliłeś.

– To było na parkingu. Poza tym gdybyś miała stłuczkę, skończyłaby się nasza przyjaźń. I co by ci z tego przyszło?

– Nie masz jeszcze w zapasie trzech takich wozów?

– Nawet więcej, ale kto by je zliczył.

Wydaje mi się, że żartuje, choć z drugiej strony...

Zapala silnik i skręca na jezdnię. Patrzę na zegar na desce rozdzielczej. Piąta. Wierzyć się nie chce, że minęły cztery godziny.

Xander zjeżdża na prawy pas i zaczyna skręcać.

– Dokąd jedziesz?

– Pomyślałem, że moglibyśmy coś zjeść. Tu jest taki francuski lokal, który uwielbiam.

Widać czuje się już lepiej.

– Nie powinnam. Mama przez pół dnia tkwi sama w sklepie. Lepiej, żebym wróciła i pomogła jej posprzątać.

– Godzina cię nie zbawi.

– Powinnam wracać.

Dalej jedzie w wybranym przez siebie kierunku.

– Zgódź się. – Dam głowę, że uśmiechy takie jak ten, który mi posyła, kładą kres wojnom.

– Okej. A potem do domu.

– Oczywiście.

\* \* \*

Dopiero po wyjściu z samochodu, kiedy dochodzę do tej bajeranckiej francuskiej restauracji, przypominam sobie o warstwie brudu na mojej skórze. Xander wtarł mi ziemię we włosy i wciąż jeszcze czuję jej trochę na głowie. Z zażenowaniem usiłuję wycesać ją palcami. Kiedy wchodzimy do środka, w przedsionku czekają odpicowani ludzie. Jestem pewna, że ubrana równie galowo hostessa zaraz nas wyprosi. Xander też przecież ma na czole smugę zaschniętej ziemi.

Ona jednak wita Xandra olśniewająco białym uśmiechem.

– Panie Spence, pana znajomi już tu są.

– Naprawdę? – Patrzy na nią z ukosa. – To proszę nas zaprowadzić.

- Coś przyszykowałeś? – pytam, kiedy idziemy za nią na tyły restauracji.
- Najwyraźniej coś przyszykowano za moimi plecami.

Nie mam pojęcia, jak to rozumieć, ale kiedy wchodzimy do pomieszczenia na tyłach, kilkanaście dobrze ubranych i idealnie do siebie pasujących osób wita go ze śmiechem. Jakiś koleś wstaje i zwraca się do hostessy:

- Widzisz? Nie mówiliśmy ci, że jesteśmy z Xandrem Spence'em?
- Mój błąd, że wątpiałam – odpowiada ona, a potem dodaje już w stronę Xandra: – Dopilnuję, żeby kelner jak najszybciej przyszedł odebrać państwa zamówienie.

- Dziękuję. – Xander obchodzi salkę, kierując się do wolnego krzesła.
- Wyglądasz, jakbyś odrabiał prace społeczne – komentuje ktoś jego flanelową koszulę i brud na twarzy.

Xander pozostaje niewzruszony. Trzyma się tak prosto jak zawsze, wydaje się swoją obecnością przytłaczać to pomieszczenie. Z błyskiem w oku pyta:

- To który dureń powołał się na mnie, żeby uniknąć kolejki?
- Wywołany już stoi i kłania się, okulary ma takie, że na pewno nie z ubezpieczenia i zapewne co tydzień dopłaca za opaleniznę.

- To, zdaje się, ja.
- Wiedziałem.
- To wszystko idzie na twój rachunek – dodaje ten sam koleś.

Xander rozgląda się wokół i widzi, że wciąż stoję w wejściu.

- Słuchajcie wszyscy, poznajcie moją koleżankę Caymen. Caymen, oto ludzie, na których poznaniu zapewne ci nie zależy, ja jednak niekiedy nazywam ich przyjaciółmi.

Kilka okrzyków dezaprobaty tonie wśród śmiechów.

Nie wiem, czy jestem gotowa na takie wprowadzenie. Dopiero zaczynam oswajać się z Xandrem. Dlatego gdy odsuwa krzesło, za którym stoi, zapraszając mnie gestem, żebym usiadła, mam ochotę wybiec z krzykiem



z restauracji.

W środku aż mnie skręca. Nie pomaga też to, że jedna z dziewczyn z końca salki wpatruje się we mnie ze złością. Xander chyba nie zwraca uwagi na fakt, że cała jestem w błocie i mam na sobie nieodpowiednie ubranie.

– Caymen. Chodź tu. Usiądź.

Zaciskam zęby, bo na usta ciśnie mi się pytanie: „Dorobiłam się obroży?”. Jestem pod wrażeniem, że udaje mi się w porę powstrzymać. Wskazuję drzwi, którymi weszliśmy, mówiąc szeptem: „Łazienka”, po czym znikam, nie czekając na jego odpowiedź. Już są prawie poza zasięgiem mojego słuchu, kiedy ktoś pyta: „Przygarniasz teraz znajdy, Xander?”, wywołując kolejne salwy śmiechu.

Mięśnie na mojej twarzy drżą, bo zęby zaciskają mi się jeszcze bardziej. Czemu się tak wkurzam? To przecież tylko potwierdza wszystko, co wiem o bogaczach. Xander może stanowić pewien wyjątek, regułą są wśród nich jednak tacy ludzie, jak ci tutaj. Zmieniam kierunek i zamiast do łazienki, zmierzam ku stanowisku hostessy.

– Mogę skorzystać z telefonu? – pytam, kiedy się do mnie odwraca.

– Oczywiście.

Dzwonię do Skye, a ona zgadza się po mnie przyjechać. Potem wracam, żeby po raz ostatni zmierzyć się z tamtą salką. Wchodząc do środka, obserwuję Xandra, który jeszcze mnie nie zauważył. Przechyla się do kogoś przez stół. Lekko się uśmiecha, ale w żadnym wypadku nie tak, żeby przywrócić na świecie pokój. Ten uśmiech wygląda raczej na wystudiowany.

Upominam sama siebie, żeby w tej sali zachowywać się z klasą. Nikt z tamtych nie zwraca na mnie uwagi, nie widzę więc powodu, żeby traktować ich inaczej. Podchodzę do Xandra i nachylam się nad nim.

– Muszę iść. Nie najlepiej się czuję. – Nieco mnie gryzie, że skłamałam, ale

zaraz przypomina mi się wzmianka jego kolegi o „znajdzie” i poczucie winy znika.

Podnosi się.

– Odwiozę cię do domu.

– Nie trzeba. Zadzwońłam do Skye. Do zobaczenia.

– Caymen...

– Serio, nie. Zostań. Baw się dobrze. – Napieram na jego ramię, zmuszając go, by usiadł. Potem opuszczam restaurację.

## Rozdział 18

**C**hwytam za klamkę w drzwiach sklepu i ciągnę, ale moja ręka po szarpnięciu nieruchomieje.

– Zamknięte? – pyta Skye.

Dopiero wtedy orientuję się, że okna są ciemne. Osłaniam oczy dłonią i przyciskam nos do szyby. Mamy tam nie ma. Po wyłowieniu kluczy z kieszeni otwieram drzwi.

– Mamo!

Żadnej odpowiedzi.

– A normalnie w soboty nie zamykacie o siódmej? – dopytuje Skye.

– Może był słaby ruch.

Skye sprawia wrażenie zdezorientowanej i ma do tego wszelkie podstawy. Nigdy dotąd nie zamykałyśmy przed czasem. Nie komentuje tego, ale wymija kołyskę z niemowlakiem i opiera się o ladę.

– Zaraz wrócę.

Po sprawdzeniu sali imprez i magazynku, w których nie znalazłam mamy, podchodzę do kasy i otwieram szufladę. Pusta. A więc zabrała utarg. Tylko czemu z tego powodu miałyby zamykać wcześniej? Aż tak się nie spóźniłam.

Pędzę na górę i do mieszkania.

– Mamo!

Wita mnie cisza. Na automatycznej sekretarce, którą mamy od czasów mojego dzieciństwa, nie miga czerwone światełko oznaczające nieodebrane połączenie. Ale obok niej, na blacie, widzę list.

*Caymen, jestem umówiona u lekarza na wpół do szóstej. Skoro Cię nie ma, postanowiłam zamknąć sklep, a utarg wpłacić po drodze, jadąc na wizytę. Nie zawracaj sobie głowy ponownym otwarciem. Ruch i tak był słaby. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłaś.*

*Mama*

Ponownie czytam list. Z kartki trudno wywnioskować, jak bardzo zły był ktoś, kto to zapisał. Odwracam ją i przesuвам dłonią po drugiej stronie, chcąc sprawdzić, z jakim naciskiem pisane były słowa. Potem podnoszę list pod światło, by się przekonać, czy pismo nie świadczy o pośpiechu lub złości. Wynik testu wskazuje na osobę umiarkowanie poruszoną. Wzdycham i odkładam list na ladę, a potem się rozglądam, odrobinę zagubiona.

Wracam na dół. Skye gada przez telefon, biorę więc spod lady ściereczkę do kurzu i zaczynam sprzątać.

Skye rozłącza się i mówi:

– Zaraz przyjdzie Henry.

Brzęk dzwonka nad drzwiami.

– Czyli teraz.

– Szybko mu to poszło. – Zdobywam się na śmiech.

Henry macha na powitanie, potem patrzy w górę.

– Co tu tak ciemno?

Wskazuję lampy na suficie.

– Bo światła są pogaszone.

– Jemu na pewno chodziło o to, czemu są pogaszone. – Skye śmieje się słodko.

Chyba się pogubiłam.

– Aha, racja. Dzisiaj wcześniej zamknęliśmy. A w ogóle co szykujecie? – Popatruję to na Skye, to na Henry'ego. Niewątpliwie mieli jakieś plany, zanim porwałam Skye z powodu podwózki.

– Henry wpadł, żebyśmy sobie razem posiedzieli.

– Aha. Super.

Henry dwa razy pstryka się w policzek, wywołując charakterystyczne pyknięcia.

– No... Zaprosiłaś też na dzisiaj Tika. Za trochę tu będzie.

– Co?

Znowu pstryka się w policzek.

– Powiedzieliśmy Tikowi, że go zapraszasz na imprezkę w sklepie.

– Łał, jak miło z mojej strony. A czemu miałabym to zrobić?

Skye się uśmiecha.

– Bo byłaś tak zachwycona, gdy cię pocałował.

– To dlatego nie odzywałam się do niego przez dwa tygodnie? Bo nie mogłam się otrząsnąć z zachwyty?

Wzrusza ramionami.

– Przyznaj, że tego mu nie powiedzieliście.

– Wyluzuj trochę. Chodź, odrobina relaksu na zapleczu i już nie będziesz czuła, że czekamy na niego jak głupki. – Ciągnie mnie do magazynku.

– To powiedzieliście mu to?

Opadam na kanapę na zapleczu i głowię się, jak wyjść cało z tej sytuacji, Skye i Henry obgadują natomiast program, który jego kapela ma zagrać za kilka tygodni. Nie przychodzi mi do głowy żaden dobry plan, a tu dzwonek u drzwi sklepu dzwoni, mnie zaś zamiera serce.

– Jesteśmy na zapleczu! – woła Skye.

Co mam powiedzieć? „Hej, Tik, my się całowaliśmy? Co? Hm, nie przypominam sobie”.

Podnoszę wzrok, gdy kroki docierają do pokoju.

– Xander! – Tak, wykrzyczałam to imię, ale i tak zeszywniałam. Wziął prysznic, jest idealnie czysty i na powrót stał się sobą. Widząc go takiego, wręcz czuję, że odsłonięte partie mojej skóry pokrywa warstwa brudu.

Rozcieram sobie ramię. Dlaczego ja nie pomyślałam o prysznicu?

Xander kiwnięciem głową wita Skye i Henry'ego, a potem mówi:

– Caymen, zostawiłaś ją u mnie w aucie. – Pokazuje moją bluzę. – A skoro nie mogłaś zostać i zjeść, przywiozłem coś na przekąskę.

To już stały motyw. Pojawianie się z czymś na ząb. Dotąd z gorącą czekoladą i muffinkami, teraz z francuską kuchnią.

Stawia rzeczy na ławie i otwiera kilka styropianowych pudełek.

– Oo, przyniosłem tylko dwa widelce.

Skye podczołguje się tam na kolanach.

– Po co komu widelce? – Łapie kawałek grzanki z serem i pakuje sobie do ust. – Hej. Jestem Skye. Widzieliśmy się kilka tygodni temu w klubie.

Xander przytakuje i obcina Skye wzrokiem, od włosów różowych jak guma balonowa po niezasnurowane głany.

– Xander, poznaj moją najlepszą przyjaciółkę, Skye, i jej chłopaka, Henry'ego.

– Jej – powtarza Xander.

– Oczywiście. – Przypomina mi się tamten dzień, kiedy Xander wszedł do sklepu, akurat gdy Henry mi śpiewał. Widocznie wziął go za mojego chłopaka.

Ups.

Kręci głową.

– Skye i Henry, miło mi was poznać.

– I wzajemnie – odpowiada Skye, odgryzając kolejny kęs. – Mm, psychota.

Xander siada obok mnie na kanapie i wręcza mi plastikowy widelec.

– Lepiej się czujesz?

– Lepiej? – Dopiero po chwili przypominam sobie pretekst, pod jakim wyszłam z restauracji. – Och, tak. O wiele lepiej.

Unosi brew, jakby się domyślił.

– Wiesz, Henry – odzywa się – ten wasz zespół robi wrażenie. Nagraliście

już coś?

– Nie. Próbujemy się wybić. Zarabiamy kasę na studio.

– Ja mam dostęp do studia, które może być do waszej dyspozycji, kiedykolwiek będzie trzeba, za darmo.

– Wkręcasz mnie?

– Nie... hm... wkręcam. Zadzwoń do mnie kiedyś i wszystko ustalimy.

Henry wyciąga telefon, najwyraźniej chcąc wbić sobie numer, zanim oferta zostanie wycofana. Xander mu go dyktuje.

– Gdzieście się podziali? – Krzyk Masona dociera do mnie równo z dzwonkiem.

## Rozdział 19

S poglądam na Skye, robiąc wielkie oczy, a ona zagryza wargę.  
– Tutaj, Tik! – wrzeszczy Henry.

Wstaję, zastanawiając się, czy nie powinnam wyjść tamtemu naprzeciw, ale jest już za późno. Mason wkracza do magazynka, jak zwykle olśniewając widokiem wspaniałych włosów i urokliwych ust. Posyła mi szeroki uśmiech.

– Wydawało mi się, że mówiłaś, że w tamtym tygodniu wpadniesz. Zamiast tego zniknęłaś. – Trzema krokami przemierza pokoi i miażdży mnie w uścisku, zionąc petami i miętowymi tic tacami. – Nie wydawałaś mi się taka, co to się całuje, a potem zwiewa. – Mówi mi to do ucha, ale wiem, że wszyscy słyszą. Potem całuje mnie w policzek.

Oto szczyt złego wyczucia czasu. Niezgrabnie klepię go w ramię, a potem uwalniam się z uścisku. W pokoiku panuje cisza. Zerkam niepewnie na Xandra, żeby się przekonać, jak to wszystko przyjął. Na jego twarzy maluje się standardowa powaga.

– Chłopie – odzywa się Henry – Xander właśnie powiedział, że możemy skorzystać z jego studia i nagrać tam kilka kawałków.

Mason chyba tego nie łapie, odsuwam się więc na bok i mówię:

– Mason, to właśnie Xander. Xander. Mason.

Xander wyciąga rękę.

Mason przybija piątkę.

– Hej, gościu. – Natychmiast przechodzi do bacznej obserwacji Xandra, po czym dodaje: – Gdzieś cię już widziałem.



- Był na jednym z naszych koncertów – wyjaśnia Henry.
- To nie to. Nie masz przypadkiem wytwórni muzycznej?

Xander odpowiada krótkim śmiechem.

- Nie. Jestem przyjacielem Caymen. – Czy słowo „przyjaciel” wypowiedział z naciskiem, czy mam omamy słuchowe?

Mason patrzy na mnie. Na jego czole wciąż widać zmarszczki, jakby próbował to rozpracować. Mocno mruga, potem mówi:

- Nie. Nie przypomnę sobie. Dzięki za tę sesję w studio.
- Nie ma sprawy.

Mason uwalnia się na podłodze obok Skye i opiera na łokciu. Widząc, jak się wyleguje, podczas gdy Xander siedzi sztywno na kanapie, czuję się, jakbym oglądała na żywo „prezentację przeciwieństw”. Nie dałoby się znaleźć dwóch ludzi bardziej różniących się od siebie niż Xander i Mason. Co dziwne, to ponowne zetknięcie z Masonem uświadamia mi, że mógłby do mnie pasować. Na pewno bardziej niż ten paniczek, w przypadku którego nieustannie zastanawiam się, dlaczego chce się ze mną zadawać. Czy to nie smutne, że nie znam swojego gustu? Nie powinnam się zorientować, kto jest w moim typie? Powoli wracam na kanapę.

Nie wiem, co powiedzieć, żeby przerwać niezręczną ciszę. Czy Xander myśli, że zmyłam się od niego, żeby umówić się z innym kołesiem? Powiedziałabym, że nie wiedziałam, iż Mason tu przyjdzie, ale prawdopodobnie poczułby się przez to głupio. Wolę więc już nic nie mówić, a pretekstem do milczenia jest dla mnie kolejny kęs kurczaka.

- Aha – odzywa się Skye – zobaczcie moje odkrycie tygodnia. – Wyrzuca w górę pięść, przez co kołysze się łańcuszek doczepiony do bransoletki na jej ręce. – Dziesięć dolarów.

Wszyscy wyciągają szyje.

Mason przesuwa palcem po niebieskim kamieniu.

– Zmarnowałaś dychę na to coś? Po mojemu nie wydaje się jadalne. Za taką kasę wypchalibyśmy lodówkę. Racja, Henry?

– Amen, bracie – odpowiada Henry. – A została w niej chyba jedna musztarda.

– Już nie. Wczoraj ją zjadłem – mówi Mason, a my wybuchamy śmiechem.

– Zjadłeś całą musztardę? – upewnia się Xander. – Samą?

– Byłem głodny. – I znów wszyscy się śmiejemy.

– Ja kiedyś z głodu zjadłem michę majonezu – dodaje Henry.

– Pewnego razu mój tata przez trzy tygodnie nie robił zakupów – dorzuca Skye. – Zeżarłam więc nawet zeschnięte marchewki z samego dna szuflady na warzywa.

Mason kopie mnie w stopę.

– Masz ziemię na czole.

Teraz śmieje się Xander, ja zaś się wycieram.

– No, robiliśmy dzisiaj za kopidołów na cmentarzu.

Skye wydaje cichy okrzyk.

– Ooo, zapomniałam, że to miało być dzisiaj. I jak poszło?

Xander zaciska i rozprostowuje palce zabandażowanej dłoni.

– Było interesująco.

Skye uśmiecha się do mnie porozumiewawczo.

Mason chyba trochę się pogubił, ale zaraz zwraca się do mnie:

– Jak tam twoja mama?

– W porządku.

Przez dłuższą chwilę w pokoiku panuje kompletna cisza, potem przerywa ją dzwonek telefonu Xandra. Aż podskakuję. On odchodzi na bok, odbiera i sądząc z ostrego tonu, rozmawia chyba z ojcem.

– Skąd znasz tego kołosa? – pyta Mason.

– To wnuk klientki.

– Bogatej klientki – dodaje Skye.

Mason podnosi się na kolana.

– Co my właściwiejemy? Wypasiony szajs?

– Całkiem smaczny – odpowiada Skye. – Jedzenie na bogato. Powinieneś spróbować.

Xander wraca, jednocześnie się rozłączając.

– Caymen, muszę lecieć.

– Okej.

– Fajnie było was poznać. – Jest już prawie przy drzwiach, ale nie odrywa ode mnie wzroku. Dociera do mnie, że zachowuję się po chamsku, podrywam się więc, żeby ruszyć za nim. Po wyjściu zatrzymuję się przed jego autem.

– Ciekawych masz przyjaciół – mówi. Na jego twarzy znów maluje się ten wystudiowany uśmiech z salki na tyłach restauracji i wcale mi się to nie podoba.

– No, są fajni. – Wskazuję jego kieszeń. – Kto dzwonił?

– Mój tata. Alarm hotelowy.

– Na czym polega taki alarm?

– Tym razem jakiś idiota podczas prasowania wypalił klientowi dziurę w koszuli do smokingu. Moim zadaniem jest znalezienie koszuli na podmianę. Miejmy nadzieję, że tu w mieście. – Zmienia ton na biznesowy: poważny i zasadniczy, jakby rozmawiał ze współpracownikiem, a nie ze mną.

– Miejmy nadzieję, że tu w mieście?

– Cóż, to zależy od marki. Możliwe, że w tej naszej metropolii nie znajdziemy odpowiedniego sklepu. W takim przypadku będę musiał jechać do San Francisco lub gdzieś indziej. Najpierw jednak podzwonię.

– A czemu właściwie bierzecie na siebie odpowiedzialność za to, że jakiś idiota wypalił dziurę?

Rękę trzyma w kieszeni i pobrzękuje kluczykami. Czy to znak, że chce już

jechać?

– Dlatego, że ten idiota, który ją wypalił, to jeden z naszych pracowników. Były pracownik. Jestem pewien, że już go zwolniono.

– Zwolniono?

Xander dopiero po chwili łapie, co mną tak wstrząsnęło.

– Firma właśnie straciła przez niego ważnego klienta.

Wiatr spycha mi na twarz kosmyk włosów. A kiedy Xander wyciąga rękę, żeby go odgarnąć, robię to sama i cofam się o kilka kroków.

– Dobrej zabawy z tym alarmem.

Przygląda się przestrzeni, jaka powstała między nami z mojej winy, a potem pyta ostrym tonem:

– On poznał twoją mamę?

– Co? Kto?

– Koleś z kolczykiem w wardze.

– Mason. Tak, poznał. – Tylko w przelocie, ale akurat teraz nie obchodzi mnie, co sobie pomyśli Xander. Jestem zirytowana. Myślałam, że jest inny, ale dzisiejszy wieczór dowiódł mi, że to nieprawda. A chciałam, żeby był inny.

– Jego twoja mama akceptuje, a ty się boisz, że nie zaakceptuje mnie?

– Koledzy Masona nigdy nie nazywali mnie znajdą. Czemu więc tak trudno ci w to uwierzyć?

– Słucham?

– Słyszałam, jak nazwał mnie jeden z twoich kolegów.

Zanosi się gorzkim śmiechem.

– To dlatego wyszłaś. Szkoda, że nie podsłuchiwałaś nieco dłużej, bo przyczepił się do mojej koszuli. Nazywa flanelę „tkaniną hycli”.

Coś ściska mnie w piersi i zastanawiam się, czy go nie przeprosić, ale to niejedyna rzecz, która mnie tego wieczoru trapi.

– Na całe szczęście nie będziesz już musiał jej nosić.

Wyciąga z kieszeni kluczyki.

– Cześć, Caymen.

– Cześć. – Nie oglądam się za siebie, choć bardzo tego pragnę. Chciałabym, żeby nie pozwolił mi odejść. I jestem zła na siebie za to pragnienie.

Nie powstrzymuje mnie.

W magazynku Henry chowa już gitarę, a Skye owija szyję szalikiem.

Nie chcę zostać sama. Boli mnie brzuch.

– Dokąd się wybieracie?

– Henry’emu nie przypasowała ta propozycja. – Skye wskazuje jedzenie na stole. – Spadamy na jakieś prawdziwe żarcie do sklepiku na stacji.

– Takie prawdziwe żarcie, jak nachosy i wczorajsze parówki w cieście?

– Właśnie – potwierdza Henry.

\* \* \*

Przez dokładnie trzy sekundy wlewam sobie do kubka mountain dew, potem podstawiam go pod powerade.

– Co ona robi? – dociera do mnie pytanie Masona.

– To jej specjalna mieszanka. – Skye się śmieje. – Na eksperymentowanie z nią poświęciła całe lato. Wreszcie odkryła idealny przepis na mieszankę napojów gazowanych.

– Będę musiał go wypróbować – mówi Mason, którego nie odstępuje właściciel stacji benzynowej. Nie ufa nastolatkom i nieustannie wokół nas krąży, próbując opowieścią o „ofertach dnia” tuszować to, że nas obserwuje. Akurat teraz opowiada Masonowi o obniżce cen na kabanosy wołowe, a Mason wchodzi mu w słowo pytaniem, czy w jej ramach może zestawiać i łączyć różne rodzaje. Mnie jedną to bawi. Skye jest zajęta wyciskaniem musztardy na ponadwymiarowego hot doga.

Dodaję ostatni składnik i upijam łyżeczek. Ideal. Skye sobie ze mnie żartuje,

ale ten eksperyment wart był wysiłku.

– Ile zapłaciłbyś za koszulę? – pytam nagle, myśląc o setkach dolarów, które Xander ma wydać na odkupienie koszuli „ważnemu klientowi”.

– Tę tutaj dostałem za pięćdziesiąt centów w sklepie Armii Zbawienia – oznajmia z dumą Mason, wskazując kabanosem logo kapeli na swojej koszulce. Właściciel stacji bacznie śledzi ruch kabanosa, jakby Mason zamierzał go sobie wsunąć w rękaw.

– To niesamowite, nawet jak na lumpeks. – Skye kiwa głową, wyraźnie pod wrażeniem.

– Te dzinsy mam za piątaka – mówi Henry. – A dałbym za nie nawet sześć dolców. – Zadziera koszulę, żeby pokazać nam w całej okazałości swój tyłek.

Wybucham śmiechem. Wszyscy tutaj, łącznie z przesadnie podejrzliwym właścicielem stacji, to ludzie z mojej bajki.

Mason, wskazując coś i jednocześnie mrugając, wyrzuca z siebie tak głośne „Aha!”, że aż mną wstrząsa.

– Co jest? – pytam.

– To stąd go znam.

Odwracam się powoli, w ślad za jego palcem kierując wzrok na wystawiony na stelażu za mną magazyn „Starz”. Na jego okładce, w rogu, widzę zdjęcie Xandra.

## Rozdział 20

**P**rawdopodobnie nie należało kupować tego magazynu. I tak jestem wystarczająco wkurzona na Xandra. Ale zrobiłam to i siedzę teraz sama na kanapie w dużym pokoju, czekając na powrót mamy i kolejny raz czytając ten marny artykuł. Dowiaduję się z niego tylko tyle, że „księcia hotelarstwa” widziano w zeszłym tygodniu w Nowym Jorku, gdzie nadzorował ponowne otwarcie jednego z hoteli należących do jego rodziny.

Nic dziwnego, że na początku naszych spotkań nie bardzo do niego docierało, że nie wiem, czym zajmują się jego rodzice. Pewnie nawet myślał, że udaję, iż go nie kojarzę. Według mnie zawiniło to, że nie mamy kablówki. Zresztą, choć dokładnie nie wiedziałam, z kim mam do czynienia, miałam świadomość, że jest kimś. Artykuł przypominający mi o tym fakcie niczego tu nie zmienia. Zgniatam więc w kulę cienkie pisemko i ciskam nim w rozjarzony ekran telewizora. Dwie sekundy później do mieszkania wchodzi mama.

– Cześć – mówi, widząc mnie na kanapie.

– Ta wizyta trwała wieki. – Gdybym podniosła teraz magazyn, za bardzo zwróciłoby to jej uwagę, więc go nie ruszam, mając nadzieję, że nie zauważy.

– Przepraszam. Pozałatwiałam jeszcze potem parę spraw.

Macham ręką za siebie.

– Zrobiłam ci kanapkę. Jest w lodówce.

Program, który oglądałam, przechodzi w reklamy, w pokoju robi się jaśniej i widzę, że mama ma zaczerwienione oczy. Siadam prosto i odwracam się do

niej.

– Dobrze się czujesz?

– Oczywiście. Jestem tylko zmęczona. – Znika, bo wchodzi do kuchni, oddzielonej od miejsca, gdzie siedzę, tylko ścianą.

– Na pewno?

– Tak. Nic mi nie jest.

Podnoszę magazyn i wpycham go do kieszeni.

Krzątanina w kuchni trwa jakiś czas, potem mama krzyczy:

– Dobrze się bawiłaś?

Przemierzam cztery i pół kroku dzielące mnie od telewizora i wyłączam go, a potem czekam na nią na kanapie.

– Tak. Poszliśmy do Skye i trochę kopaliśmy groby. Było naprawdę super.

– Brzmi wspaniale. Zaprosiłabyś tego swojego kolegę do nas. Chciałabym go poznać.

Nie, nie chciałabyś. Za nic nie chciałabyś go poznać.

– On ma lalkofobię. Jakaś trauma z czasów dzieciństwa.

– Serio?

– Tak serio to nie, mamó.

– Zabawna jesteś, Caymen.

– A tobie coraz lepiej wychodzi sarkazm.

Śmieje się.

– No więc to kolega czy chłopak?

– Tylko się kolegujemy. – Choć czy to jeszcze aktualne?

– Jeśli to wszystko, czego ci teraz trzeba, lepiej uważaj, bo od „kolegi” do „chłopaka” niedaleko.

Przewracam oczami, uśmiechając się.

– Pewnie, pewnie.

– Bliziotko – dodaje. – Po co komu złamane serce?



– Mówisz jak jakiś Sokrates, mamó.

– Bo jestem kimś takim, czyż nie? – Słyszę trzaskanie kredensu i już przygotowuję się na powitanie jej na kanapie, kiedy mówi: – Dzięki za kanapkę, kochanie. Zostawię sobie na jutro. Jadłam na mieście.

– Okej.

– Przepraszam, że tak weszłam i zaraz na ciebie wsiadłam, ale idę się położyć.

– O ósmej?

– To był długi dzień zajmowania się sklepem i ganiań po mieście.

Zrywam się i gonię za nią na korytarz.

– Zaczekaj.

Odwraca się do mnie. Na korytarzu nie pali się światło i stoimy w cieniu.

– Tak?

– Porozmawiaj ze mną, proszę. Coś jest nie tak. – Mówiłyśmy sobie z mamą wszystko. Wiem, że dystans, jaki nas teraz dzieli, powstał z mojej winy, bo za wiele mam przed nią sekretów, mimo to musimy pomówić.

Przygląda się swoim dłoniom, jej ramiona podnoszą się i opadają. Nie patrząc mi w oczy, zapewnia:

– To nic takiego. Naprawdę.

– Mamó, proszę cię. To nie jest nic, znam się na tym.

– Próbowałam dzisiaj wziąć kredyt. Odmówili mi.

– Kredyt na co? – pytam, choć nie muszę.

W końcu podnosi głowę. Oczy ma rzeczywiście przekrwione.

– Na spłatę paru rachunków. – Bierze mnie za rękę. – Ale nie chcę, żebyś się tym zamartwiała. Będzie dobrze. Po prostu mamy zaległości. Już to przerabialiśmy. Miejmy nadzieję, że przyjdą lepsze miesiące. Musimy tylko bardziej uważać.

– Bardziej uważać? – Czy to w ogóle możliwe? Już teraz prawie nic nie wydajemy.

– Nie martw się, okej? Jest dobrze.

Kiwam głową, a ona przytula mnie do siebie. Ale martwię się nadal.

Zamykając drzwi pokoju, czuję w piersi straszliwy ciężar. Magazyn uwiera mnie w udo, wyciągam go więc z kieszeni i rozprostowuję.

– Warto się w ogóle dla ciebie tak męczyć, Xander? – pytam jego wymiętą podobiznę.

\* \* \*

W poniedziałek rano szykuję się bez pośpiechu. Przez cały weekend starałam się wymyślić, co powiem Xandrowi. Zmęczyło mnie już to ciężące mi uczucie, tym bardziej że nie chce odpuścić.

Kiedy schodzę na dół, mama zapina zieloną bezpieczną kopertę bankową i chowa ją do torebki.

– Myślałam, że zaniósłś utarg w sobotę wieczorem.

Wzdryga się.

– Przestraszyłaś mnie. – Przygląda mi się. – Łał, pięknie dzisiaj wyglądasz. Wieki nie widziałam cię w tym swetrze. Podkreśla kolor oczu. Czy to ze względu na tego szczególnego kolegę ze szkoły?

Gdybym tak nie kochała mamy, udusiłabym ją.

– Nie, mamó. Mówiłam, że tylko się kolegujemy. – A poza tym on nie chodzi do mojej szkoły. I... Chwila, czyżby próbowała zmienić temat? Prawie jej się udało. – To co z tym utargiem?

– Nie zaniósłam go w sobotę.

Nie odniosła utargu? Mama ma świra na punkcie pilnowania wpłat. I czy nie wspominała wieczorem, że mamy zaległości?

Musiła zauważyć moją minę, bo mówi:

– Nic się nie stało. Wpłacę, jak tylko otworzą.

– Okej. – Podnoszę plecak, wyglądam sweter i kieruję się do drzwi. Serce niespodziewanie mi trzepoce, pierwszy raz od kłótni z Xandrem. Uśmiecham się i wychodzę na ziąb.

Xandra nie ma.

Droga do szkoły wydaje mi się dwa razy dłuższa niż normalnie. Może dlatego, że wciąż oglądam się przez ramię, a może przez to, że idę wolno, dając mu czas na podjechanie. Bezskutecznie.

\* \* \*

Po lekcjach, kiedy mama na piętrze wpisuje do komputera zamówienia, wyciągam aparat Xandra, trzymany dotąd w biurku w magazynku, i robię lalkom jeszcze trochę zdjęć. Nigdy przedtem nie czułam takiej potrzeby założenia strony internetowej i jej poprowadzenia. Mogłaby wyraźnie zwiększyć nam obroty. Wpatrując się przez obiektyw w martwe oczy Aislyn, wracam myślą do tamtej chwili rano, gdy mama stała nad kasą, z bezpieczną kopertą w ręce i wymijająco odpowiadała na pytania.

Wieszam na szyi aparat i zakradam się do jej biura. Pierwsze, co robię, to zaglądam do księgi rachunkowej. Zadłużenie jeszcze wzrosło. Przekroczyło trzy tysiące dolarów. Nie powinno mnie to zaskakiwać, sama mi przecież o tym powiedziała. Ale zaczynam się jeszcze bardziej niepokoić. Otwieram boczną szufladę, w której mama trzyma bezpieczną kopertę, i ją wyciągam. Jest zapięta, a ja przyglądam się jej przez chwilę i ważę w dłoniach, bojąc się, że po otwarciu znajdę tam pieniądze. Nie wiem, co by to mogło oznaczać, gdyby nadal były w kopercie. Że mama wciąż coś przede mną ukrywa? Raz kozie śmierć. Otwieram i zaglądam do środka. Pusto. Ale choć pieniędzy nie ma, a zatem dokonała wpłaty, nadal czuję niepokój.

Dźwięczy dzwonek nad drzwiami, wpycham więc kopertę do szuflady

i pędzę do sklepu.

Prawie w drzwiach stoi wysoki ciemnowłosy brodacz. Potrzebuję chwili, żeby skojarzyć, kto to, potem sobie przypominam, że kilka tygodni temu był już u nas i rozmawiał z mamą.

– Jest Susan? – pyta, przyglądając się aparatowi na mojej szyi.

– Nie, nie ma. – Pewnie mogłabym mu powiedzieć, że jest na górze, ale niepokój, który poczułam w biurze mamy, przybrał na sile.

– Przekażesz jej, że zajrzał do was Matthew?

– Mogę panu w czymś pomóc?

W jego oczach pojawia się błysk, a usta drgają w uśmiechu.

– Nie.

Po tych słowach wycofuje się za drzwi. Przechodzi przed oknem wystawowym. Czekam jeszcze chwilę, a potem szybko wychodzę na zewnątrz, trzymając się tak blisko budynku, żeby nie mógł mnie zobaczyć. Wsiada do granatowego SUV-a zaparkowanego kilka sklepów dalej. Czym prędzej strzelam kilka zdjęć, w tym powiększenie tablicy rejestracyjnej, a potem jego twarzy. Kiedy w obiektywie spotykam się z nim wzrokiem, serce mi prawie zamiera. Podczas błyskawicznego odwrotu klamka wbija mi się w plecy. Prawdopodobnie mnie nie zauważył. A powiększenie zrobiłam całkiem porządne.

W sklepie sięgam po telefon. Już mam wcisnąć guzik połączenia wewnętrznego, ale się powstrzymuję. Nie chcę powiadamiać mamy przez telefon, że był Matthew. W ogóle nie mam ochoty jej o tym mówić. Nie żeby mama z nikim się dotąd nie umawiała. Bywało tak... Sporadycznie. Zawsze jednak o tym opowiadała. Dlatego muszę przyjąć, że kimkolwiek jest ten Matthew, to na pewno nie ktoś, z kim się spotyka. A skoro nie, to kto to taki?

## Rozdział 21

**D**wa dni później wpatruję się w leżący na moim łóżku futerał z aparatem Xandra. Przerzuciłam już zdjęcia na komputer i rozpoczęłam pracę nad stroną internetową. Wszystko po to, żeby nie zawracać sobie głowy faktem, że od sobotniego wieczoru nie widziałam się z Xandrem. W nocy i tak wszystko do mnie wraca. To, jak przynosi mi te francuskie pyszności, jak pojawia się Mason, jak się odsuwam, gdy Xander usiłuje dotknąć moich włosów, jak się kłócimy. Przez cały czas wysyłałam mu zniechęcające sygnały, najwyraźniej jednak przedtem nie brał ich sobie do serca.

Szturcham futerał stopą i wzdycham. Od dwóch dni medytuję, czy nie wykorzystać tego aparatu jako pretekstu do ponownego spotkania. Do akcji typu „Chciałam ci tylko oddać aparat”. Są tylko dwa problemy. Pierwszy to taki, że nie mam pojęcia, gdzie mieszka. Drugi, że nie mam do niego telefonu. W tym przypadku rozwiązania są również dwa. Po pierwsze, mogłabym zadzwonić do pani Dalton i poprosić ją o numer Xandra. Po drugie, mogę pojawić się w hotelu The Road’s End, licząc, że tam na niego wpadnę.

Wygrywa opcja numer dwa. Mój umysł poddaje się temu szalonemu pomysłowi, że jak tylko pokażę się w hotelu, on też w magiczny sposób się tam zjawi. Powiem wówczas: „Byłam w okolicy” i nie zabrmi to ani zbyt jednoznacznie, ani też przerażająco.

Nic nigdy nie układa się jednak tak, jak to sobie wyobrażam, dlatego stoję teraz przy recepcji w bajeranckim hotelowym holu, rozmawiając z urzędującą tam osobą. Godzę się z faktem, że nie wyszło.

– Mam jego aparat – mówię ponownie.

– Jak już wcześniej powiedziałam, jeśli zostawisz go u mnie, dopilnuję, żeby do niego trafił.

– Jeśli powie mi pani, kiedy będzie, lub poda mi jego adres czy coś w tym stylu, podrzucę go sama.

Patrzy na mnie tak, jakby wbijała mi szpilę w serce. Jakby pytała: „Wiesz, ile dziewczyn próbowało wydebić ode mnie coś na temat Xandra?”. Odpycha mnie ta mina.

– Na pewno go nie zostawisz?

Usiłując pokazać po sobie, że jej nie ufam, odpowiadam:

– To kosztowny aparat.

Moja mina nie robi na niej takiego wrażenia, jak jej grymas na mnie. Prawdę mówiąc, na jej miejscu też nie udzieliłabym takiej mnie informacji na temat Xandra.

Odwracam się i odchodzę tam, skąd przyszedłam, nadal ściskając aparat Xandra. To by było na tyle, jeśli chodzi o tę opcję. Zadzwonię do pani Dalton i poproszę o numer Xandra. Muszę przecież zwrócić ten aparat. To naprawdę ważne.

Pasek futerału zaciska mi się na ręce, bo owinęłam go kilkakrotnie, żeby nie wlec sprzętu po ziemi. Im dłużej tak odcinam krążenie, tym bardziej bieleją mi palce. Ledwie docieram do drzwi, stoję jak wryta. Po co to sobie robię? Czemu tak mocno mi na tym zależy? I na nim? Jakieś za trudne to wszystko. Gdyby racja była po mojej stronie, nie musiałabym ściemniać mamie. Nie miałabym poczucia winy. Gdybym rzeczywiście miała rację, wszystko byłoby łatwiejsze.

Ponownie przemierzam swój szlak hańby prowadzący do recepcji i kładę aparat na jej blacie.

– Dobrze. Przekaze mu go pani?

Kiwa głową na potwierdzenie i patrzy, jakby chciała coś powiedzieć – może podziękować? – ale dzwoni telefon, odbiera go więc i już o mnie nie pamięta. Oddycham głęboko i sobie idę. Xandra też tak mogę zostawić. Tu, gdzie jego miejsce.

Jadąc do domu, widzę na mieście poprzebierane dzieciaki. Jak mogłam zapomnieć, że dziś Halloween? Chociaż na Starym Mieście zauważam niewiele dzieci. Mało kto mieszka w dzielnicy sklepów i firm. Parkuję w zaułku i wchodzę od zaplecza. W sklepie jest tak samo ciemno jak wtedy, gdy go opuszczałam. Zbliża się dziewiąta, a więc biorąc pod uwagę ostatnie zwyczaje mamy, spodziewam się, że jest już w łóżku. Zastaję ją jednak na kanapie, ogląda film.

Spogląda na mnie z uśmiechem.

– Myślałam, że może uprzedzałaś mnie, że idziesz dziś na jakąś imprezę, a ja o tym zapomniałam.

– Nie. Nie pamiętałam nawet, że dziś Halloween.

Poklepuje poduszkę obok siebie.

– Co oglądasz?

– Sama nie wiem, jakąś klasykę z Hallmarku.

Ładuję się na kanapę obok niej.

– Niech zgadnę. Ta pani ma raka, a ten pan nawet nie miał pojęcia, że kocha ją od zawsze.

– Nie. Wydaje mi się, że ten chłopczyk choruje, a do jego mamy dociera, jak wiele czasu spędza w pracy.

Naciągam na siebie część koca, którym przykryła się mama. Nic już nie mówimy, tylko oglądamy, ale jest spokojnie, swojsko, a pod koniec filmu czuję się o wiele lepiej. Brakowało mi jej. Brakowało mi tego.

\* \* \*

Następnego dnia pod sklepem wpadam na wychodzącego właśnie listonosza. Kiwa głową na powitanie, a ja odpowiadam mu uśmiechem. Mama stoi za ladą i powoli przegląda pocztę. Zastanawiam się, czy nie zwleka, żeby jeszcze nie widzieć rachunków czekających na opłacenie pieniędzmi, których nie mamy. Po przewertowaniu listów podnosi na mnie wzrok.

– Hej.

– Cześć.

Bierze do ręki te koperty.

– Denerwujesz się? – pyta.

– Tak. – Żeby jeszcze wiedziała jak bardzo.

– Jak myślisz, kiedy zaczniesz rozmowy kwalifikacyjne?

– Rozmowy kwalifikacyjne?

– W Berkeley, Sac State, San Francisco, rozumiesz, na uczelniach?

– No tak. – Najpierw musiałabym rozesłać aplikacje. – Jeszcze nie teraz. Chyba koło kwietnia. – W rzeczywistości wiem, że na większości uczelni ten termin zbliża się wielkimi krokami. Jeszcze nie mówiłam mamie, że planuję odłożyć to na rok czy dwa.

– Koło kwietnia to szmat czasu.

Dla mnie to niemal tuż-tuż.

Mama się uśmiecha i wkłada stosik poczty do szuflady, a potem odwraca się do zbyt wielkiego jak na nasze skromne plany kalendarza leżącego na tylnej ladzie. Zrywa kartę z ostatnim miesiącem, starannie ją składa i chowa w szafce pod nim, dokładając do innych, żeby przyszłe pokolenia mogły się przekonać, że mamy za sobą wyjątkowo nudny rok.

– Mamy nowy miesiąc – informuje mnie. – Pora go zaplanować. – Już szykuje długopis, gotowa znów wepchnąć moje życie w ściśle określone rubryczki, gdzie jest jego miejsce. – Jakież dodatkowe sprawy szkolne w tym tygodniu?



– Nie. Tylko jutro mam poważny sprawdzian, chyba się więc dzisiaj pouczę. Zakreśla mi dzisiaj czas wolny od piątej.

– Ja w następną środę wieczorem mam spotkanie właścicieli sklepów.

Przypisuje mu w kalendarzu godzinę szóstą, nie dodając żadnych dalszych szczegółów.

– Gdzie będzie?

– Jeszcze nie wiem. Za każdym razem urządzamy je u kogoś innego.

– To jakim cudem jeszcze go u nas nie było?

– Nasz sklep jest o wiele za mały. – Przygląda się prawie pustemu kalendarzowi. – Coś jeszcze?

Moje spojrzenie na dłużej zatrzymuje się na sobocie, do niedawna będącej dla mnie i Xandra dniem kariery. Teraz powinna być jego kolej.

– Nie. Nic.

– Łał, to czeka nas ekscytujący miesiąc. Nie wiem, jak sobie damy radę z tak pełnym grafikiem.

– Żadnych przyjęć urodzinowych?

– Jak dotąd nic.

Odkłada długopis i szykuje się do porządków. Przez całe popołudnie łapię się na wpatrywaniu się w kalendarz i w czerniący się przy środzie dopisek „spotkanie”. Skąd ta moja podejrzliwość? Od kilku miesięcy ukrywam przed mamą, z kim się spotykam. Czy to możliwe, że ona też mnie okłamuje? W głowie tłucze mi się imię Matthew, czym prędzej więc próbuję je sobie z niej wybić. Ale siedzi mocno.

– Mamo, kim jest...

Dzwonek nad drzwiami przerywa mi w pół zdania. Oglądam się, bo jakaś głupia, fałszywa nadzieja podpowiada mi, że to może Xander. Mylę się. To Mason.

## Rozdział 22

Mama się uśmiecha.

– Mason, prawda? Dzień dobry.

Zapamiętała jego imię?

– Zgadza się. Dzień dobry. Miło mi panią znowu widzieć. Miałem nadzieję wykraść Caymen na godzinkę lub dwie, oczywiście, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

– Absolutnie, nie ma sprawy. Dokąd się wybieracie?

– Mamy próbę zespołu i chciałbym poznać jej opinię na temat kilku piosenek.

– On jeszcze nie wie, że moja opinia na temat muzyki jest bezwartościowa – mówię mamie.

– Caymen ma bardzo dobry gust – uspokaja go mama, jakby naprawdę miał się tym przejąć.

Kiedy Mason przechodzi obok mamy, widzę, że ona przygląda się jego łydce. Wskazuje na nią.

– Co on oznacza?

Mason wykręca stopę, żeby spojrzeć na tatuaż, jakby całkiem o nim zapomniał.

– To taki chiński symbol. Oznacza „akceptację”.

– Bardzo ładny – mówi mama.

– Dziękuję. – Odwraca się do mnie. – Gotowa?

– Jasne. Dzięki, mamó, to na razie.

Mason kładzie mi rękę na ramionach. Już się oswoiłam z tą jego potrzebą kontaktu z drugim człowiekiem. Ja sama też zresztą ją teraz odczuwam.

Szturcham go łokciem.

– W krótkich spodniach w listopadzie?

– Nie jest tak zimno.

Ma oczywiście rację. W Kalifornii, na wybrzeżu, początek listopada niewiele się różni od większości miesięcy.

– Gdzie macie próbę? – pytam.

Wskazuje fioletową furgonetkę.

– W furgonetce?

– Nie, pojedziemy tam.

Odsuwają się boczne drzwi furgonetki i wyłazi z nich uśmiechnięta Skye.

– Nie myślałam, że uda mu się wyciągnąć cię z tego sklepu.

– Czemu nie?

– Temu, że jesteś taka odpowiedzialna. Ale zapewnił, że da radę.

Najwyraźniej nie doceniłam uroku Tika.

Chyba raczej nie doceniła mojego osamotnienia. Mason fajnie pachnie, nieco bardziej wtulam się więc w jego pierś.

– Mama była w dobrym nastroju. Praktycznie to ona podjęła tę decyzję.

– Aha – odzywa się Mason. – Poczytaj sobie. – Otwiera drzwi od strony pasażera i autentycznie daje tam nura, żeby podnieść coś z podłogi. Prezentuje magazyn „Starz”.

– Kolejny artykuł. Powinnaś zacząć je kolekcjonować. Pozwalają się otrzeć o sławę, nie?

Łapię za magazyn i studiuję okładkę, aż wreszcie znajduję Xandra w nagłówku *Xander Spence i Sadie Newel widziani razem w ten weekend w L.A.* Na zdjęciu chłopak trzyma za rękę dziewczynę o krótkich ciemnych włosach i długich opalonych nogach. Żołądek tak mi się skręca, że zbiera mi

się na wymioty. Widocznie Xander w ten weekend musiał zająć się nie tylko koszulą klienta.

Znajduję ten artykuł i czytam: „Xander Spence, syn właściciela sieci prestiżowych hoteli Blaine’a Spence’a, widziany był w ten weekend w Los Angeles, pod klubem Oxygen, w towarzystwie swojej długoletniej przyjaciółki, aktorki Sadie Newel, która minione pół roku spędziła na planie filmowym w Paryżu”.

Długoletniej przyjaciółki? Dalej już nie czytam, bo litery mi się rozmywają. Nie ma mowy, żebym się przez to rozpłakała. Już odpuściłam sobie Xandra. Oddałam mu aparat, upominam sama siebie. Tym samym się od niego uwolniłam. Tyle że w sekrecie, w głębi ducha, miałam dotąd nadzieję, że wróci. Zagryzam wargę i siłą tłumię łzy.

– Łał, ekscytujący ten artykuł – mówię. – Widziano, jak dwoje ludzi sobie idzie. Nowina, że ho, ho.

Pół roku. Ostatnie sześć miesięcy spędziła na planie filmowym. Byłam dla niego odskoczną. Mój rozum uznaje, że to odpowiedni moment, by przypomnieć mi, jak platoniczny był mój związek z Xandrem: jak to nigdy nie trzymał się zbyt blisko mnie, jak w rozmowie z Masonem rozmyślnie nazwał sam siebie moim przyjacielem i nigdy nie nazywał naszych wyjść randkami. To były „dni kariery”. A w tym tygodniu nawet się nie pojawił. Durny rozum. Czemu nie podszeptał mi tego wcześniej? Najwyraźniej błędnie interpretowałam reakcje Xandra na pewne rzeczy. Jest mi głupio. On naprawdę chciał tylko przyjaźni.

Przełykam łzy. Świetnie. Tego właśnie potrzebowałam – jednoznacznego odcięcia się od niego. Takiego na trwałe. Przyglądam się zdjęciu Sadie Newel. Ma klasę, jest piękna i znacznie bardziej w jego typie.

Za furgonetki wyłania się Henry.

– Jesteśmy już gotowi, żeby nagrać nasz pierwszy singiel? – Pokazuje

telefon. – Xander mówi, że studio jest teraz totalnie wolne.

\* \* \*

– Wszystko w porządku? – pyta cicho Skye. Tkwią na środkowym siedzeniu, między nią a Derrickiem, perkusistą.

– Wszystko gra. Czemu by nie miało? – Pod tym „gra” można wyczuć, że mam stracha. Jedziemy na spotkanie z Xandrem. Będę musiała spojrzeć mu w twarz. To niedobrze. Odkąd ta nowina w pełni do mnie dotarła, zastanawiam się, czy nie wyskoczyć z furgonetki.

– Bo właśnie się dowiedziałaś, że koleś, który ci się podoba, ma dziewczynę. – Wskazuje magazyn, który ciśnięty w głąb auta jakoś trafił mi pod stopę (co może i nieprzypadkowo skończyło się wbiciem przeze mnie obcasa w idealną buźkę Sadie).

– To widać?

Wzrusza ramionami.

– Proszę cię. Jestem twoją najlepszą przyjaciółką.

– No tak. Ale już mi przeszło.

– Szybko.

– Jestem trochę do przodu, bo próbowałam go sobie wybić z głowy, odkąd go poznałam.

Poklepuje mnie po kolanie, jakby uważała, że ściemniam. A przecież tego nie robię. Okej, rzeczywiście totalnie ściemniam, chcę jednak, żeby tak właśnie to widziała, dopóki wszystkie uczucia, które staram się sobie wmówić, nie staną się wreszcie prawdą.

Mam nadzieję, że studio i Xander to nie dwupak. Nie jestem jeszcze bowiem gotowa na to, by stawić mu czoło. Możliwe jednak, że jedynie zadzwonił do studia i uprzedził o przyjeździe kapeli. Nie musi przecież tam być. Tak przynajmniej przekonuję siebie podczas piętnastominutowej jazdy

samochodem, podczas gdy zaafierowani członkowie kapeli gadają jeden przez drugiego.

Mijamy posterunek ochrony i przez ręcznie kutą żelazną bramę wjeżdżamy na brukowany podjazd. Widząc wielką fontannę i dom, którego okien nie jestem w stanie zliczyć, natychmiast pojmuję, że studio i Xander to jednak dwupak – że znajdują się pod tym samym dachem.

## Rozdział 23

**X**ander czeka na nas na kolistym podjeździe, staram się więc kryć za całą grupką. Nie wiem, na ile powinnam się wstydzić za moje zachowanie w ciągu kilku ostatnich miesięcy. Czy za każdym razem, kiedy się zbliżał, wyczuwał galopadę mojego serca? Czy robiłam do niego maślane oczy? Skye kiedyś to zauważyła. On pewnie też. A teraz pomyśli sobie, że podczepiłam się do kapeli, żeby móc go zobaczyć.

– Studio jest na tyłach – mówi Xander, gdy chłopaki zaczynają wyładowywać instrumenty z furgonetki. Na dźwięk jego głosu oczy znów mnie szczypią. Klnę pod nosem. On dodaje: – Decyzja należy do was, ale jeśli nie macie ochoty dźwigać tego wszystkiego, studio jest wyposażone w instrumenty.

– Obłąd – komentuje Mason, odkładając gitarę. Henry zatrząskuje tył furgonetki.

– Chodźcie za mną – rzuca Xander. Mnie zauważa dopiero po chwili. Niezle się schowałam za Skye, między basistą Mikiem i perkusistą Derrickiem. Ściąga brwi. – Hej, nie spodziewałem się, że i ty przyjedziesz.

– Ja też nie. – Wiem, że ze względu na ściśnięte gardło zabrzmiało to piskliwie i nie tak, jak powinno, ale staram się trzymać fason.

Przez moment się waha, jakby chciał powiedzieć coś więcej, ale poprzestaje na: „Okej, chodźmy”. Pokazuje nam wszystkim, żebyśmy szli za nim. Domyślam się, że oczekuje, iż dotrzymam mu kroku i pójdę obok niego. Poznają to po tym, jak kilkakrotnie ogląda się przez ramię, gdy wędrujemy

przez rozległy dziedziniec, mijając basen i boisko do koszykówki. Trzymam się jednak swojego miejsca między prawie obcymi dla mnie kolesiami, słuchając ich pogaduszek. Zamierzam dać Xandrowi do zrozumienia, że dotarło do mnie, iż łączy nas tylko przyjaźń. I że nigdy nie będzie między nami czegoś więcej. A także i to, że mam też innych przyjaciół i nie musi się bać, że będę mu się narzucać.

– Okej – mówi, otwierając drzwi, po czym kładzie klucze i komórkę na stoliku po lewej. – Zapoznajcie się z zabawkami, ja odpalę sprzęt. – Kapela momentalnie rzuca się na instrumenty, Xander natomiast pozostaje po tej stronie wielkiej szyby i zaczyna bawić się suwakami i pokrętłami. Skye opada na kanapę za nim, więc do niej dołączam.

Xander zamyka zarówno drzwi wychodzące na zewnątrz, jak i te prowadzące tam, gdzie kapela już gra, i tym samym skutecznie odcina dźwięki. Wracając na swoje miejsce, uśmiecha się do mnie, a ja wściekam się na swoje serce, bo jeszcze sobie nie przyswoiło informacji o jego dziewczynie i ten uśmiech nadal podrywa je do galopu.

– Jeśli zachce wam się pić, w lodówce są napoje i takie tam. – Wskazuje stojący w kącie sprzęt z nierdzewnej stali, potem się odwraca, przykłada słuchawki do jednego ucha, wciska guzik na konsoli przed sobą i mówi do mikrofonu:

– Do dzieła, przelećcie tę piosenkę kilka razy, a ja dam wam znać, kiedy będziemy gotowi do nagrywania.

Puszcza guzik i odwraca się do nas na krześle obrotowym. Czułabym się o wiele swobodnej, gdyby Xander był mniej... Mniej jaki? Mniej pewny siebie? Nie tak atrakcyjny? Gdyby nie był z niego taki flirtiarz?

To ostatnie byłoby rzeczywiście miłe. Bo cokolwiek podpowiadałby mi mój rozum, Xander jest flirtiarzem. Gdyby jako mój chłopak kręcił z jakąś dziewczyną, tak jak jeszcze niedawno ze mną, byłabym wściekła.



- Co znowu? – pyta Xander.
- Co?
- Gapisz się na mnie.
- Wcale nie – zaprzeczam.
- Właśnie, że tak. Gapiła się? – zwraca się do Skye.
- Tak, gapiłaś się.
- Próbuję tylko określić, po co żyjesz.
- Słucham?

Omiotam gestem to obłądne studio mieszczące się na tyłach jego domu.

– Skąd bierzesz siły, by dzień w dzień wstawać z łóżka, choć maluje się przed tobą tak przygnębiająca przyszłość?

– Prawdę mówiąc, jest taka osoba, która pracuje ze mną nad tym właśnie problemem. Mam nadzieję, że pomoże mi odkryć, co kryje dla mnie przyszłość. – Te słowa przypominają mi, dlaczego zaczęliśmy się spotykać. Według niego byliśmy oboje „w tej samej sytuacji”. Możliwe, że uznał, iż zrozumie mnie lepiej niż inni. Według mnie to nieprawda. Nie można różnić się bardziej.

Drzwi pomieszczenia kapeli otwierają się, wpada Mason, przelatuje nad kolanami Skye i moimi, tak że stykamy się głowami.

– Myślę, że jesteśmy gotowi – powiadamia Xandra.  
– Okej. – Xander czeka chwilę, prawdopodobnie na to, aż Mason się podniesie, a potem ruchem głowy wskazuje jego łydkę.

– Fajny tatuaż.  
– Dzięki. A skoro o tym mowa... – Mason spogląda na mnie, chwytając kosmyk moich włosów i owija go wokół palca. Jestem mu wdzięczna za poświęconą uwagę. Dzięki temu mniej mi głupio, że tak potraktowałam Xandra. Niech zobaczy, że nie tylko przy nim tak wymiękam. – Czy twoja mama mówiła to dziś sarkastycznie, czy myślisz, że naprawdę jej się

spodobał?

– Moja mama nie wie, co to sarkazm.

– Powaga? – śmieje się Mason. – To po kim tak opanowałaś tę sztukę? Twój tata to spec od sarkazmu?

Chyba wyczuwając, że nie dałoby się poruszyć gorszego tematu, cała kapela zwala się do tego pomieszczenia, które i tak już pęka w szwach. Na usta ciśnie mi się wyznanie: „Pojęcia nie mam, czy mój tata wie, co to sarkazm, bo go nie znam”.

– Ona go nie zna – wyjaśnia Skye, wcale mi nie pomagając.

– Serio? – dziwi się Mason. – Nie znasz swojego taty? Co to za historia?

Wiercę się, niepewna, jak obrócić to wszystko w żart.

Xander patrzy na zegarek.

– Chłopaki, mam napięty grafik. Może trochę czadu? – Na ułamek sekundy spotyka się ze mną wzrokiem, dając do zrozumienia, że zrobił to dla mnie.

Mason złazi z kanapy, zapominając chyba o moim tacie tak nagle, jak poruszył ten temat. Chciałabym umieć równie łatwo wybić go sobie z pamięci.

Oglądamy grającą kapelę jak nieme kino. Xander, ze słuchawkami na głowie, podstraja coś za pomocą gałek i suwaków. Nie jestem pewna, czemu służy to podstrajanie, on jednak najwyraźniej się na tym zna. Skye podnosi się i bierze z lodówki napój.

– Też chcesz? – pyta.

– Nie, dzięki.

Wraca do mnie na kanapę.

– I jak ci?

– Fajnie.

– Tak przy okazji, już wyczałałam.

– Co wyczałałaś?

– Jego. Już czaję, czemu wpadł ci w oko. Ma coś w sobie. – Wskazuje

plecy Xandra. A ja, choć nie rozmawiamy głośno, a Xander ma słuchawki, mam chęć ją uciszyć.

– Już ci mówiłam. Sprawa skończona. Skye, on chodzi z aktorką.

Przewraca oczami.

– Aktorki są przereklamowane. Zawalcz o niego.

Wstaję, czując, że muszę jakoś rozładować nerwy.

– Nie może być mowy o rywalizacji, gdy jedna osoba już wygrała.

Na stoliku przy drzwiach dzwoni komórka Xandra. Najwyraźniej tego nie słyszy, bo wcale nie reaguje. Stoję niespełna półtora metra od aparatu, zaspokajam więc ciekawość i zerkam na rozjarzony wyświetlacz. Najpierw rzuca mi się w oczy zdjęcie: roześmiana ciemnowłosa dziewczyna. Nie muszę nawet czytać podpisu, bo wiem, jak wygląda, ale i tak patrzę. Sadie.

– Widzisz...? – mówię do Skye, unosząc brew.

– Poważnie? – pyta.

Kiwam twierdząco głową, a potem, nie spuszczając oczu z pleców Xandra i nadal szalejącej za szybą kapeli, ulegam najdziwniejszemu odruchowi w moim życiu, podnoszę jego telefon i pytam:

– Halo?

Skye tak rozdziawia usta, że boję się, czy szczęka nie wyskoczy jej z zawiasów.

– Halo...? Xander...? Niezbyt dobrze cię słyszę. Dzwonię z samochodu. – Jej głos wydaje się taki zwyczajny. Widziałam Sadie Newel w paru filmach i ta jej wersja w niczym nie przypomina mi wyrafinowanej, oglądanej na srebrnym ekranie postaci.

Teraz, gdy odebrałam, nie wiem, co powiedzieć.

– To nie Xander. Zawołam go.

– Nie słyszę cię. Co? Grr. Słuchaj, fatalnie cię słychać, ale musisz użyć dla mnie swojej magii. Zadzwoń znowu, jak już dojadę do hotelu. – Telefon

milknie, odkładam go więc na stolik, jakby miał zaraz eksplodować.

Skye chichocze.

– Wariatka z ciebie.

– Nie połapała się, że to ja. Zadzwoń później.

Xander obraca się na krześle, a mnie zapiera dech.

– Chcecie posłuchać? – pyta, zdejmując słuchawki i wyciągając je do nas.

– Tak. – Skye podrywa się i rusza do przodu. Gdy już siada na krześle obok Xandra, słuchając kapeli, on odwraca się do mnie.

– Czemu więc nie to? – pytam, ponownie siadając na kanapie.

– Nie co?

– Czemu nie miałbyś zarabiać na życie jako producent muzyczny? Wygląda na to, że cię to pasjonuje.

Podsuwa krzesło tak, że zderzamy się kolanami.

– Mój ojciec nigdy nie wyłożyłby pieniędzy na coś takiego.

Przyglądam się naszym kolanom, myśląc, czy nie wykorzystać faktu, że jego krzesło jest na kółkach, i go nie odepchnąć. Ignoruję ten odruch.

– Przecież zbudował to studio.

– Mój starszy brat gra na gitarze klasycznej. To miało mu pomóc zaspokoić artystyczne ambicje. Takie hobby. Spędziłem tu z nim wiele czasu, ucząc się tych spraw. Ale zdaniem mojego ojca to żadna kariera.

– Myślałam, że nie obchodzi cię, co myśli twój ojciec – mówię.

Mruży oczy, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Obchodzi mnie jednak chyba, co sobie myślą pieniądze mojego ojca. – Pociera kark. – Bez nich nie mam szans na uwolnienie się od niego. To coś jak obosieczny miecz.

Łapię, co chce powiedzieć. Będzie potrzebował tych środków, żeby pójść na studia, rozpocząć własną karierę i zacząć zarabiać na siebie. Zastanawiam się jednak, czy Xandrowi rzeczywiście zależy wyłącznie na pieniądzach. Dość

mocno się stara wkurzyć ojca. Wydaje mi się więc, że jednak przywiązuje wagę do jego opinii.

Za szybko Mason śpiewa z zamkniętymi oczami. Wygląda pociesznie.

Xander stuka mnie pięścią w kolano, przypominając o sobie.

– Cieszę się, że tu jesteś. Nie przypuszczałem...

Przekrzywiam głowę, czekając, żeby dokończył.

– Po tamtej sobocie... I oddałaś mój aparat tak bez słowa... – Wpatruje mi się w oczy.

– Co takiego? – pytam, zadręczając się tym, czemu nie kończy tych swoich myśli. Czemu zostawia je niedopowiedziane. Czyżby to, jak ułożyło się między nami, gryzło go tak samo jak mnie?

– W ten weekend nie będzie mnie w mieście. Ale następna sobota? Nadal jesteśmy umówieni?

Mrugam. To właśnie mu się marzy? Kolejne dni kariery? Skye płoszy mnie okrzykiem.

– Ale to było niesamowite. – Podnosi się.

Xander również wstaje, podchodzi do konsoli i wciska guzik mikrofonu.

– Fajrant. Dobra robota, chłopaki. – Idzie do stolika, chowa do kieszeni klucze i komórkę, potem patrzy na mnie z poczuciem winy w oczach. – Nie spodziewałem się ciebie. Mam naprawdę napięty rozkład dnia. – Spogląda na zegarek. – Za dwadzieścia minut powinienem być na lotnisku.

– Na pewno sami trafimy do samochodu.

– To zobaczymy się w następną sobotę?

Mam ochotę odpowiedzieć: „Nie wiem, może lepiej uzgodnij to najpierw z twoją dziewczyną. Właśnie dzwoniła, może ją zapytamy?”. Ale nic takiego nie mówię. Jedynie kiwam głową. Bo czy ma dziewczynę, czy nie, chcę się z nim spotkać w sobotę. Widocznie wbrew temu, co sądziłam, wcale mi nie przeszło i jestem zła na siebie za tę słabość.

## Rozdział 24

**W** poniedziałek rano ledwie żegnam się z mamą i łapię za plecak, żeby lecieć do szkoły, ktoś puka do drzwi. Wyglądam przez szybę w drzwiach i widzę Xandra z tymi swoimi dwoma kubkami. Serce podchodzi mi do gardła. Nie, nie i nie. To się nie dzieje naprawdę. On ma dziewczynę. Gdybym wiedziała... Jego uśmiech podrywa mi serce do galopu. Gdyby nie tylko ono czuło, że coś nas łączy, mogłabym otworzyć teraz drzwi i zmierzyć się z rozczarowaniem mamy.

– Kto przyszedł?

Kiepska pora na coś takiego. Z mamą wreszcie zaczęło mi się znowu układać. Kręcę przecząco głową, ale Xander, zamiast odejść, podaje mi kubek z uśmiechem mówiąc: „Nie odejdę, więc lepiej mnie wpuść”.

Mrużę oczy i też się lekko uśmiecham. No, skoro tak chce to rozegrać. Zagrajmy.

– To chyba wnuk pani Dalton, ten, co przyszedł wtedy po lalkę dla niej. Powiem mu, że otwieramy dziś o dziewiątej i żeby przyszedł później.

– Ależ, kochanie, pani Dalton to nasza najlepsza klientka, może więc go wpuścisz i dowiemy się, czego potrzebuje.

I co jeszcze? Cholera.

Niespiesznie otwieram drzwi.

– Dzień dobry – mówię, zaraz potem. Z wiatrem do sklepu wkrada się znajomy zapach, źle służący mojemu już i tak rozszalałemu sercu. Głęboko oddycham. – Jeszcze nie otwieramy. Czy babcia czegoś potrzebuje?

Upija łyk z kubka, a potem mi go podaje. Kulę się w sobie. Sam ten gest sprawi, że mama uzna go za najantypatyczniejszego bogacza świata, który życzy sobie, bym trzymała jego picie, podczas gdy on będzie robił zakupy.

– Chciałbym się zobaczyć z twoją mamą – odpowiada na tyle głośno, by to usłyszała.

– Słusznie, mama wie o wiele więcej ode mnie na temat lalek. – Odwracam się do mamy. – Mamo, on... Hm... Przepraszam, jak masz na imię? Wellington czy jakoś tak?

Między brwiami pojawia mu się zmarszczka świadcząca o dezorientowaniu, ale widzę też, że uważa to wszystko za zabawne.

– Nie, to było jakieś inne imię. Hm...

– Xander.

– Właśnie. Wiedziałam, że jakoś tak dziwacznie.

– Wybacz mojej córce – wtrąca mama – ona uwielbia ironię. Po prostu sobie żartuje.

– Kiedy Xander był u nas ostatnio, interesowały go śpiące bobaski. Czy nie mówiłeś, że kiedy na nie patrzysz, robi ci się ciepło na sercu?

– Nie przypominam sobie, żebym coś takiego mówił, ale to do mnie pasuje. Wybucham śmiechem. Zaraz jednak zagryzam wargę, żeby się powstrzymać.

– Może pokażesz mu nasze zbiory, mamo?

Mama patrzy na mnie z ukosa, wyraźnie dezorientowana. Zaraz zawoła mnie na bok. Na pewno wyczuła, że znam Xandra. Muszę się stąd ewakuować.

Potrząsam kubkiem gorącej czekolady, udając, że jest pusty.

– Na zewnątrz jest śmietnik. Wyrzucę go za ciebie. – Odwracam się do mamy. – Spóźnię się do szkoły. Zobaczymy się po lekcjach.

– Wspaniałego dnia, kochanie.

Wychodzę, posyłając Xandrowi minę typu wielkooka niewinność. Od sklepu ciągnie się za mną smutek i nie potrafię określić, czy to dlatego, że

znowu okłamałam mamę, czy przez to, że tak naprawdę chciałabym, żeby mama poznała Xandra. Żeby nie tylko poznała go, ale i polubiła.

\* \* \*

Jestem już kilka kroków od szkoły, gdy ktoś łapie mnie od tyłu za rękę i zatrzymuje.

– Drugiego takiego bachora nie ma na świecie. Wiesz o tym, prawda? – mówi mi do ucha Xander. Puszczą mnie, a ja odwracam się uśmiechnięta.

– Znajdzie się, stoi przede mną. Powiedziałam ci, że nie chcę cię jeszcze przedstawiać mojej mamie. Ale uznałeś, że i tak do tego doprowadzisz.

– Tak właśnie uznałem. Chciałem ci pokazać, że wszystkie mamy mnie lubią. Twoja też nie jest wyjątkiem: ona mnie uwielbia.

Serce mi zabiło.

– Serio?

– Nie wiedziałem, że udowodnienie tego będzie mnie kosztowało sto pięćdziesiąt dolarów, ale jest zachwycona.

Aha. Oczywiście, że go uwielbia. Przecież to klient.

– Kupiłeś lalkę? – Nie ma w ręce torby, więc łapię go za klapy rozpiętej kurtki i zaglądam pod poły.

– Nie mam jej przy sobie, kobieto. Zostawiłem w samochodzie.

– Którą kupiłeś?

– Chyba nie przypuszczasz, że pamiętam.

– Wiem, że pamiętasz.

– Daphne.

– Kupiłeś Bekę?

– Tak. Czuję się tam odrobinę sfrustrowany, a ten rozwrzeszczany dzieciak doskonale oddawał mój nastrój. Za rok dam ją babci na urodziny. – Spuszcza wzrok. – Myślałaś, że upchnąłem lalkę pod kurtką?



Uświadamiam sobie, że wciąż jeszcze trzymam go mocno za kłapy.

– Jeśli mieści się tam twoje ego, wszystko jest możliwe. – Już mam go puścić, ale przykrywa mi ręce swoimi, więżąc je pomiędzy swoją klatką piersiową a ciepłem dłoni.

Wpatruję się teraz w rozpięty kołnierzyk jego markowej koszuli, usiłując udawać, że na mnie nie patrzy. Koleżanki z klasy mijają mnie, spiesząc na lekcje, i wyczuwam, że mi się przyglądają.

– Miało cię nie być w mieście.

Nieznacznie wzrusza ramionami.

– Wróciłem.

– Myślałam, że przed sobotą się nie zobaczymy. – Bardziej przypominało to westchnienie niż głos.

– Nie mogłem tyle czekać.

Tętni mi w uszach.

– A w ogóle jak skończyła się tamta sprawa?

– Jaka? – pyta cicho. A może tylko słabo go słyszę, bo serce za bardzo mi wali.

– Ten hotelowy kryzys dziesięciolecia. Znalazłeś koszulę dla klienta?

– Tak. Wystarczyła jedna przejażdżka do L.A.

Zgadza się. To w Los Angeles widział się z Sadie Newel. Mój dobry nastrój momentalnie pryska.

– To wszystko?

Kiwa głową, a gdy już mam cofnąć ręce, pyta:

– Wybierzesz się za mną na bal dobroczynny?

– Słucham?

– Za dwa tygodnie. Będą tańce, pogaduszki, dojenie ludzi z kasy. Na działalność filantropijną mojej mamy.

– Kolejny dzień kariery?

– Nie.

Patrzę mu w oczy. Nie powinien na coś takiego zaprosić swojej dziewczyny?

– Mam plany na ten wieczór.

– Co będziesz robiła?

– Wykręcała się od balu dobroczynnego – odpowiadam z uśmiechem. – Lepiej już pójdę. Naprawdę się spóźnię. – Czemu moje stopy ani drgną?

– Cześć, Caymen. – Uwalnia moje ręce. Opadają na boki, a potem, ku swemu zaskoczeniu, przytulam się do niego. Rewanżuje się tym samym, a ja nie odsuwam się od niego tak szybko, jak powinnam. Czemu nie mogę po prostu oddalić się od Xandra Spence’a i nawet się nie obejrzeć? Za moimi plecami ponagla mnie dzwonek.

– Muszę iść. – Odpycham się od niego i odwracam.

– Caymen – mówi, zatrzymując mnie.

Znów na niego patrzę.

– Tak?

– Pamiętasz tego pracownika, który nie wiedział, jak się prasuje?

– Tak.

– Nie został zwolniony. Pamiętałem, że cię to gryzło, więc ja... Nie został zwolniony.

Czemu przez tę informację chce mi się płakać?

– Świetnie. Może powinien wziąć udział w moim kolejnym dniu kariery, gdy będziemy się uczyć, jak prawidłowo prasować wszystkie twoje T-shirty.

– Wyślę mu zaproszenie.

\* \* \*

Tego samego dnia po południu, gdy siedzę za kasą i odrabiam lekcje, mama, wycierając lady, parska nagle śmiechem.

– Co takiego? – pytam.

– Chodzi o wnuka pani Dalton.

– O Xandra?

– Tak. O Xandra. Zabawny był dzisiaj.

– Naprawdę tak uważasz? – pytam z nadzieją. Może naprawdę zrobił na mamie dobre wrażenie. Może nie będzie jej przeszkadzało, że się spotykamy.

– Nie do wiary, że chciał, żebyś wyrzuciła jego śmieci. A potem, jak już wyszłaś, opowiadał, że bardzo mu się podoba twoje imię i że w zeszłym roku był na Kajmanach. Pytał, jak często tam bywam. Jakby wszyscy na tym świecie jeździli, gdzie dusza zapragnie i kiedy im się żywnie podoba.

Zazwyczaj to ja nabijam się z bogaczy, a ona mnie poucza, żebym uważała na słowa. Od lat mnie to wkurza, bo wiem, że czuje to, co ja. A teraz to ona robi sobie żarty, i to z Xandra? W gardle rośnie mi gula i nie wiem, czy dam radę coś powiedzieć. Mimo to próbuję.

– Wydawał się całkiem miły.

Wzrusza ramionami. W środku cała aż się trzęsę.

– Spotykasz się dzisiaj z Masonem?

Raptowna zmiana tematu odbiera mi mowę.

– Naprawdę podobał mi się wydzwięk jego tatuażu. Ogólnie nie przepadam za tatuażami, są zbyt trwałe, ale spodobało mi się jego przesłanie.

– Akceptacja? – pytam, czekając, aż zauważy, jak ironicznie to brzmi w kontekście tego, co przed chwilą mówiła.

– Tak, to piękne przesłanie. Na pewno spotyka wielu ludzi, którzy nie akceptują go za sam wygląd. Jestem z ciebie bardzo dumna, że umiałaś zobaczyć w nim coś więcej.

– Więcej niż co, mam? Niż kolor jego skóry?

– Słucham? Nie, to nie ma nic wspólnego z kolorem skóry. Rany, Caymen, myślisz, że właśnie o tym mówię?

– Nie wiem i dlatego próbuję to odkryć. – Dobrze wiem, o co jej chodzi: o kolczyk w wardze, tatuaż i tik, ale jestem za bardzo zirytowana, żeby odpuścić. Naprawdę nie dostrzega hipokryzji w tym, co mówi? – Idę z lekcjami na górę.

– Okej.

Prawie przy drzwiach to do mnie dociera – ona podejrzewa, że coś jest pomiędzy mną a Xandrem. Dlatego powiedziała to, co powiedziała. Dlatego ośmieszyła Xandra i dowartościowała Masona. To jej subtelny sposób na wskazanie mi drogi, którą mam pójść. Na pewno o to chodzi. Mam ochotę zawrócić i spytać ją, czy mam rację. Ale po co, skoro Xander ma już dziewczynę? Na górze, idąc do pokoju, mijam kantorek i widzę kolejną różową kopertę z rachunkiem. Do irytacji dołącza niepokój. Nie jestem pewna, które z tych uczuć jest gorsze.

## Rozdział 25

**P**rzeoglądam wraz ze Skye ciuchy w sklepie Armii Zbawienia, starając się za wiele nie myśleć.

– Chyba nie rozumiem, co się właściwie stało – wzdycha Skye.

– Co tu rozumieć? On ma dziewczynę. To na pewniaka kończy sprawę. – Od kilku dni go nie widziałam, a z dala od niego o wielu rzeczach myśli mi się łatwiej.

– Ale sposób, w jaki na ciebie patrzy, to po prostu... – Milknie, bo może dotarło do niej, że wcale mi nie pomaga. – Przepraszam. Jedziemy dalej. – Podnosi jakąś bluzkę i pyta mnie ruchem brwi.

– Nie twój kolor.

Odkłada ją.

– A skoro mowa o jechaniu dalej, co powiesz o Tiku? Na maksa mu się podobasz.

– Masonowi podoba się każda, którą akurat ma przed oczami.

– Okej, może i przypomina stałością owady, ale myślę, że mógłby się ustatkować. – Pokazuje inną bluzkę, a gdy kiwam głową, dodaje ją do tych już przewieszonych przez rękę. – To naprawdę niesamowity koleś, jeśli go lepiej poznać. Grają jutro w Plaży. To dla nich wielka sprawa. Powinnaś pójść.

Powinnam. Mason rzeczywiście do mnie pasuje. Moja mama go lubi, moja najlepsza przyjaciółka też, wiem również, że i ja bym go polubiła, gdyby na drodze nie stał mu ktoś inny.

Moja dłoń zastyga przy czarnej sukience. Tej, którą odkryłam, gdy byliśmy tu z Xandrem. Dziwi mnie, że jeszcze tu wisi. Jest niesamowita. Zdejmuję ją i przesuвам dłonią po ręcznie naszytych koralikach.

– Ale cudo – wzdycha Skye.

Odwieszam sukienkę na stelaż i przechodzę do wiszącego za nią ciucha, ohydneho kombinezonu z lycry.

– Mowy nie ma – mówi Skye, stając przy mnie i uwalniając z wieszaka tamtą sukienkę. – Chcesz ją mieć.

– Nie.

– Tak.

– Dlaczego? Gdzie bym w niej chodziła?

– Źle na to patrzysz. Jak się znajduje coś takiego, to się kupuje. To tej klasy sukienka, że okazje planuje się pod nią.

Zagryzam wargę.

– Nie mam czterdziestu dolarów.

– Ja mam. Kupię ci ją. To będzie prezent na pocieszenie, że wyrolował cię pewien dziany koleś.

Nawet się śmieję.

– Oddam ci.

\* \* \*

Skye miała rację: Plaża (klub, którego nazwa jest zdecydowanie zbyt dosłowna) to znacznie większa scena i zdumiewa mnie, jaki tłum przyszedł posłuchać Zręczliwych Ropuch. Za obszerną estradą przelewają się fale, a słony wiatr jeszcze dodaje występowi klimatu. Koncert jest świetny, ale ja i tak już nastawiam się na wczesne wyjście. Mało prawdopodobne, żebyśmy po występie mogły pogadać z kapelą, zbyt wielu ludzi będzie zabiegać o uwagę chłopaków.

Skye porobiła okropne koszulki z rozplaszczoną ropuchą i – trochę wbrew sobie – przysłałam w jednej z nich.

– Jeszcze dwie piosenki i muszę spadać – wrzeszczę do Skye, gdy Mason roztacza uroki swego miodowego głosu.

– Wiedziałam, że spróbujesz się urwać, więc zaplanowałam dla nas coś po koncercie.

– Zaplanowałaś? O czym ty mówisz?

Wskazuje głową scenę.

– Chłopaki chcą gdzieś wyskoczyć.

Patrzę na Masona, a on spotyka się ze mną wzrokiem. Od jakichś dwóch wersów śpiewa dla mnie i wiem, jak wiele dziewcząt po czymś takim nie dałoby mu spokoju. Moje serce gubi rytm.

– Okej. Zostanę.

– Pewnie, że tak. – Skye chichocze.

Gdy cichnie ostatnia piosenka, spodziewam się, że Mason na trochę zniknie za sceną, tak jak na poprzednim ich koncercie, na którym byłam. Nie robi tego. Odrzuca mikrofon, zeskakuje ze sceny i przebija się przez gąszcz wyciągniętych rąk, prosto do mnie.

Kiedy staję obok, mam już serce w gardle.

– Cześć.

To jedno słowo wypowiedziane zostało z uczuciem i taką chrypką, że z miejsca rozumiem, czemu tak dobry z niego frontman.

– Cześć.

Chwyta moją dłoń i ściska.

– Nie idź.

– Okej.

Potem sam to robi. Kieruje się z powrotem pod scenę, prześlizguje się za nią przez rząd masywnych gości i znika mi z oczu. Przez całą tę drogę

obserwuję go, a potem otrząsam się z transu.

– Mówiłam, że za tobą szaleje.

Dochodzę do siebie i widzę, że ta jego akcja zwróciła uwagę mnóstwa ludzi, którzy teraz gapią się na mnie.

– Muszę się napić – mówię.

– Mnie też kupisz? – pyta Skye, podając mi piątaka.

Brnę boso przez piach, zastanawiając się, czemu nie zostawiłam butów w samochodzie, zamiast zdawać je w szatni. Wiekę będę musiała czekać na ich odebranie. Koleś przy barze wygląda trochę znajomo. Do tego patrzy na mnie tak, jakby też mnie poznawał. Mimo to nie mogę go nigdzie umiejscowić, choć przeczesuję w głowie całą swoją szkołę. W jego mózgu też musiał zachodzić podobny proces, bo po jego oczach widać, że w końcu go olśniło. Ma nade mną przewagę, bo ja nadal go nie kojarzę.

– Przyjaciółeczka Xandra, zgadza się? – Od tych słów aż jedzie arogancją.

Kiedy to mówi, uświadamiam sobie, że to Robert z restauracji. Ten, którego podejrzewałam o nazwanie mnie znajdą. Dochodzę do wniosku, że Xander próbował go wtedy kryć.

– Zgadza się. Cześć.

Opieram się o bar i zamawiam butelkę wody oraz colę.

Kiedy barman odwraca się, żeby zrealizować moje zamówienie, Robert pyta:

– Xander cię tu dziś wprowadził?

Mrużę oczy. Skoro Xandra tu nie ma, nie muszę się silić na uprzejmość.

– Nie. Kapela to znajomi. A ciebie kto wpuścił?

Śmieje się i mierzy mnie wzrokiem.

– Rozumiem to zauroczenie. Masz wielkie... oczy. Kiedy Xandrowi znudzi się zadawanie z tobą, powinniśmy się bliżej poznać.

Nigdy nie przypuszczałam, że stać mnie na taki odruch, jak celowe oblanie



kogoś colą, ale widocznie tak, bo moja ręka reaguje automatycznie. Tyle że on też ma swoje odruchy, zrodzone najprawdopodobniej z tego, że nie raz w życiu natrafił na takich, którzy chcieli go czymś oblać. Jego dłoń śmiga i łapie mnie za nadgarstek.

– Kiepski pomysł – mówi, gdy kilka kropli coli bryzga na bok. – Ta koszula kosztuje więcej, niż wynosi twój miesięczny czynsz.

– To fatalnie, że żeby sobie na nią pozwolić, musiałeś sprzedać duszę.

– Wszystko w porządku? – Mason podchodzi do mnie z tyłu, obejmując w pasie.

Poza tym, że zamierzam kogoś zamordować, to tak.

– Chodźmy stąd.

– Puszczalska! – woła za mną Robert.

Z całych sił powstrzymuję się, żeby nie rzucić w niego szklanką, butelką i tym wszystkim.

– Kto to był? – pyta Mason, gdy już się oddalamy.

– Gość niewarty tego, żeby o nim myśleć.

Sama jednak nadal to robię. To przyjaciel Xandra. Czy tak właśnie zachowuje się Xander, kiedy nie ma mnie w pobliżu? Coś się we mnie gotuje.

– Caymen? – Mason odbiera mi butelkę i chwytając mnie za rękę. – Mam nastukać temu typowi?

Mocno go trzymam.

– Nie. Nie jest tego wart – mówię znowu. Tyle że tym razem nie chodzi mi już o Roberta. I próbuję określić, czy to stwierdzenie rzeczywiście pasuje.

## Rozdział 26

**N**astępnego wieczoru uznaję, że trzeba skończyć stronę internetową, którą mozolnie tworzę od kilku tygodni. Otwieram w komputerze folder ze zdjęciami. Na moje nieszczęście razem z lalkami otwierają się też wszystkie fotki Xandra z hotelowego pokoju. Łącznie z tą, na której uśmiecha się tak, że cała mięknę.

Przeglądam je, dłużej zatrzymując się przy tych, gdzie doprowadziłam go do śmiechu. Na gazetowym zdjęciu z Sadie Newel nie było u niego cienia radości. Pewnie nawet nie umiałaby go do tego skłonić. Wydaję jęk frustracji. Kogo to obchodzi, Caymen? On jest z nią. Próbuję usunąć te fotki z nim, ale nie mogę się na to zdobyć. Zamiast tego gromadzę wszystkie zdjęcia lalek w jednym folderze, tak żebym zaglądając do nich, nie musiała już oglądać bursztynowych oczu Xandra.

Pod lalkami umieszczam ich imiona i ceny.

– To nowa strona do składania zamówień? – pyta mama, idąc do kuchni.

– Nie – odpowiadam z uśmiechem. Planowałam ją zaskoczyć, kiedy strona będzie już całkiem gotowa, ale do tego już blisko, a ja muszę nadrobić to, jak ją ostatnio traktowałam. Przełączam się ze zdjęć na projekt strony. – Pracowałam nad czymś dla sklepu.

Staje za mną. Na monitorze widać nagłówek: „Lalki i Dużo Więcej”. Zastanawiałam się nad usunięciem tego „dużo więcej”, ale chyba już się przyjęło. Może zresztą kiedy strona wystartuje, będziemy mogły pozwolić sobie na to „więcej”. Zjeżdżam nieco niżej, tam, gdzie widnieje imię mamy

i jej dane kontaktowe.

– Chciałabym tu wstawić twoje zdjęcie. Mogłybyśmy zrobić je przed sklepem lub gdzieś obok wystawy.

– Co to takiego? – pyta.

– Strona internetowa, którą projektuję dla sklepu. – Biorę się pod boki i specjalnie skrzekliwym głosem oznajmiam: – Niespodzianka.

– Strona internetowa. – Powtórzyła to cicho i bez emocji.

– Będzie świetna, mamó. Rozkręci interes, zwiększy sprzedaż. To kolejny krok na drodze rozwoju.

– Nie. – Na tym kończy, a potem się odwraca i obchodząc blat, idzie do kuchni.

Nic nie rozumiem.

– Nie?

Wyjmuje z kredensu szklankę i napełnia ją wodą z kranu.

– Nie chcę strony internetowej.

Wprawdzie nie mamy kablówki, komórek ani nawet nowszego komputera, ale to nie dlatego, że mama doszukuje się w osiągnięciach techniki jakiegoś diabelstwa. Jest tak, bo nie możemy sobie na nie pozwolić.

– Wyjdzie tanio, mamó. Mniej niż dwadzieścia dolarów rocznie za domenę, a ja sama ją poprowadzę. Ty też się nauczysz, jak już z nią ruszymy. To naprawdę łatwe i...

– Caymen, powiedziałam nie. Nie chcę jej.

– Dlaczego?

– Bo tak powiedziałam.

– To nie jest odpowiedź, mamó, to ucięcie tematu.

– I dobrze, bo właśnie ucięłam ten temat. – Stawia szklankę na blacie tak mocno, że dziwię się, iż nie pęka. Potem wymaszerowuje z kuchni do swojego pokoju.

Zamykam strony, które otworzyłam w komputerze, starając się zachować spokój. Tak naprawdę mam chęć zrzucić cały ten komputer na podłogę. Nie robię tego. Gaszę monitor, powoli schodzę na dół i opuszczam sklep. Potem biegnę. Zatrzymuję się dopiero, gdy drętwieją mi policzki, moje płuca są bliskie pęknięcia i mam obolałe nogi.

\* \* \*

Wracam do sklepu spocona, czując, że muszę o tym wszystkim z kimś pogadać. Łapię za telefon i wybieram numer Skye. Od razu trafiam na pocztę głosową. Palce same wybijają na ścianie niecierpliwy rytm i rezygnuję z zostawienia wiadomości.

Powinnam zadzwonić do Masona. Ale tego nie robię.

Wyciągam spod lady skoroszyt i kładę na naszym nadwymiarowym kalendarzu. Szukam numeru telefonu pani Dalton.

Słuchając sygnału, gotowa jestem stchórzyć.

– Słucham – odzywa się pani Dalton.

– Dzień dobry... – *Przepraszam, pomyłka.* Brakuje mi słów, bo uświadamiam sobie, że jest po dziewiątej. Może już się położyła? – *Przepraszam, że dzwonię tak późno. Mówi Caymen...* Ze sklepu z lalkami.

– Wcale nie jest późno i znam tylko jedną Caymen – odpowiada. – Co u ciebie?

– Wszystko w porządku.

– Czyżbym coś zamówiła? Nie przypominam sobie, ale to nie oznacza, że nie.

– Pani nigdy nie zapomina o zamówieniach.

– To prawda. A więc sprawdzasz, czy nie umarłam? Może wyglądam staro, ale mam dopiero sześćdziesiąt siedem lat.

– Naprawdę? A ja dawałam pani czterdzieści kilka.

– Miło z twojej strony.

Nabieram tchu.

– Miałam nadzieję, że uda mi się dostać od pani numer telefonu. Chociaż chyba sam powinien mi go dać... Nie chciałabym, żeby wyszło na to, że próbuję się tego dowiedzieć za jego plecami czy coś w tym stylu. On sam już nawet do mnie dzwonił. Chyba nie miałby nic przeciwko temu, żebym miała ten numer.

– Kochana, weź głęboki oddech.

– Przepraszam bardzo.

– Chciałabyś więc numer telefonu Alexa? Czarus z niego, nieprawdaż?

– Nie. To znaczy tak. Ale my się tylko przyjaźnimy. – I właśnie teraz potrzebuję przyjaciela.

– Tak to zabrzmiało.

Śmieję się. Pani Dalton potrafi człowieka rozśmieszyć.

– No to poszukajmy go dla ciebie. Mam taki fikuśny telefon, który potrafi spamiętać setki numerów. Ale i tak je zapisuję w moim małym czerwonym notesiku.

Uświadamiam sobie, że z napięcia wstrzymuję oddech.

– Jesteś gotowa? – pyta.

Gotowa to mało powiedziane.

– Tak. – Zapisuję ten numer na kalendarzu. – Ogromnie dziękuję.

– Żaden problem. Przekaż mu, że go pozdrawiam.

Rozłączam się i przez całe wieki wpatruję się w ten numer. Pragnę z nim porozmawiać. Muszę z nim porozmawiać. Ale wszystko we mnie się przeciw temu buntuje. Zaciskam mocno powieki, a zaraz po ich otwarciu czym prędzej wybieram numer, żeby się nie rozmyślić. Czekałam trzy sygnały, mając wrażenie, że każdy z nich oddziela minuta.

Wreszcie Xander odbiera...

## Rozdział 27

Słucham.

Jego znajomy głos momentalnie sprawia, że schodzi ze mnie napięcie. W niczym nie przypomina Roberta. Gdyby był taki sam, zmyłby się zaraz po odkryciu, że mieszkam nad naszym sklepem. Ta myśl dodaje mi otuchy.

– Alex? – Sama nie wiem, czemu wymknął mi się ten „Alex”. Prawdopodobnie dlatego, że skoro pani Dalton tak go właśnie nazwała, to imię zapisałam przy numerze jego telefonu.

– Caymen?

– Tak. Cześć.

– Alex? – dziwi się.

– Sorki. Przejęzyczenie. Rozmawiałam z twoją babcią.

– Nie dziwi mnie to.

Kładę się na podłodze za kasą i czuję się trochę jak Skye, kiedy tak patrzę w sufit. Ta pozycja sprzyja myśleniu. Nic dziwnego, że moja przyjaciółka spędza w niej tyle czasu.

Dłuższą chwilę trwa cisza, potem Xander pyta:

– Potrzebujesz czegoś?

Ciebie.

– Rano potrzebowałam gorącej czekolady, bo ktoś mnie od niej uzależnił, a potem jej pozbawił.

– Czy to subtelny sposób na wyznanie, że się za mną stęskniłaś?

– Stęskniłam się za gorącą czekoladą. A o tobie myślę jako o chłopaku,

który mi ją przynosi. Czasem nawet zapominam, jak masz na imię, i nazywam cię chłopakiem od gorącej czekolady.

Lekko się śmieje, a ja żałuję, że nie widzę jego twarzy, bo chciałabym być świadkiem tego, jak uśmiech rozjaśnia mu oczy.

– A ja stęskniłem się za twoimi docinkami.

– To zrozumiałe. – Mocno tętni mi w skroniach. – Jeszcze ci nie podziękowałam za pożyczenie aparatu.

– Czy to oznacza, że już uporałaś się ze stroną? Jaki ma adres? Marzę, żeby obejrzeć na monitorze te fascynujące lalki. – Po tamtej stronie słychać szelest papieru, zastanawiam się więc, czy nie sięga nad biurkiem lub czymś takim, żeby włączyć komputer.

– Nie. To znaczy, nie ma żadnego adresu. Moja mama jej nie chce.

– Oo. A to czemu?

– Właściwie to nie jestem pewna. Chciałam zrobić jej niespodziankę, pokazać, co przygotowałam, a ona na mnie wsiadła. Totalnie mnie zgasiła, powiedziała, że sobie tego nie życzy. Jakby nie była sobą.

– Co tam wrzuciłaś?

– W tym rzecz. Pokazałam jej tylko nagłówek i nasze dane kontaktowe. Powiedziałam też, że chciałabym wstawić tam jej zdjęcie.

– Nie lubi się fotografować?

Opieram stopy o ścianę, a wolną ręką kreślę coś w powietrzu nad głową.

– Nic podobnego.

– Może więc nie chce, żeby w internecie pojawiła się jej twarz i wasz adres. Wyobrażam sobie, jak mogło ją wystraszyć to, że gromada obcych będzie wiedzieć, gdzie mieszkacie. Nie dałoby się jakoś uniknąć podawania danych personalnych?

Łapię się na tym, że nie oddycham. Poznają to po mroczkach przed oczami. Nabieram tchu. Czy mama boi się, że jacyś obcy odkryją, gdzie mieszkamy, czy

raczej, że zrobi to ktoś konkretny? Mój ojciec?

– Wszystko w porządku?

Coś mruczę, bo głos może mnie zawieść. Czuję ucisk w gardle. Wątpię, czy precyzyjnie się przez nie jakiegokolwiek słowa.

– Na pewno?

Chrząkam.

– Tak. Możliwe, że masz rację. – Biorąc pod uwagę, jak bardzo boli mnie gardło, dziwię się, że mój głos brzmi tak normalnie.

– Często mi się to zdarza.

– Sądzisz, że próbował? – Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że zadałam to pytanie na głos, a jeszcze później, że Xander na nie odpowiedział i teraz sam czeka na moją odpowiedź na coś, co do mnie nie dotarło. – Co takiego?

– Pytałem, kto i czego miałby próbować.

Zmuszam się do tego, żeby sięść prosto, a potem wstać. Leżenie zanadto uwalnia myśli.

– Ci obcy, o których mówiłeś. Sądzisz, że próbowaliby nas odszukać dla jakichś niecznych celów?

– Jakie nieczne cele masz na myśli?

Opieram się o ladę i czarnym długopisem kreślę kółko wokół jego numeru, zapisanego na kalendarzu.

– Wiesz, to, do czego obcy zwykle namawiają ludzi... Jedzenie cukierków i szukanie z nimi zagubionych psów.

– Jakoś tego nie kupuję.

– I nie powinieneś. To są ich sposoby na to, żeby zwabić człowieka do samochodu i gdzieś wywieźć. Cieszę się, że cię na to nie złapią.

– Mówię o twoim dowcipkowaniu. Wiem, że czasem uciekasz się do niego, żeby coś ukryć.



– Przeceniasz mnie. Naprawdę jestem taka płytka, na jaką wyglądam.

– Wątpię. A odpowiedź na twoje pytanie brzmi „tak”. Tak, sądzę, że twój ojciec próbował cię odnaleźć. Jaki ojciec nie chciałby znać swojej córki?

– Taki, który uciekł na samą myśl o mnie. – Sama nie wiem, czemu o tym rozmawiamy. Nie bez powodu unikałam tego tematu. Czuję się tak, jakby ktoś centymetr po centymetrze dźgał mnie igłą, pozostawiając mnie obolałą i bezbronną.

– Gdyby cię znał, na pewno by nie odszedł.

Zamykam oczy. Jaki człowiek zrobiłby coś takiego? Zostawiłby moją mamę w takiej sytuacji? Taki, który oszalał ze strachu. Przerażony tym, co czeka go ze mną. Bo ze mną nie ma przyszłości – mama jest tego dowodem. A on był w sumie dzieciakiem z przyszłością pełną możliwości i pieniędzmi wystarczającymi, by mu je zapewnić. Prawdopodobnie bardzo przypominał Xandra. I dlatego mama, widząc Xandra, nie mogła nie dostrzec widma swojej własnej przeszłości.

– Ty byś odszedł?

– Nigdy w życiu.

Nie potrafię określić, czy poprawiło mi to nastrój, czy popsuło.

– Dlatego, Caymen, skłonny jestem myśleć, że próbował. Tego typu żal do siebie nigdy nie przemija.

Zakładając, że w ogóle żałował.

– Czy tak trudno jest znaleźć konkretną dziewczynę?

– Może twoja mama nie mówiła ci o jego staraniach.

– Mama nie ukrywałaby przede mną czegoś takiego. – Kiedy to mówię, mój wzrok pada akurat na tę kratkę w kalendarzu, w której zaznaczyła „spotkanie przedstawicieli drobnej przedsiębiorczości”. Możliwe, że jednak coś przede mną ukrywa. A jeśli tak, może Xander ma rację. Może zatajała przede mną

więcej spraw. – Co robisz w środę wieczorem?

– Jestem otwarty na propozycje.

– Dzień kariery. Osiemnasta trzydzieści. Spotkamy się u mnie.

– Teraz moja kolej na dzień kariery. Zaplanowałem coś na jutro, zapomniałaś?

– Okej, świetnie. Jutro ty. W środę ja. – Chrząkam. – O ile to nie za wiele. Nie wpędzisz się w kłopoty przez to, że tak często się ze mną widzisz? – Mam ochotę dodać: „Dziewczyny bywają takie zazdrosne”, ale tego nie robię, bo mogłabym wyjść na rozgoryczoną. A to ostatnia rzecz, jakiej pragnę.

– Nie, oczywiście, że nie. Już ci powiedziałem, że moi rodzice cię lubią. Już w to nie wątpię, bo wiem, że nie uważają mnie za jego dziewczynę.

– Jutro lepsze byłoby dla mnie popołudnie niż rano.

– Co powiesz na drugą?

– Pasuje. A więc do jutra.

– Caymen.

– Tak?

– Nie musimy się rozłączać. Jeśli chcesz jeszcze pogadać, mam czas.

Na tę sugestię schodzi ze mnie całe napięcie i już mam otworzyć usta, gdy po jego stronie słyszę głos jakiejś dziewczyny.

– Xander, co tak długo? Rozmawiasz przez telefon?

– Tak, przepraszam, że czekałaś. Zaraz schodzę. Daj mi pięć minut.

– Z kim rozmawiasz? – pyta tamta.

– Z przyjaciółką. – Trzaskają drzwi, a jego głos w słuchawce przybiera na sile. – Przepraszam za to.

– Nic się nie stało. Wygląda na to, że musisz kończyć. To jutro, o drugiej. Cześć. – Rozłączam się, żeby nie zdążył mnie powstrzymać, cała dumna, że zabrzmiało to tak naturalnie, bo czuję się, jakby ktoś dusił mnie za gardło.

Żadnych telefonów więcej. Wcale nie pomagają.

## Rozdział 28

Czekam na chodniku. Po drugiej każda minuta ciągnie się jak wieczność. Przychodzi mi do głowy, że Xander mógł się rozmyślić. Możliwe, że Sadie Newel zakazała mu rozmawiać wieczorami z koleżankami i zabierać je na „dni kariery”.

O drugiej siedem jego samochód wyjeżdża zza rogu. Zatrzymuje go i wysiada.

– Cześć – mówi.

– Cześć. – Moje ciało reaguje na niego tak jak zawsze: serce mi przyspiesza, po ramionach i karku przechodzą dreszcze.

Patrzy nad moim ramieniem na sklep, a potem znów na mnie.

– Gotowa?

Potwierdzam kiwnięciem głową.

Bierze mnie pod łokieć.

– Wszystko dobrze?

Patrzę mu w oczy i mam ochotę odpowiedzieć: „Nie, nadal czuję się podle. Mama coś przede mną ukrywa, za miesiąc prawdopodobnie będę już bezdomna. Mój tata zwiął, a my oboje udajemy, że twoja dziewczyna nie istnieje”.

Ale mówię tylko:

– Pewnie, czemu miałoby być inaczej?

Chyba mi nie wierzy, bo bierze mnie w ramiona. Zamykam oczy i chłonę jego zapach.

– Już jestem – szepcze mi we włosy.

„Na jak długo?”, chciałabym zapytać. Zapewniam jednak: „Dobry z ciebie przyjaciel”, a potem wyplątuję się z jego ramion.

Jedziemy w ciszy, dopóki Xander nie zajeżdża na lotnisko.

– Hm... – Przyglądam się odlatującemu samolotowi, a potem przenoszę zaszokowane spojrzenie na Xandra. – Lecimy dokądś?

– Boisz się latania?

– Nie sędzę.

– Nigdy jeszcze nie leciałaś samolotem?

– Nie. – I może jednak się boję, bo zaczynają mi się pocić dłonie.

– Serio? – Przypatruje mi się przez chwilę, jakby próbował rozgryźć jakąś zagadkę.

– Rozumiesz, że powiedziałam mamie, że wrócę dzisiaj, prawda?

– Tak. Wrócisz.

– To okej.

Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby Xander po naszym wejściu na pokład prywatnego odrzutowca zajął miejsce w kokpicie i odpalił silnik. Na szczęście jednak tego nie zrobił. Czekał na nas pilot.

Siadamy na miejscach naprzeciwko siebie. Z szafki pod swoim siedzeniem Xander wyciąga butelkę wody, bierze łyka, a potem mi ją podaje. Dla siebie wyjmuję kolejną.

– Nadpite napoje? Przyjemny ten lot.

Nagrodą za to jest uśmiech. Nie trwa jednak długo, zastanawiam się więc, co jeszcze powiedzieć, żeby go znów wywołać. To dobre urozmaicenie, a stęskniłam się za jego uśmiechem. Powinnam mu to powiedzieć. Ale tego nie robię.

Jego uwaga skupiona jest na wyświetlaczu komórki, zaczyna nawet wysyłać SMS-a, pisać e-mail albo robić coś w tym stylu. Zsuwam buty i podwijam

jedną nogę pod siebie, starając się poczuć komfortowo i zapomnieć, że siedzę na pokładzie samolotu, który zaraz wzbije się w przestworza.

Przesuwa się trochę na bok i poklepuje siedzenie tuż obok siebie.

– Tutaj możesz oprzeć nogi.

– Nie masz nogofobii?

– A istnieje coś takiego?

– Pewnie, jest taka dolegliwość. Istnieją grupy wsparcia, terapeuci, jest tego od groma. – Kładę stopy na siedzeniu obok niego, ocierając się kostką o jego udo. – Oddech nie robi ci się płytszy? Twoje serce nie bije raptowniej?

Wciąż zajmując się telefonem, kładzie mi jedną rękę na stopie. Spotyka się ze mną rozbawionym wzrokiem.

– Takie są objawy? Może rzeczywiście cierpię na to schorzenie.

Czemu to powiedział? Dopóki go nie znałam, myślałam, że umiem poznać, gdy ktoś za mną flirtuje. On jednak mówi tego rodzaju rzeczy tak subtelnie, tak gładko, że ciężko stwierdzić, czy robi to z rozmysłem, czy tylko wtóruje moim żartom.

Może powinnam zapytać go prosto z mostu: „Co na mój temat myśli sobie twoja dziewczyna?”. To byłoby uczciwe postawienie sprawy.

– Xander?

– Tak?

– Co...

Opuszcza telefon i poświęca mi całą uwagę.

– Co robisz z tym telefonem? Grasz w coś? – Ale ze mnie cykor. Gdybym raz postawiła sprawę jasno, zaczęłby mnie wreszcie traktować jak ktoś, kto ma już dziewczynę.

Tyle że tego nie chcę. W tym cały problem.

Xander się śmieje.

– Nie. Przeglądam pewne propozycje związane ze stroną internetową, póki

jest zasięg. Ale przepraszam. Już kończę. Paskudnie wyszło.

– Nie. Nic się nie stało. – Za oknem słyhać silniki, a ja cała się spinam.

Całkiem odkłada telefon i chwyta mnie za nogę w kostce.

– Najgorszy jest start. Gdy znajdziemy się w powietrzu, będzie po bólu.

– A lądowanie?

– Okej. Start jest prawie najgorszy.

Światła w kabinie przygasają, a samolot szarpie, kierując się na pas startowy. Kciuk Xandra kreśli jakieś wzory wokół mojej kostki. Powinnam się denerwować lotem, ale ten jego dotyk rozwibrował wszystkie zakończenia nerwowe w mojej nodze. Gdy maszyna nabiera prędkości, patrzę na mijane światła, a gdy przeciążenie podczas startu wpycha mnie w fotel, zamykam oczy. Rozluźniam się dopiero w powietrzu, gdy wszystko się wyrównuje.

Xander puszcza moją nogę.

– Sama widzisz. Łatwizna.

– Teraz tylko trzeba wylądować.

– Właśnie.

Rozglądam się.

– W samolotach są łazienki, prawda? Nie tylko na filmach?

Wskazuje coś za mną. Kiedy się podnoszę i przechodzę koło niego, samolot wpada w turbulencję i to zbija mnie z nóg. Łapię się ramion Xandra.

– Dobrze im płacę za to, żeby robili coś takiego w odpowiedniej chwili – mówi. To jego niby-flirtowanie jest naprawdę irytujące.

Tylko centymetry dzielą mnie od wylądowania mu na kolanach. Wystarczyłoby odrobinę ugiąć nogi i już bym na nich usiadła. Naprawdę mnie kusi, żeby tak zrobić. Xander podtrzymuje mnie w talii ręką, ale nie popycha, żeby ułatwić mi podniesienie się. Po prostu trzyma mnie w pasie i patrzy mi w oczy.

Gardło mam więc teraz ściśnięte z innego powodu niż przedtem. A samolot

znów szarpie i może to tylko moja wyobraźnia lub kwestia słabości nóg, ale byłabym w stanie przysiąc, że Xander nie poprzestał na obejmowaniu mojej talii i mnie do siebie przyciągnął. Bo oto siedzę mu na kolanach, z rękoma nadal na jego ramionach.

– Cześć – mówi.

– Przepraszam.

– Za co?

– Za to, że taki straszny z ciebie flirciarz.

– To ty wylądowałaś mi na kolanach. – Śmieje się. – Ja sobie siedziałem, myśląc o swoich sprawach.

– A więc to wina samolotu?

– Oczywiście.

Próbuję wstać, ale on znów przyciąga mnie do siebie.

– Ale tym samolotem dzisiaj rzuca – mówi.

– Bardzo śmieszne. – Tyle tylko, że to wcale nie jest śmieszne. Budzi się we mnie złość. Choć ma dziewczynę, to paskudnie ze mną flirtuje. Nie życzę sobie być jego małym, nieprzyzwoitym sekrecikiem. Jeśli tak mnie widzi, niech sobie poszuka kogoś innego. – Daj mi wstać.

Musiał usłyszeć poważny ton w moim głosie, bo tym razem pomaga mi się podnieść. Zamykam się w łazience na dostatecznie długo, by dojść do siebie. Po dzisiejszym dniu skończę z Xandrem Spence'em. Mówię to sobie w myślach, a potem na głos, do lustra.

– Kończę z Xandrem Spence'em. – Brzmi to tak przekonująco, że prawie sobie wierzę.

Wracam na swoje miejsce.

– Nie zimno ci? Nie za gorąco? A może jesteś głodna? – pyta.

– Nie. Nic mi nie trzeba.

– Gdybyś chciała się zdrzemnąć czy coś, to siedzenie się rozkłada.



– To będzie długi lot?

– Nie. Około godziny.

Nie potrafię określić, jak daleko moglibyśmy się przenieść w ciągu godziny. Samochodem nie wyjechalibyśmy za Oakland, ale w powietrzu sprawa wygląda inaczej.

– Jakież wnioski? – pyta.

– Słucham?

– Czy bazując na swoich nadzwyczajnych zdolnościach obserwacyjnych, doszłaś do tego, dokąd lecimy?

– Nie. – Nie podoba mi się, że zna mnie na tyle dobrze, by wiedzieć, że właśnie się nad tym zastanawiałam. Rozkładam siedzenie i przez resztę lotu udaję, że śpię. Determinacja, jaką w sobie odkryłam, zmusza mnie do zniesienia lądowania bez jego pomocy.

\* \* \*

– To mój brat – mówi, wskazując faceta, który macha do nas, gdy schodzimy z samolotu na asfalt. Zawracam, próbując wejść z powrotem na pokład. – Daj spokój. – Chwyta mnie za rękę. – Polubisz go.

– Cześć, Lucas. – Następnie padają sobie w ramiona i krótko klepią po plecach. – Poznaj Caymen Meyers.

Lucas odwraca się i wita za mną, ma szczery uśmiech i to również mnie niepokoi. Jestem tylko koleżanką, ale czemu jego rodzina zachowuje się tak, jakby to było coś normalnego? Jakby ich nie ruszało, że Xander znalazł sobie na mieście jakąś dziewczynę, z którą spędza teraz czas, a nawet obwozi ją rodzinnym odrzutowcem? Coś tu nie pasuje.

Lucas i Xander zaczynają tak nadawać, jakby nie widzieli się od miesiący. Może zresztą to prawda.

– To tata przekonał cię, żebyś przyleciał do domu na bal dobroczynny? –

pyta Xander, kiedy idziemy do zaparkowanego na ulicy czarnego SUV-a.

Lucas wzdycha. W ogóle nie przypomina Xandra. Jest blondynem, a nie szatynem jak Xander. Cerę ma jasną, niepodobną do oliwkowej Xandra. Ale obaj roztaczają wokół siebie taką samą aurę.

– Tak. Myślisz, że mógłbym wynająć sobowtóra?

– Wiesz, że ten bal to teraz ukochane dziecko mamy. Gdy powiedziałem raz przy śniadaniu, że niezbyt się do niego palę, prawie się rozpląkała. Teraz udaję, że w życiu nie spotkało mnie nic bardziej ekscytującego. To działa.

Xander otwiera drzwi po przeciwnej stronie kierowcy i chyba oczekuje, że usiądę z przodu. Uśmiecham się.

– Lepiej siądź obok brata. – Otwieram te z tyłu i wsiadam.

– Mama się po prostu stresuje – stwierdza Lucas, gdy już wszyscy siedzimy.

– Wiem.

– A Scarlett się wybiera? Bo nie wiem, czy w tym roku też uda mi się ją znieść.

– Nie wiem. Była u nas wczoraj wieczorem, ale nic nie mówiła. Mama na pewno próbowała ją przekonać. Rodzice jakiś czas rozmawiali z nią beze mnie. – Xander zerka z uśmiechem w moją stronę, a ja pojmuję, że dziewczyną, która zeszłego wieczoru przerwała nam rozmowę, była właśnie Scarlett, a nie Sadie. – Ale i tak jestem pewien, że opłotkuje wszystkich na tym balu. Może robić za naszą osobistą skarbnicę paskudnych informacji. Bez niej życie nie byłoby takie samo.

Lucas ogląda się na mnie przez ramię.

– Nie powinniśmy tak tego przedstawiać, bo wystraszymy biedną Caymen. Nie bój nic. Spodoba ci się. Będzie masa upiornych staruszków chcących z tobą tańczyć. Gigantyczna wyżera, wszystko wygląda tak, jakby samo mogło spełznąć z talerza. A zespół muzyczny taki wystrzałowy, że nawet nie potrzebuje wokalisty.

– Też gram w tym zespole. Cieszę się, że ci się podoba.

– Nie. To znaczy tak – jąka się Lucas. – Zespół jest świetny. Wygłupiłem się. Przepraszam.

Xander wybucha śmiechem.

– Ona żartuje, Luke. Nie ma nic wspólnego z zespołem.

Lucas kręci głową i spotyka się ze mną wzrokiem w lusterku wstecznym.

– Powiedziałas to z taką miną, że byłem pewien, iż mówisz poważnie.

– Sarkazm to jej bardzo mocna strona.

Walę dłonią w tył zagłówek Xandra.

– O ile pamiętam, zgodziliśmy się na określenie „wybitnie”.

– Staram się cię nie podpuszczać.

– I to skutkuje?

– Może bal nie będzie taki nudny, jak myślałem. – Lucas się uśmiecha. – Caymen będzie siedziała z nami, prawda?

– Caymen to mądra dziewczyna. Odmawia mi.

– Co? – Lucas wali Xandra w ramię. – Zdarzyło się już kiedyś coś takiego? Trzeba to gdzieś odnotować. – Rozgląda się i w końcu podnosi ze środkowej konsoli swoją komórkę i przysuwa ją do ust jak dyktafon. – Pewna dziewczyna odmówiła Xandrowi. Powiadomić media.

– Skoro tak mówisz – odpowiada Xander.

– A skoro jesteśmy przy tym temacie, to jeszcze jedno. Dwa tygodnie z rzędu? Robi wrażenie, brachu. Ja ostatnio jestem chyba za nudny, żeby mnie zauważyli.

– O czym ty gadasz? – pyta Xander.

– O „Starz”. – Przewraca oczami, wzdychając, bo po Xandrze widać, że nie kojarzy. Gdyby nie to, że doskonale wiem, o czym Lucas mówi, też mogłabym mieć taką minę. – Ten magazyn. Ty. Okładka.

– Poważnie? – Wydaje się bardziej zły niż zaskoczony.

– Tak. Znowu urządzili ci randkę z Sadie.

– Co? – Wskazuje skrzyżowanie, przed którym stoimy na światłach, i pawilon Quickie Mart na przeciwległym rogu. – Zatrzymaj się tam.

Lucas wzrusza ramionami i posłusznie parkuje samochód. Xander niemal nie czeka na to, aż wóz się zatrzyma; wyskakuje i znika w rozjarzonym neonami sklepie.

## Rozdział 29

**K**iedy czekamy w samochodzie, Lucas całkiem się odwraca, kładąc rękę na oparciu.

– Co jest grane?

Serce mi wali. „Sekretna prawda” o dziewczynie wyszła na jaw, zastanawiam się więc, co Xander teraz powie lub zrobi.

– Pewnie się wściekł, że umieścili coś o nim i Sadie.

– Chyba masz rację. Myślałem, że wiedział.

– Ja też.

Chwilę później podskakuję zaskoczona, bo na szybie rozpląszcza się z impetem magazyn „Starz”.

– Czytałaś to?! – krzyczy Xander za oknem. Ledwie go słyszę.

Otwiera drzwi i pakuje się obok mnie, nie czekając, aż się przesunę.

– Czytałaś to czy nie?

Prawie na mnie wlaźł. Odsuwam się, żeby zrobić mu miejsce.

– Lucas, jedź – rzuca, zatrzaskując drzwi. Potem znów wbija we mnie oczy i widzę w nich ogień.

– Wściekasz się, że czytałam ten artykuł? Mason pokazał mi go w zeszłym tygodniu.

– W zeszłym tygodniu! Caymen, czemu nic nie powiedziałaś?

– Co miałabym powiedzieć? „Łał, ale laska z tej twojej dziewczyny”? Aż taka wielkoduszna nie jestem.

Lucas parska śmiechem, ale jedno spojrzenie Xandra zaraz go ucisza.

– O to właśnie chodzi. Ona nie jest moją dziewczyną.  
– Ale ten artykuł... – Wskazuję magazyn, który wciąż ściska w garści.  
– To – pstryka w fotkę Sadie na okładce – stare zdjęcie. – Uważnie mu się przygląda. – Sprzed roku.

– I dzwoniła do ciebie tamtego dnia.

– Dzwoniła? Absolutnie nie.

– Mogło być tak, że odebrałam... Powiedziała, że jeszcze zadzwoni.

Wyciąga komórkę i przewija coś na wyświetlaczu. Potem wydaje z siebie pomruk dający do zrozumienia: „No, rzeczywiście jest”.

Włącza tryb głośnomówiący i w samochodzie rozlega się wiadomość pozostawiona przez Sadie Newel: „Hej, Xander. Gdzie jesteś? Widziałeś »Starz«? Kretyni. Coś planujesz? Chcę, żebyś użył swojej magii, żeby to znikło. Obiecuj mi, że twój ojciec im przywali”.

– Raczej ją to wkurzyło.

Xander wyłącza telefon, potem powoli kieruje wzrok na mnie, podnosząc brew.

– Oo. – Tylko tyle przychodzi mi do głowy.

– Oo?

– Co miałam powiedzieć? Widziałam ten artykuł. Wiedziałam, że w tamten weekend byłeś w Los Angeles. Przepraszam, że uważałam wszystkich dziennikarzy za uczciwych.

– Mogłaś mnie zapytać – mówi, przybliżając się. Patrzy tak intensywnie, że mam ochotę odwrócić wzrok... A może raczej nigdy więcej go nie odwracać.

Serce mi przyspiesza, a ulga, że Xander nie chodzi z Sadie Newel, jest tak ogromna, że mogłabym chwycić go w ramiona. Żart. Muszę obrócić to w żart. I to szybko.

– Może powinieneś dać mi spis wszystkich aktorek, z którymi się spotykałeś, z podziałem na lata. Dzięki temu odróżnię stare zdjęcie od

nowego.

– Mogę ci załatwić tę listę – mówi Lucas.

Żeby na niego spojrzeć, niechętnie odrywam oczy od Xandra.

– Możesz uwzględnić także spadkobierczynie fortun i córki miliarderów?

Właściwie to wszystkie celebrytki.

– To może trochę potrwać. Lista będzie długa.

Wiem, że żartujemy, ale te słowa robią swoje, przypominając mi, że za mało wiem, by zrobić taką listę.

Xander wzdycha i się prostuje.

– Aż taka długa by nie była. – Kładzie dłoń na mojej, leżącej na siedzeniu między nami. Staram się za bardzo nie uśmiechać.

Podjeżdżamy pod budynki z czerwonej cegły, należące do jakiegoś ogromnego kampusu, i nic już nie rozumiem.

– Gdzie my jesteśmy?

– Na Uniwersytecie Nevady w Las Vegas.

– Tu planujesz studiować?

– Nie. Zobaczysz. – To zabawne, jak Xandra ekscytuje to urządzenie mi dni kariery. Może powinien być doradcą w sprawach życiowych czy kimś takim. Istnieje w ogóle taki zawód?

Musieliśmy przejść przez cały rozległy kampus, żeby coś do mnie dotarło.

– Ty się tutaj uczysz – mówię do Lucasa.

– Zgadza się.

Jestem zaskoczona. Nie żeby Uniwersytet Nevady był kiepską szkołą, jego jednak bardziej widziałam w Lidze Bluszczowej. Poza tym wciąż jeszcze nie wpadłam na to, czemu tu jesteśmy.

Po minięciu mnóstwa bardzo do siebie podobnych budynków wreszcie do jednego z nich wchodzimy. Na końcu korytarza Lucas puka do jakichś drzwi. Otwiera nam uśmiechnięty człowiek w okularach.

– Witajcie. Wejdźcie.

Rozglądam się po sali. Mikroskopy, palniki, probówki, szklane gabloty, szalki Petriego. Wydział nauk przyrodniczych. Tamten człowiek – może jakiś asystent? – mówi:

– Podobno interesowałoby cię studiowanie nauk przyrodniczych.

Nagle brakuje mi tchu.

– Tak.

Roztacza przede mną wizje karier, które umożliwia dyplom nauk przyrodniczych. Medycyna, kryminologia, praca naukowa i tak dalej. Niemal wszystko, o czym wspomina, wydaje mi się interesujące.

– Chodź za mną. – Prowadzi mnie do jednego z mikroskopów. – Właśnie się szykowałem do zbadania tej próbki krwi. Chcę sprawdzić, ile w kwadracie kontrolnym jest białych krwinek. Gdybyś mogła popatrzeć przez mikroskop i je dla mnie policzyć, zobaczyłbym, czy nasze wyniki są zbieżne.

Robię, o co poprosił, i podaję tę liczbę. Wpisuje ją do rubryki na kartce obok mikroskopu. Potem przechodzi do szklanej gabloty i wyjmuje z niej fiolkę. Pozwala mi pobrać z niej strzykawką kolejną kroplę krwi i umieścić ją na szkiełku, a potem tę także analizuję. Później prezentuje mi różne bakterie, hodowane w szalkach, tłumacząc, skąd pochodzą i co powodują. Pokazuje mi też stare akta policyjne, wykorzystywane przez studentów przy badaniu DNA i określaniu przyczyny zgonu.

Niewątpliwie widać po mnie, że jestem pod wrażeniem, bo gdy zerkam na Xandra, na jego twarzy maluje się najszerszy uśmiech, jaki w życiu widziałam.

– Lucas, studiujesz nauki przyrodnicze? – upewniam się.

– Nie, architekturę. To tutaj to jeden z moich przedmiotów dodatkowych. A Rick to mój współlokator. I jest asystentem doktora Fendermana.

– Czy doktor Fenderman zwabił nas tutaj, żeby w przyszłości poddawać nas doświadczeniom?



– Tak, następny etap zwiedzania to klatka.

– Super. Czy w grę wchodzi testowanie szczepionek? Tym chłopcom tutaj przydałoby się jakieś ogłupiające choróbsko, które umożliwiłoby im wywiniecie się od balu dobroczynnego.

– Nie zazdrozczę – odpowiada Rick. Czyżby wszyscy na tym świecie, poza mną, chodzili na takie bale?

Rick kładzie pod mikroskopem kolejny preparat, żebym mogła mu się przyjrzeć. Lucas i Rick wchodzi na jakiś temat, ja zaś badam próbkę, lecz nagle czuję łaskotanie w kark.

– Dobrze się bawisz? – pyta Xander. Czuję go tuż za sobą, bijący od niego żar sprawia, że przechodzi mnie dreszcz.

– Tak. To niesamowite.

– Jeszcze nie wiedziałem cię tak zadowolonej.

Bo nigdy dotąd nie czułam się tak szczęśliwa. Nadal patrzę przez mikroskop na tamten preparat, ale nic nie widzę, bo oddech Xandra muska mi kark. Reaguję na niego całym ciałem, prawie mimowolnie wtulając się w jego pierś.

Obejmuje mnie.

– Powinnaś studiować nauki przyrodnicze. Niekoniecznie tutaj, ale to coś dla ciebie. Wyobrażam sobie, jak uroczo wyglądałabyś w białym fartuchu.

Uśmiecham się.

– Dobry pomysł. Może za rok. – Zdecydowanie zamierzam zrobić sobie co najmniej rok przerwy, żeby pomóc mamie.

– Caymen. – W jego głosie wyczuwam dezaprobatę, jakby wiedział, o czym myślę. – To byłby błąd.

– Tak, ale nie bardzo mam wybór, Xander.

– To, jaki masz wybór, zależy tylko od ciebie.

Trochę mnie rozśmieszył. To w jego przypadku wybór zależy od niego. Tacy

jak ja poprzestają na tym, co otrzymują od losu.

– Co ci tak zależy? – pytam szeptem. Przez chwilę jeszcze mam wrażenie, że mnie nie usłyszał, bo przecież, choć w jego ramionach, to stoję tyłem do niego, potem jednak odpowiada:

– Bo zależy mi na tobie.

Zamykam na moment oczy, ciesząc się tymi słowami, ciesząc się jego bliskością.

Chciałabym, żeby to mogło się spełnić, ale coś nadal stoi nam na przeszkodzie. Przedtem myślałam, że chodzi o jego dziewczynę. To jednak najwyraźniej nie stanowi już problemu. Chodzi o moją mamę. Jeszcze nic jej nie powiedziałam. I okropnie się z tym czuję. Nie chciałam być jego małym, nieprzyzwoitym sekrecikiem, ale sama potraktowałam go w ten sposób. Cieszę się, że stoję tyłem do niego, bo na pewno widać po mnie, jaki czuję do siebie niesmak. Poruszam ramionami, zmuszając go, żeby opuścił ręce, i patrzę na wiszący na ścianie zegar.

– Naprawdę już ósma? Lepiej się stąd zabierajmy, Xander.

– Zanim odlecimy, muszę cię zabrać do pewnej meksykańskiej knajpki na bulwarze. Jest niedaleko. Przepysznie tam karmią.

## Rozdział 30

**A** więc zabrał cię do samolotu i polecieście na wydział nauk przyrodniczych, żebyś posmakowała studenckiego życia, a twoją odpowiedzią będzie...? – Skye stara się mnie nakłonić do przygotowania na dzień kariery Xandra czegoś, co przebiłoby moją wizytę na uniwersytecie. Ale niby jak miałabym to zrobić?

– Hm, właściwie, to on przyjdzie jutro wieczorem, ponieważ mama ma to spotkanie przedsiębiorców... – Nie wiem, jak dokończyć tę myśl, więc zdejmuję z półki małą szkatułkę na biżuterię. Drewniane wieczko jest całe pokryte imitacjami kamieni szlachetnych i stanowi doskonałe uzasadnienie tego, dlaczego mówię o tym sklepie Oczywisty Chłam.

Skye stoi tyłem do mnie, zajęta układaniem starych książek na półce.

– Nie łapię. Na czym ma polegać ten dzień kariery? Zamierzasz go zabrać na to zebranie? Pokazać mu, jak spierają się drobni przedsiębiorcy?

– Nie. – Odstawiam szkatułkę. – Nie o to chodzi. Sądzę, że mama nie wybiera się na zebranie. Mam wrażenie, że spotka się z jakimś facetem. Taka randka za moimi plecami.

Teraz Skye odwraca się z rękami na biodrach.

– Czekaj. Chcesz powiedzieć, że i ty, i twoja mama ukrywacie przed sobą nawzajem, że z kimś chodzicie? – śmieje się.

– Nie. Ja nie chodzę z Xandrem. – Jeszcze nie. Dopóki nie nabiorę odwagi, żeby powiedzieć o tym mamie. Dałam sobie na to tydzień.

Skye przewraca oczami.

– Bardziej zakochanych, a zarazem stroniących od randek ludzi niż wy dwoje w życiu nie spotkałam. Chwila. – Idzie na tyły sklepu i woła do jego właścicielki, Lydii: – Książki są już w kolejności, a tabliczka odwrócona. Mam coś jeszcze zrobić?

– Nie. Dobranoc. I do zobaczenia jutro.

Skye bierze mnie pod łokieć i wyprowadza przez drzwi na zapleczu, a potem skrótem przez zaułek, na tyły naszego sklepu.

– Gdzie twoja mama? – pyta, wskazując puste miejsce tam, gdzie zwykle parkujemy samochód.

– Zaraz po zamknięciu śmignęła na zakupy.

– W każdym razie, wracając do dnia kariery, nie kumam, co będziecie robić z Xandrem.

– Ja też nie. Planowałam śledzenie mamy. Widzę jednak, że to zły pomysł.

Śmieje się.

– Miałam też inny pomysł na dzień kariery. – Idziemy po schodach do naszego mieszkania. – W zeszłym tygodniu rozmawiałam z Eddiem i zgodził się nauczyć nas robić swoje słynne muffinki.

– A to czemu? – dziwi się Skye.

– Bo Xander je lubi. Jemu zresztą wszystko smakuje. Dokądkolwiek się nie wybierzemy, lądujemy w jego ulubionej restauracji. Pomyślałam, że może pogadać z Eddiem i zobaczy, czy posiadanie własnego lokalu tego typu by go bawiło.

– Aha – mówi Skye. – Nieźle pomyslane. I słodkie. – Gdy już jesteśmy u mnie, od razu idzie do lodówki. – A ty udajesz, że nie kochasz tego chłopaka.

Uśmiecham się, ona zaś przetrzepuje lodówkę. Lampka na automatycznej sekretarce miga. Wciskam guzik.

– Jedna nowa wiadomość – oznajmia głos robota, po nim odzywa się jakaś kobieta: – Dzień dobry, pani Meyers, mówi Tina z sekretariatu doktora

Saundersa. Udało nam się przyspieszyć spotkanie i możemy pani wyznaczyć badanie ultrasonograficzne na piętnastego. Proszę przyjść pół godziny wcześniej i zadbać o uprzednie wypicie ustalonej ilości wody. Jeśli będzie pani miała pytania, proszę bez wahania dzwonić.

Słyszę za sobą trzask drzwiczek lodówki.

– Nie wiedziałam, że twoja mama jest w ciąży – mówi Skye.

– W ciąży? Czemu?

– Ta ultrasonografia. Robi się ją właśnie ciężarnym.

Mój rozum z trudem przyswaja sobie wypowiedziane przez nią słowa.

– Nie jest w ciąży.

– To czemu miałyby iść na USG?

Muszą istnieć jakieś inne powody, dla których ludzie robią sobie takie badania.

– Nie wiem.

– Ma mdłości? Bywa zmęczona?

Sięgam pamięcią wstecz. Ostatnio nie bardzo miała apetyt. Może dlatego, że ma kłopoty z żołądkiem. I zdecydowanie bywała przemęczona. Kiwam głową.

– Prawdopodobnie więc jest w ciąży. – Ruchem głowy wskazuje automatyczną sekretarkę. – Do tego kazali jej opić się wodą. To właśnie zalecają ciężarnym przed badaniami.

Non stop kręcę głową.

– Trochę to ekscytujące, nie sądzisz? Będziesz miała braciszka lub siostrzyczkę.

– Ekscytujące? Tak, jasne. Nie. Ona nie jest w ciąży. To absurd. Nawet nie ma... – Łapię się na tym, że chciałam powiedzieć „faceta”. A przecież całkiem możliwe, że kogoś takiego ma. – Nie jest w ciąży. – Ale jeśli nie o to chodzi, to o co? Ogarnia mnie niepokój. Coś jej dolega? Ludzie nie robią sobie USG ot tak sobie... A jeśli tak? Może gdy jest się starszym to

standardowa procedura.

Skye podchodzi do mnie i kładzie mi ręce na ramionach. Musiałam popaść w jakieś odrętwienie.

– To pewnie nic wielkiego. Nawet jeśli jest w ciąży, to też nic takiego.

– Ona nie jest w ciąży – powtarzam z naciskiem. – Jest za stara na ciążę.

Skye parska śmiechem.

– Ma dopiero trzydzieści pięć lat. – Jej komórka gra melodyjkę, wyciąga ją więc i uśmiecha się na widok SMS-a. – To Henry. Kapela siedzi we Wniebogłosach. Chcesz iść?

Spoglądam na nieruchome teraz światło lampki na automatycznej sekretarce. Potem zerkam na drzwi. Wciąż brak mi tchu. Kiedy mama wróci? Muszę ją o to zapytać. Ale czy mi odpowie? Od tygodni ze wszystkim się kryje.

To nic takiego. Mama czuje się dobrze. To standardowa procedura.

– Dobra. Zaraz zejść. Daj mi minutkę.

Waha się, ale wychodzi. Piszę, że nocuję dziś u Skye, i zostawiam list na blacie. Wrzucam kilka rzeczy do plecaka i zamykam za sobą drzwi na klucz.

\* \* \*

Kiedy wchodzimy do Wniebogłosów, jest tam praktycznie pusto. Gdy Skye patrzy pytająco na barmana, ten wzrusza ramionami i wskazuje drzwi z boku sceny. Skye maszeruje więc przez cały klub prosto do nich. Sączy się zza nich muzyka, która płynie w głąb tonącej w półmroku sali. Kierujemy się jej dźwiękami. Chłopaki rozsiedli się na kanapach w pokoiku na zapleczu i podnoszą wzrok, kiedy wchodzimy.

Henry wita Skye cichym śpiewem: „Oto moja ślicznotka”, wspartym kilkoma uderzeniami w struny gitary. Skye się uśmiecha i wciska w niewielką przestrzeń pomiędzy nim a poręczą kanapy.

Mason mruga do mnie.

– Hej, Caymen.

– Cześć. – Rzucam plecak pod ścianę, znajduję sobie miejsce na podłodze i siadam. Najchętniej bym się w nią całkiem wtopiła i na jakiś czas przestała istnieć. Trochę mi się to udaje, gdy chłopaki zaczynają bawić się tekstami i muzyką. Zlewające się dźwięki obijają się o siebie gdzieś we mnie.

Derrick, perkusista, improwizuje opowieść o swoim dniu. O tym, jak jechał samochodem i słuchał radia. Jak poszedł do sklepu i kupił sobie mleko i tak dalej, i tak dalej.

Już nawet nie słucham, dopóki nie pyta:

– Jaki jest rym do „hydrant”?

Mason poważnieje, mam więc wrażenie, że zaraz powie coś w stylu: „Nie rób z siebie idioty. Po co ci hydrant w piosence?”. Zamiast tego mówi jednak:

– Sam nie wiem, „chytrant”?

– Co to jest chytrant? – pyta Henry.

– Wiesz, amant, ale przy tym chytrus. Coraz więcej takich.

Nawet się śmieję.

– A co powiesz na „chorych szant”? – odzywa się Skye. – Jeśli zaśpiewasz to szybko, dość dobrze się zrymuje.

– Oto jedna z chorych szant, że bez sensu jest hydrant – śpiewa Henry.

– Oto jedna z chorych szant, że nasz Henry to chytrant. – Mason się śmieje.

– Jak szanta może być chora? – pytam. – Czy one nie są z natury żywe, żywe?

Henry brzdąka akord, chwilę patrzy w sufit, grając kilka innych akordów, potem śpiewa:

– Chory już jestem od słuchania wciąż tych samych szant, kiedy potrzeby mi jest nowy plan.

Mason celuje w niego palcem.

– O to chodzi. Zatyтуłujemy tę piosenkę *Hydrant*.

Śmieją się, ale Derrick zaczyna zapisywać w notesie wywrzaskiwane przez nich kolejne wersy o podnoszeniu się z gleby i zaczynaniu od nowa. Wierzyć mi się nie chce, że jestem świadkiem narodzin piosenki, której początek dało słowo „hydrant”. Dziwnie jest widzieć, jak coś powstaje z niczego. Myślę o sobie i o tym, jak Xander próbuje stworzyć coś z mojego nic niewartego życia. Bo w pewnym sensie to zrobił. Wydobył z mojej piosenki ten hydrant, coś, co uważałam za niedorzeczne, i pokazał mi, że może być w tym coś więcej, coś całkiem innego.

Po dniu, jaki miałam, ta myśl mnie uszczęśliwia. Zaczynam razem z nimi wykrzykiwać wersy. Daleko się już posunęli w układaniu tej piosenki, gdy absurd wraca z czymś okrzykiem: „I czemu właściwie nie dajesz mi zupy zółwiowej?”

Skye prycha urażona, ale potem już wszyscy się śmieją.

O dziesiątej śmiech jeszcze nie cichnie. Przeszedł w fazę radosnej głupawki. Skye leży na podłodze, przewieszona przeze mnie.

– Lepiej cię odstawię do domu, mała – mówi. – W środku tygodnia nieletni powinni już spać.

– Tę noc spędzam u ciebie – krzyczę.

– Serio?

– Tak napisałam mamie, więc to musi być prawda.

– Juhuu! To prawie jak zielona noc.

– Powinniśmy owinać komuś dom papierem toaletowym – mówię.

– Racja. Owiniemy komuś dom. Komu?

– Nie wiem. – Potem podnoszę rękę, jak jakaś nauczycielka. – Xandrowi.

Śmieje się.

– Kto chce owinać papierem dom Xandra?

Chłopaki patrzą na nas, marudzą.



– Nie potrzebujemy was. – Wstaję. – Idziemy.

Skye rusza pierwsza, a gdy już jestem przy drzwiach, ktoś mnie szarpie za ramię. Odwracam się i łąduję twarzą na kłacie Masona. Stoimy tuż za drzwiami, w półmroku korytarza. Całuje mnie w policzek.

– Wychodzisz bez pożegnania.

Cofam się i patrzę mu w oczy.

– Ja...

Mocno mruga.

– Ty i Xander?

– Tak sędę.

– Pewna jesteś, że do siebie pasujecie?

Wiem dokładnie, o co mu chodzi, ale gdy przed oczyma pojawia mi się twarz Xandra, przytakuję.

Niespiesznie wzrusza ramionami.

– Wiesz, gdzie mnie szukać. – Po tych słowach znika w pokoiku.

## Rozdział 31

Obie ze Skye trzymamy po dwie rolki papieru toaletowego i wpatrujemy się w ogrodzenie domu Xandra i prowadzącą do niego bramę.

– Nie za wcześnie na owijanie? – pyta Skye. – Jeszcze nie ma dziesiątej trzydzięci. W domu palą się wszystkie światła.

– Nigdy nie jest za wcześnie. Pytanie brzmi, jak dostaniemy się do środka?  
– Próbuję się przecisnąć między dwoma kutymi prętami, ale klinuje mi się udo. Zaczynam się śmiać.

– Zawsze byłaś taka nieodpowiedzialna? – dopytuje Skye.

– Nie wydaje mi się.

– Fajna jesteś taka głupia. – Skye bierze mnie pod pachy i próbuje wyciągnąć. Pęka ze śmiechu. W końcu mnie uwalnia, tak że ląduję na niej i obie zaliczamy glebę.

– Owińmy tylko pręty bramy.

– Czy Xander uzna za zabawne to, co robimy? – docieka.

Nie mam pojęcia.

– Na pewno.

Jest ciemno, ale udaje nam się opleść papierem pręty. Kiedy ostatnio taka dziecinada dostarczyła mi tyle frajdy? Po chwili widzę efekty mojej pracy wyraźniej, a kolejną chwilę później dochodzi do mnie, że to dzięki temu, że ktoś świeci na nas latarką. Posiadacz latarki chrząka.

– Witam panie. Dobrze się bawicie?

– Tak, bardzo dobrze – odpowiada Skye, a gdy obie się odwracamy,

napotyamy pełne dezaprobaty spojrzenie kogoś w rodzaju wartownika.

– Jak miło. Ochroniarz – mówi Skye.

Facet ściąga brwi.

– Ochroniarz, który zna numer na policję. Może zamienimy słówko z panem Spence'em?

Taka propozycja powinna wprowadzić w ten wieczór nieco otrzeźwienia, ale nie wprowadza. Może dlatego, że dopóki stoimy w mroku, ściskając rolki papieru, wszystko wydaje się nierzeczywiste. Staje się bardziej realne, gdy stoimy na ganku u pana Spence'a, a on baczenie się nam przygląda. Ale dlaczego mimo to nie mogę przestać się śmiać?

– Co mam zrobić, sir? – pyta ochroniarz.

Pan Spence znów spogląda na mnie i przekrzywia głowę. Zastanawiam się, czy pamięta, że już się spotkaliśmy. Ale czemu by miał? Jestem niewiele więcej niż nazwiskiem, które słyszał tygodnie temu. I dlatego kiedy słyszę: „Caymen? Zgadza się?”, szok zmazuje mi uśmiech z twarzy.

Kiwam głową na potwierdzenie.

Oczywiście, że mnie pamięta. Jestem symbolem buntu jego syna. A także ostatnią dziewczyną na tym świecie, którą pan Spence mógłby zaakceptować. Moje imię i twarz zapewne wryły mu się w pamięć.

– Robicie kawał mojemu synowi?

Ponownie przytakuję.

Śmieje się.

– Powiem szczerze: żadnemu mojemu dzieciakowi nikt jeszcze nic nie owijał papierem. Tak to się nazywa? – Odwraca się do ochroniarza. – Nie jesteś już potrzebny, Bruce. – A potem znów do nas: – A może byście do nas zajrzały, dziewczęta?

Gdy patrzę na rolki papieru, nadal ściskane w rękach, pierś dławi mi paniczny lęk.

– Nie. Nie trzeba. Już sobie pójdziemy. A jeśli pożyczysz mi pan worek na śmieci, to posprzątam ten bałagan.

Zbývá tę sugestię machnięciem ręki.

– Nie trzeba, mamy od tego ogrodników. I nalegam. Musicie nas odwiedzić.

– Jest już późno. My...

– Caymen?

Głos Xandra działa na mnie jak nagły podmuch żaru. Policzki zaczynają mnie palić. Podchodzi do drzwi, w spodniach od pizamy i T-shircie. Nawet jego pizama wygląda na drogą. Patrzy na papier toaletowy w moim ręku, a potem na Skye i jej papier.

– Rzuciłyśmy sobie wyzwanie – mówię bez zastanowienia. – Nie chciałyśmy dać się złapać. – Skye zaczyna chichotać, mnie też się udziela.

W jego oczach błyska powstrzymywana wesołość.

– Wejdźcie. Tess zrobiła gorącą czekoladę. Wydaje mi się, że jeszcze trochę jej zostało.

Nie jestem pewna, czy powinnam wiedzieć, kim jest Tess, ale nie pytam. Sterczenie z papierem toaletowym to wystarczająca porcja upokorzenia jak na jedną noc.

– Nie, dzięki. Naprawdę już sobie szłyśmy.

– Nalegam – mówi.

Skye parska śmiechem i jestem pewna, że to dlatego, iż Xander powiedział to dokładnie tak, jak jego tata. Wiem, że siedzi teraz jak trusia, żebym sama zdecydowała, jak to rozegramy. Popatruję to na Xandra, to na jego ojca, a oni przyglądają mi się cierpliwie, z rękoma tak samo skrzyżowanymi na piersi i identycznie skrzywionymi brwiami. Widząc tak jednoznaczne podobieństwo, zastanawiam się, czy przypominam chociaż trochę mojego tatę. Bo mamy na pewno nie.

– Zgoda. Tylko na minutkę. Jest już późno. Naprawdę nie zamierzałyśmy

nikogo nachodzić.

\* \* \*

Kuchnia jest ogromna. Blaty, choć marmurowe, nie rzucają się w oczy. Potężna wyspa. Takiej wielkiej lodówki nie widziałam jeszcze w żadnym domu. Bardziej przypomina szafę chłodniczą z warzywniaka.

Tata Xandra wchodzi za nami do kuchni.

– Wprawdzie Tess już poszła, ale jestem pewien, że sobie poradzicie.

Tess to widocznie kucharka.

– Dobranoc, Alexandrze, nie siedźcie zbyt długo – dodaje, a potem wychodzi.

Xander podchodzi do kuchenki, na której stoi dzbanek, i podnosi go.

– Pusty.

– To nic.

– Nie, coś wymyślę. Jeszcze powinna być taka w proszku.

Przetrząsa szafki. Widząc, że nic go nie powstrzyma od napojenia nas gorącą czekoladą, też podchodzi do kuchenki, biorę czajnik, napełniam go wodą, a potem przyglądam się pokrętlom. Podchodzi Skye, żeby pomóc mi rozszyfrować do czego służą. Po przekręceniu kilku i wciśnięciu paru guzików, udaje nam się uruchomić palnik.

Xander wciąż jeszcze rewiduje kuchnię w poszukiwaniu czekolady. Zachowuje się tak, jakby był tu pierwszy raz, otwiera drzwiczki, choć nie ma pojęcia, co się za nimi kryje. W końcu, z głośnym „Aha”, wyciąga pojemnik z jednej z szafek.

– Zaglądałeś kiedykolwiek do tych szafek? – pytam.

– Oczywiście.

– No to zagrajmy w taką grę: Skye wymienia nazwę jakiegoś kuchennego ustrojstwa. Kto pierwszy je znajdzie, wygrywa.

- Co wygrywa?
- Prawo do przechwałek.
- Jestem u siebie, więc chyba wygram.
- Udowodnij to, paniczyku. Nie ma tu Tess, żeby zrobiła ci mleczko.
- Ale ty jesteś.

Uśmiecham się. Umiem sobie poradzić w kuchni. A jeśli w tej tutaj rządzi kucharka, na pewno jest bystra i praktyczna. Naczynia do gotowania przy kuchence, szkło przy zlewie. Mam to obcykane. Daję znak Skye.

Ona się uśmiecha.

- Okej. Na początek coś prostego. Łopatką.

Xander dopada do wyspy i zaczyna przetrzepywać szuflady. Idę do kuchenki i otwieram szuflady po obu jej stronach. Prawie natychmiast znajduję łopatkę i odwracam się, unosząc ją.

– Pierwszą rundę wygrywa Caymen – ogłasza Skye, a Xander odwraca się do mnie, mało nie urywając sobie głowy. Warczy.

- Okej. Przedmiot drugi. Miseczka do płatków.

Prycham z oburzeniem.

– To nieuczciwe. Wiedziałaś, że będzie umiał ją znaleźć. – I oczywiście umie. W szafce obok spizarki.

- Remis – oznajmia Skye. – Znajdźcie mi durszlak.

Wyraz twarzy Xandra mnie śmieszy. Ta mina mówi: „Żeby chociaż wiedział, co to takiego”.

Pędzę do zlewu. Musi być w którejś z szafek pod nim. Kiedy sięgam do jednej, czyjeś ręce łapią mnie w pasie i odciągają. Potem Xander wpycha się przede mnie i otwiera na oścież drzwiczki, do których sięgałam. Rzucam się do przodu i staję równo z nim, usiłując go odepchnąć.

- Oszukujesz – mówi Xander.

- Ja? Sam oszukujesz. – Ani drgnie. Nie dając się ruszyć, przeszukuje półki.

– To taka miska z dziurkami! – woła Skye.

– Moja najlepsza przyjaciółka jest przeciwko mnie. – Łapię Xandra w pasie i staram się go odciągnąć. Czajnik na kuchence gwizdże i Skye zdejmuje go z palnika.

– Mam go! – Xander podnosi durszlak. Podskakuję i próbuję mu go wyrwać, ale trzyma durszlak poza moim zasięgiem. Kiedy staram się ściągnąć jego rękę na dół, on drugą obejmuje moje ramiona i przyciska mnie do piersi.

– Zwycięzcą jest Xander.

– Oszukujecie! Oboje!

Chrząka.

– Chciałbym zadedykować to zwycięstwo mojej niezrównanej znajomości rozkładu kuchni i znajdujących się w niej sprzętów, których używałem przy rozlicznych okazjach. Gdyby nie... – Urywa w pół zdania, a potem mówi: – Oo, cześć, mammo.

Ręce, którymi odpycham się od piersi Xandra, usiłując wydostać się z jego uścisku, momentalnie mi opadają. On odstawia durszlak na blat i przytrzymuje mnie oburącz.

– Mammo, to Caymen Meyers i jej przyjaciółka Skye.

Odwracam do niej głowę, bo Xander wciąż mnie unieruchamia. Boję się tego, co wyczytam z jej twarzy. I tego, że nadeszła chwila, gdy w końcu natrafię po jego stronie na stanowczy opór przeciw naszej znajomości. Ale na jej twarzy, trochę zbyt młodej jak na matkę Xandra, widzę życzliwość. Ma jasne włosy. Oczy niebieskie. Teraz widzę, w kogo wdał się Lucas. Przychodzi mi do głowy, że Xander nic nie odziedziczył po mamie. A jednak gdy kobieta się uśmiecha, może dlatego, że zaczynam mocować się z jej synem, przekonuję się, że to, co u niego najlepsze, ma właśnie po niej.

– Miło mi was poznać, dziewczęta. Caymen, tak wiele o tobie słyszałam.

– Dobry wieczór, pani Spence. Pani syn nie chce mnie puścić, bo oszukiwał,

ale mnie również miło panią poznać.

Xander mnie puszcza, a ja odsuwam się od niego na kilka kroków, starając się stłumić w sobie eksplozję beztroski.

Pani Spence podnosi z blatu rolkę papieru toaletowego i marszczy nos.

– Zapytaj o to Caymen – mówi Xander.

Świetnie, teraz mam tłumaczyć się przed jego mamą ze swojego wandalizmu?

– Pani syn wezwał mnie z powodu alarmowej sytuacji toaletowej. Pospieszyłam czym prędzej.

Wydaje się zdezorientowana, więc Xander wyjaśnia:

– Ona żartuje, mammo.

– No tak. To ironiczne poczucie humoru, o którym mi opowiadałeś.

Rany, jak bardzo mnie obgadywali?

– Cieszę się, że doprowadzasz mojego poważnego synka do śmiechu. – Lekko ściska mi ramię, a potem poklepuje Xandra po policzku. – Idę spać. Czuj się jak u siebie, Caymen.

– Dobranoc, mammo. – Po wyjściu mamy Xander podchodzi do kubków i wsypuje do każdego po kilka łyżeczek czekolady w proszku, a potem zalewa gorącą wodą. – Nie tak dobra, jak u Eddiego, ale mam nadzieję, że ujdzie.

– Masz tu gdzieś łazienkę? – pyta Skye. – Albo dziesięć?

Uśmiecha się.

– Najbliższa jest za tamtym łukiem. Pierwsze drzwi po prawej.

– Dzięki.

Skye wychodzi i zostajemy z Xandrem sami, jedno obok drugiego, przy ladzie. Sięgając po łyżeczkę, chłopak napiera udem na mój bok. Potem nasze ręce ocierają się o siebie, bo oboje sięgamy po ten sam kubek. Oboje też je cofamy.

– Proszę – mówimy jednocześnie, a potem się śmiejemy. Xander upija łyk



gorącej czekolady i podsuwa mi kubek. Boki naszych ciał się teraz stykają – ramiona, łokcie, biodra, uda – na całej długości. Czuję nawet najdrobniejszy jego ruch.

– Dobijasz mnie – mówi bezgłośnie.

– To przepraszam. – Odsuwam się o krok, ale chwytam mnie za łokieć i obraca twarzą do siebie. Teraz stykamy się całym ciałem. Gwałtownie łapię oddech, ogarnia mnie żar. Mam wrażenie, że jego dłoń, przyciśnięta do dolnej części moich pleców, wypali mi ślad na skórze.

Z całej siły wpatruję się w górną krawędź jego T-shirta.

– Caymen?

– Tak?

– Wydajesz się przestraszona. To cię przeraża?

– Bardziej niż wszystko dotąd.

– Dlaczego?

– Bo nie zabrałam miętówek.

– A tak naprawdę?

– Bo się boję, że jak tylko się poddam, ta gra się skończy. – Wierzyć mi się nie chce, że mu to powiedziałam, choć musiałam się do tego przyznać nawet przed samą sobą. Ale mnie sprowokował. Stale mnie prowokuje.

Obrysowuje mi palcem policzek, a moje serce aż szarpie się w klatce piersiowej, bo nerwy, od twarzy po ramiona, budzą mi się do życia.

– Nie wiedziałem, że w coś gramy – mówi.

Uśmiecham się. To samo zdanie padło podczas naszego drugiego spotkania. Patrę na niego, a on jakby na to czekał, bo nasze wargi się spotykają. Ich zetknięcie mnie elektryzuje. Całuje mnie delikatnie, usta ma równie ciepłe, jak rękę.

A kiedy już mam przejść do kontrataku, słyszę chrząknięcie Skye i jej słowa:

– W takim razie gorącą czekoladę wezmę na drogę.

Odsuwam się i żeby nie wyjść na wredną, próbuję odepchnąć Xandra, ale nie daje się ruszyć. Skye żegna się ze mną uśmiechem i widzę, że nie czuje się urażona.

– Odwiozę ją – zapewnia Xander, nie odrywając ode mnie wzroku. W oczach ma ogień. Oboje wsłuchujemy się w to, jak Skye wychodzi z kuchni. Potem chłopak chwytam mnie w pasie i podnosi na blat. Oplatom go rękoma i nogami i przyciskam wargi do jego ust. Tym razem wszystko jest intensywniejsze. Moje potrzeby bardziej dają o sobie znać.

W odpowiedzi jego język odnajduje mój, a ręce przyciągają mnie do siebie najbliżej, jak to możliwe. Smakuje pysznie, słoną czekoladą. Wysyłam dłonie na wędrowkę po T-shircie na jego plecach. Znajduję kręgosłup i kreślę zarys każdego kręgu. Zalewają mnie emocje i ze zdumieniem odkrywam, że najbardziej dojmującą z nich jest intensywny smutek. To akurat uczucie, które tak skutecznie tłumiłam przez cały wieczór.

Niewiele brakuje mi do płaczu, wtulam więc twarz w jego szyję w nadziei, że to stłumi łzy. Xander nieruchomieje. Próbuje się odchylić, prawdopodobnie po to, żeby na mnie spojrzeć, ale kurczowo się go trzymam. Przesuwa dłonią po moich plecach.

– Caymen? O co chodzi? Przepraszam. To przyszło za szybko? – Obejmuje mnie w pasie i zsuwa z blatu.

– Nie. To nie to.

– Ogromnie przepraszam.

– Nie musisz, to nie twoja wina. To naprawdę zły moment, żeby odmówić podwózki. – Nie jestem pewna, czy zrozumiał, co powiedziałam, bo przez nadmiar emocji mówię niewyraźnie.

– Możesz mi powiedzieć. Co się stało?

– Potrzymasz mnie tak jeszcze przez chwilę? – Zanim spróbuję to wyjaśnić,

staram się poskromić szalejącą we mnie burzę.

Chyba dotarło do niego, że opuścił ręce, bo bierze głęboki wdech i ponownie mnie nimi oplata. Pomiędzy nami nie ma już ani milimetra wolnej przestrzeni. Tylko jego obecność sprawia, że się nie rozklejam i że to, o czym przez cały wieczór myślałam, wreszcie wyjdzie na jaw.

A jeśli moja mama jest w ciąży? Narodziny dziecka nas zrujniają. Nie stać nas na nie. I jakim człowiekiem okaże się ten Matthew? Czy nie zwieje, kiedy się dowie? Jak mama mogła po raz drugi popełnić ten sam błąd? Jeśli wydawało mi się, że dojrzałam skrawek nadziei na opuszczenie sklepu z lalkami i rozpoczęcie własnego życia, teraz wiem, że to prawie niemożliwe.

Wymyka mi się pojedyncza łza, czym prędzej więc wycieram ją grzbietem dłoni.

- Przerażasz mnie, Caymen. O co chodzi?
- O moją mamę.
- Coś jej się stało? – pyta z niepokojem.
- Możliwe, że jest w ciąży.

## Rozdział 32

**X**ander klnie pod nosem.

– Kurczę, Caymen, współczuję. – Przez jakiś czas nie mówi nic więcej. Jego palce rysują mi na plecach szlak: w poprzek, w dół, znów w szereg i w górę. Powtarzają ten schemat raz po raz. – Kiedy to odkryłaś?

– Dziś wieczorem. – Wzdycham. – Może zresztą nie jest. I strasznie bym chciała, żeby nie była. Ale jeśli nie jest, to znaczy, że dolega jej coś innego, a ja jestem okropną córką, bo nawet przez ułamek sekundy nie myślałam, że ciąża byłaby od tego czegoś lepsza.

Pozwalam mu, żeby odsunął mnie od siebie, wciąż trzymając za ramiona. Gdy nasze oczy się spotykają, pyta:

– Co mogę zrobić?

– Zmień to wszystko w sen, z którego się jutro obudzę.

Skubie dolną wargę.

– Czuję się tak, jakbym cię dzisiaj wykorzystał. Przepraszam. Gdybym wiedział, nigdy bym...

– Przestań – wchodzę mu w słowo. – Nie mów takich rzeczy. Od tygodni chciałam się z tobą całować. Jeszcze zanim dowiedziałam się o mojej mamie, jeszcze zanim zacząłeś odprowadzać mnie do szkoły.

Patrzy na moje usta, potem znów spogląda mi w oczy.

– Chciałaś, żebyśmy się całowali?

– „Chcieć” to odpowiednie słowo. Chcę, żebyśmy się całowali. – Wychyłam się i muskam wargami jego usta. Odrobinę się odsuwa.

– Byłby ze mnie palant, gdybyśmy zaczęli się teraz całować. Chodź, lepiej porozmawiajmy. – Uchwyciwszy moją rękę, prowadzi mnie korytarzem do sali z kinem domowym. Naprzeciw wielkiego białego ekranu stoi tam na różnych poziomach kilka wypasionych rozkładanych foteli.

– Łał. – Obracam się wkoło. – Właśnie tu będziemy musieli obejrzeć *Lśnienie*.

Unosi w półuśmiechu kącik ust, podchodzi do regału wypełnionego płytami DVD i wyciąga jedną, z upiorną gębą Jacka Nicholsona zaglądającą przez rozwalone drzwi.

– Kupiłeś?

– Kupiłem. Przecież powiedziałaś, że musimy go obejrzeć.

Walę się na fotel.

– No to puszczaj.

Kręci głową.

– Nie dzisiaj. Dzisiaj porozmawiamy. – Odstawia film na miejsce i sadowi się na fotelu obok mojego.

– Co robiłeś, zanim przyszłam?

– Powiem inaczej: dzisiaj porozmawiamy o tobie.

– Może najpierw jakaś rozgrzewka? Nie jestem dobra w te klocki.

Zgadza się.

– Okej, zanim przyszłaś? Pomyślmy, odrabiałem historię.

– Chodzisz do Dalton Academy czy Oceanside? – Obie te szkoły są prywatne. Na pewno uczy się w którejś z nich.

– Do Dalton.

– Dalton... Tak się nazywa twoja babcia. – Ledwie to powiedziałam, zrobiło mi się głupio. – Jasne. To nie przypadek.

Śmieje się.

– Tak przy okazji, dzięki.

– Za co?

– Za przypomnienie mi, jak to jest być traktowanym jak ktoś zwykły. Od dawna nie trafiłem na kogoś, kto by nie wiedział, kim jestem.

Przekrzywiam głowę.

– Czekał, coś ty za jeden?

Uśmiechając się z przekąsem, pociąga mnie za włosy.

– Twoi rodzice są naprawdę mili.

– Kiedy dostają, czego chcą, to rzeczywiście.

– A więc pracowałeś nad stroną internetową dla swojego taty, tak?

Ciężko wzdycha.

– Właśnie o to chodzi. Pracowałem. Wiem, wiem, nie powinienem.

Podnoszę rękę.

– Nic nie mówiłam.

– Miałem więc same wspaniałe pomysły na to, jak sprawić, by ta strona wyglądała świeżo i ekscytująco, a mój tata kompletnie wszystkie zlekceważył.

Powiedział: „Nie, ma być jasno i klasycznie”.

– Dla waszej klienteli to prawdopodobnie lepiej.

– Co masz na myśli?

– To, że pokoiów w waszych hotelach nie będą wynajmować nastolatki. Tu chodzi o biznesmenów i ludzi mających. Na nich działa to, co jasne i klasyczne.

Na chwilę zamyka oczy, potem mówi:

– Masz rację. Czemu nie powiedział tego wprost?

– Może próbował. Nie bardzo słuchasz tego, co mówi twój tata.

– Bo chce mnie przerobić na idealną młodszą wersję jego samego. A mnie to dobija. Nie jestem nim.

– Czy to nie zabawne, że ty nie chcesz w niczym przypominać swojego taty, a ja żałuję, że nie wiem, czy choć odrobinę przypominam swojego?

– Przepraszam. Jestem taki nieczuły.

– Wcale nie jesteś. Łapię, o co ci chodzi. Nie chcesz, żeby widziano w tobie twojego ojca. Zwłaszcza że fizycznie jesteście tak podobni. Ale nie jesteś nim. Zawsze będziesz inny. – Zawsze będziesz niesamowity. Dlaczego wciąż tak trudno mi wyjawic tę ostatnią myśl?

Bierze mnie za rękę i przesuwa kciukiem po grzbiecie mojej dłoni.

– Twój ojciec byłby z ciebie dumny. Z tego, jaka jesteś.

Gdy to słyszę, gardło mi się całkiem ściska, a oczy wypełniają łzami. Daję sobie z nimi radę, ale zaskakuje mnie tak silna reakcja i to, jak bardzo potrzebowałam tych słów.

– Mieszka w Nowym Jorku. Jest tam jakimś adwokatem dla lepszej klienteli.

– Szukałaś go?

– Musiałam. Kiedyś mogę potrzebować nerki.

Parska śmiechem.

– Kiedy miałam dwanaście lat, czytałam o kolesiu, który od lat nie widział swojego ojca i kiedyś zachorował na raka. Dawcą szpiku został jego ojciec. Uratował mu życie.

Xander przypatruje mi się tak długo, że zaczynam czuć się nieswojo.

– Wiesz, żeby dotrzeć do ojca, nie trzeba być od razu na łożu śmierci.

Łapię się na tym, że nerwowo rozcieram sobie rękę.

– Odszedł od mojej mamy.

Powoli kiwa głową.

– Czujesz, że pragnienie spotkania z nim to zdrada wobec matki?

Podnoszę wzrok ku lampie, ale i tak wymyka mi się kolejna łza.

– Zostawił ją.

– Jej relacje z nim nie muszą przekładać się na twoje.

– Mnie też porzucił.

– Współczuję. – Przesuwa kostkami palców po moim policzku. – A jeśli chodzi o twoją mamę? Czemu to, że może być w ciąży, tak cię zdruzgotało?

– Myślisz, że przesadzam?

– Nic takiego nie powiedziałem. Wiem, że gdyby chodziło o moją mamę, byłbym podłamany. Po prostu nie chcę przypisywać ci moich pobudek. Powiedz mi, co właściwie czujesz?

– Złość, urazę i wstyd zbite w jeden wielki kłęb. W głowie mi się nie mieści, że znów się w to wpakowała. – Podciągam nogi na fotel i obracam się twarzą do niego. – Mam do siebie żal za egoistyczne pragnienie, żeby ten ktoś nigdy się nie narodził, mimo to nie chcę takiej zmiany.

– To ci przejdzie. Gdy weźmiesz dziecko na ręce, będziesz zachwycona.

– Nie, nie będę. Nie lubię dzieci, i to z wzajemnością. Obie strony doszły do tego wniosku już dawno temu.

Uśmiecha się.

– Przynajmniej będziesz miała dużo czasu, żeby oswoić się z tą myślą.

– O ile to rzeczywiście prawda – wzdygam, zaciskając powieki.

Jego kciuk kreśli kółeczka na grzbiecie mojej dłoni.

– Tak się cieszę, że tu jesteś. U mnie w domu. Powinnaś przychodzić tutaj codziennie.

– Najlepiej smakuję w małych dawkach. – Śmieję się. – A skoro o tym mowa, chyba już sobie pójdę. Jutro mamy szkołę.

– Odpada. Musisz zostać jeszcze co najmniej godzinę. – Przyciąga mnie na swój fotel. – Dzięki za tę rozmowę. Wiem, że to dla ciebie trudne.

Dotykam jego czoła swoim.

– Dzięki, że mnie wysłuchałeś.

– Jutrzejszy wieczór aktualny?

Jutrzejszy wieczór? Oo! Dzień kariery. Mama jakoby wybiera się na zebranie przedsiębiorców. Nie ma siły, żebym to sobie odpuściła.



– Aktualny.

– A dzisiejszy? – pyta, mocno mnie obejmując.

Robi mi się niewyraźnie.

– Co dzisiejszy?

– Jak nam powinna upłynąć najbliższa godzina?

Udaję, że się zastanawiam.

– Na pracy nad twoją stroną internetową?

– Ha, ha.

Poważnieję, co przychodzi mi z trudem, gdyż uśmiech nie ma ochoty zejść z mojej twarzy.

– Nie, serio. Powinieneś ją zrobić.

Przekrzywiając głowę, przygląda mi się badawczo.

– Mówisz poważnie?

– Nie – odpowiadam prosto w jego usta.

## Rozdział 33

**P**rzytrzymując dzwonek, otwieram drzwi sklepu i wciągam Xandra do wnętrza.

– Co się...?

– Ciii...

Chwilę nasłuchuję, czy mama nie wraca tylnymi drzwiami. Właśnie wyszła... spóźniona. Kazałam Xandrowi przyjść o osiemnastej trzydzieści, całe pół godziny po zaplanowanym przez nią wyjściu, ale z każdą upływającą minutą uświadamiałam sobie, że jeszcze trochę i się spotkają. Ale to nawet lepiej, bo będziemy mogli ją śledzić. Przedtem sądziłam, że trzeba będzie jej szukać.

Kiedy w końcu nabieram tchu i podnoszę wzrok na Xandra, widzę, że pomimo zgaszonego światła, wpatruje się we mnie.

Trzymam dłoń na jego piersi, przypierając go do ściany tuż przy wejściu do sklepu. Oddech zaczyna mi się rwać.

Jego natomiast nie powinien budzić tak miłych skojarzeń. Zamykając oczy, pozwalam, żeby mnie owionął. Czuję na ustach muśnięcie warg Xandra. Chciałabym się zatracić w pocałunku, wiem jednak, że nie mamy na to czasu.

– Chodź. – Łapię go za przód koszuli, ciągnę do tylnych drzwi, a potem odrobinę je uchylam. Przecznicę od nas jest pizzeria Luigiego i widzę, że mama skręca w prowadzący do niej zaułek.

– Caymen – odzywa się za mną Xander. – Mogłabyś mnie wprowadzić w temat?

– Chodzi o odrobinę pracy śledczej. Jak prywatni detektywi czy ktoś w tym stylu. – Sięgam do tylnej kieszeni i wyciągam kilka zdjęć, które zrobiłam Matthew aparatem Xandra. Wydrukowałam je sobie. Są wprawdzie marnej jakości, bo nasza drukarka to antyk, ale widać go dość wyraźnie.

– Co my tu mamy?

Wysuwam się na ulicę, a on za mną.

– Muszę wiedzieć na temat tego faceta wszystko, co możliwe.

– Okej... A co już wiemy?

– Nic.

Chrząka.

– Mistrzynie Obserwacji Naukowej nie dysponuje konkretnymi faktami?

– Mam przeczucie. – Że jeśli mama jest w ciąży, muszę dowiedzieć się jak najwięcej o domniemanym ojcu dziecka.

– To teraz teorie opierają się na przeczuciach?

– Weź się zamknij.

Śmieje się i bierze mnie za rękę. Zaskakuje mnie tym i nie mogę nie podskoczyć, gdy, chichocząc, lekko ściska mi dłoń. Dziwnie jest go tak trzymać. Przypomina mi się tamto zdjęcie z magazynu, na którym on i Sadie idą sobie za rączkę, i zastanawiam się, czy gdzieś w cieniu ktoś się nie czai, żeby strzelić nam fotkę.

On natomiast chyba czyta mi w myślach, bo mówi:

– Przenieśliśmy się tutaj, żeby nie być tak w centrum uwagi. Los Angeles jest okropne. Nie mogliśmy w ogóle liczyć na prywatność.

Kiwam głową, nie bardzo wiedząc, co tu można powiedzieć.

– Ale jako że to miasto to raczej nie tętniąca życiem kalifornijska metropolia, a my działamy na szeroką skalę, wiele podróżujemy. Niekiedy ojciec ciągnie mnie ze sobą. Jutro na przykład muszę lecieć na Florydę i zostać tam do piątku, a w sobotę mam ten bal dobroczynny.

Chyba nie pyta mnie o zgodę... prawda? Raczej mi o tym mówi, ponieważ... Właściwie dlaczego? Ponieważ jesteśmy już parą?

– Chyba powinnam spytać, kiedy się znów zobaczymy.

– Aha. W przyszłym tygodniu?

– Wpiszesz mnie do swojego ogromniastego kalendarza?

– Jeszcze nie wiem. Może być solidnie zapchany. Ja i moje zabiegane życie musimy to przedyskutować.

Kiedy skręcamy za róg, widzę czerwono-białą markizę nad wejściem do Włoskiej Restauracji Luigiego... i plecy mamy zamykającej za sobą drzwi. Hm, nie tego się spodziewałam. Powinna się tu spotkać z kimś wysokim, ciemnowłosym i upiornym.

– Co teraz? – pyta Xander.

– Czekamy. – Idę na trawnik w kącie tej działki, zapewniający dobry widok na lokal Luigiego, a zarazem niezbyt rzucający się w oczy komuś, kto patrzyłby przez okno. Siadam. – Boisz się pobrudzić dzinsy? – pytam, bo on się waha. – Nie jest mokro.

– Nie... Chodzi o to... Czy my szpiegujemy twoją mamę? – Siada obok mnie.

– Tak – przyznaję, odrobinę się krzywiąc.

– Caymen, wiem, że się niepokoisz, ale czy należy do tego podchodzić w ten sposób?

Wskazuję zdjęcia, które wciąż jeszcze trzymam w ręce.

– Muszę się czegoś o nim dowiedzieć.

Ponownie przypatruje się fotkom.

– Czy to on, ojciec...? – Nie kończy zdania. Tak jakby też był zażenowany. Ciekawe, czy kiedykolwiek znał kogoś, kto zaszedł w ciążę bez ślubu.

– Tak. – Odchylam się, oparta na rękach.

Kiwa głową, a potem się rozgląda.

– To jak długo będziemy tu czekać?

Zerkam na restaurację Luigiego.

– Nie wiem. – Może po zebraniu pójdzie spotkać się z Matthew. Odbieram od niego zdjęcia i sama też je przeglądam.

– Uważasz więc, że nadawałbym się na detektywa?

– Słucham?

– To przecież dzisiaj. „Dzień kariery”. – Podnosi rękę, podkreślając palcami cudzysłów, i udaje mu się nawet zrobić to z klasą. – Temu to przecież ma służyć, prawda? Chodziło o znalezienie czegoś, czym mógłbym się w przyszłości zająć. Myślisz, że sprawdziłbym się w roli detektywa?

– Tak. Pewnie.

– Dlatego, że jestem spostrzegawczy, świetnie czytam ślady i interpretuję przesłanki? – Skubie trawę, wyrywa kilka źdźbeł. Wygląda na urażonego. Włącza mi się światełko ostrzegawcze, które podpowiada, żebym wycofała się z tych słów, naprawiła wszystko, powiedziała mu: „Nie, chodziło mi o mnie i o moją mamę, i po prostu potrzebowałam twojej pomocy”. Otwieram usta, ale już na to za późno.

Podnosi się i otrzepuje dłonie, a potem jedną z nich wyciąga do mnie.

– Odprowadzę cię.

– Ja tu zostanę.

– Okej. – Już odchodzi.

– Przepraszam – zwracam się do jego pleców. Zatrzymuje się. – Za to, że byłam tak skupiona na sobie i wredna. Ty pokazałeś mi te wszystkie wspaniałości, a ja nie zrobiłam nic dla ciebie. Tylko zagoniłam do kopania grobu. A ty zabrałeś mnie na Uniwersytet Nevady.

Odwraca się do mnie.

Wskazuję ulicę.

– Zamierzałam zabrać cię do Eddiego. Miał nauczyć nas robić swoje

sławne muffinki, a także opowiedzieć, jak zaczynał ten interes i w ogóle. Myślałam, że może ci się to spodoba, bo lubisz jeść, i wyobrażam sobie ciebie jako właściciela restauracji czy kogoś takiego. Ale potem stało się tamto i...

Pokonuje dzielącą nas odległość, bierze w dłonie moją twarz i mnie całuje. Przez chwilę brak mi tchu, a potem chcę oddychać już tylko nim. Jeść Xandra Spence'a, śnić o nim i pić go. Ciągłe mi mało. Nie wiem, jak potrafiłam istnieć bez niego, bo w tej chwili to jego energia jest moją siłą napędową.

Odrobinę się odsuwa, a ja łapię powietrze. Kładę się na trawie, bo kości już nie są w stanie utrzymać mnie w pionie. On leży obok mnie, opierając się na łokciu.

– Kupiłam sukienkę – mówię rozanielona.

– Hm... Fascynujące.

– Jeśli chcesz, pójdę z tobą w sobotę na ten bal.

– Jeśli chcę? – Kręci głową. – Będę zachwycony, jeśli się na niego wybierzesz. Myślałem, że zdecydowanie nie chcesz. Tak. Zapraszam. – Znowu mnie całuje, a ja śmieję się z radości. Zanurzam palce we włosach zakrywających jego kark. Lekko szczypie mnie w bok, więc znów parskam śmiechem.

Nie dociera do mnie odgłos kroków ani brzęk kluczyków. Słyszę dopiero, jak ktoś chrząka. Zbyt szybko siadam prosto i krew tak uderza mi do głowy, że krawędzie pola widzenia przez chwilę nieco mi się rozmazują. Ale choć niezbyt wyraźnie, widzę twarz mamy i gniew w jej oczach.

## Rozdział 34

Z jakiegoś powodu chichoczę. Może dlatego, że jeszcze nie potrafię zapanować nad łomotem uradowanego serca. A może wciąż jeszcze jestem na tyle zła na mamę za wszystko, co przede mną ukrywa, że malująca się na jej twarzy wściekłość sprawia mi pewną satysfakcję. A może to dlatego, że kompletnie nie mam pomysłu, co powiedzieć. Tak czy inaczej, chichot naruszający wieczorną ciszę brzmi trochę zabawnie.

– Cześć.

Mama patrzy na Xandra, zaczynając od jego świeżo podciętych włosów, a kończąc na drogich butach. Potem znów na mnie, ze wzgardą.

– Porozmawiamy w domu. – Po tych słowach odchodzi. Zagryzam wargę, by powstrzymać się od śmiechu. Kiedy znika za rogiem, znów się kładę i przyciągam do siebie Xandra. Całuję go, on jednak stawia opór.

– Caymen, zaczekaj.

– Co takiego?

– Nie mówiłaś jej o nas?

– Przecież wiesz.

– Nie. Nie wiem. Myślałem, że po tym, jak przedstawiłem się twojej mamie, powiedziałaś jej.

Czuję się okropnie. Tak właśnie powinnam była postąpić. Próbowałam się nawet do tego zmusić, zanim automatyczna sekretarka przekazała mi wstrząsającą wieść.

– Skąd ci to przyszło do głowy? Udawałam przecież, że cię nie znam.

– Myślałem, że tylko tak żartujesz. Sądziłem...

Marnie mi dziś wychodzi urządzenie Xandrowi wyjątkowego dnia. Przesuwam palcami po jego nadgarstku, a potem splatamy dłonie.

– Przepraszam. Mama ma drobny uraz związany z pewnymi przeżyciami. Zamierzałam jej zresztą o nas powiedzieć, ale tamto wszystko się na mnie zważyło. Teraz jej powiem.

– Chyba już to zrobiłaś.

Znowu chichoczę.

Kącik jego ust unosi się w półuśmiechu.

– Czyli Eddie ma teraz otwarte? Chodźmy coś zjeść.

\* \* \*

Xander opiera się o swój samochód, zlizując z palców resztki muffinki.

– Nie przypuszczałem, że masz takie chody u Eddiego. To całe umówione pukanie w drzwi od zaplecza po zamknięciu lokalu. Że też nie powiedziałaś mi tego kilka miesięcy temu.

– Nie mam aż tak wielu atutów, żeby od razu wszystkie ujawniać. – Wrzucam pustą papierową torbę do jednego z koszy na śmieci przy naszej ulicy. Odwracam się do Xandra, a on przygarnia mnie do siebie. Wymyka mi się cichy okrzyk zaskoczenia.

Wtula twarz w moją szyję.

– Chyba muszę już iść. Mama cierpliwie czeka, żeby mnie skrzyczeć. Wolę mieć to już za sobą.

– Pogodzi się z tym? Z nami? – Jego głos dociera do mnie stłumiony.

Uśmiecham się, błędząc palcami w jego włosach.

– Przejdzie jej, jak tylko cię pozna. Wiesz, któż by nie polubił Xandra Spence'a?

– Coś w tym jest. – Całuje mnie raz, a potem puszcza.



Ruszam, ale jeszcze się odwracam. Oparty o samochód, słodko uśmiechnięty patrzy, jak się oddalam. Potykam się, ale łapię równowagę.

– Baw się dobrze na Florydzie.

\* \* \*

W sklepie panuje ciemność, świeci się za to na schodach na zapleczu.

Biorę głęboki wdech i powoli wchodzę do środka, jeszcze niegotowa na spotkanie z gniewem, który bił z oczu mojej mamy. Czuję się za bardzo szczęśliwa. Nie chcę, żeby mama burzyła ten pocałunkowy haj. Może zresztą już śpi. Może burza przejdzie bokiem. Sama się z siebie śmieję. Tak się na pewno nie stanie.

Drzwi trochę skrzypią, kiedy je otwieram. Niemal czuję w powietrzu to napięcie, na pograniczu wybuchu. Mama siedzi sztywno przy stole w kuchni. Jest dość ciemno, jedynie w blatach odbijają się lampki spod szafek. Zapalam górne światło.

– Od jak dawna? – To pierwsze, co słyszę.

– Od kilku miesięcy.

– To z tym chłopakiem spędzasz tyle czasu?

– Tak.

– A co z Masonem? Myślałam, że ty i Mason...

Kręcę głową przecząco.

– Z nim się tylko koleguję.

Wstaje, żeby spojrzeć mi w oczy.

– Gdzie go poznałaś?

Wiem, że nie mówi już o Masonie. Wrócił temat Xandra.

– Tutaj.

– A więc poznaliście się tutaj. – Wskazuje podłogę kuchni.

– Właściwie to na dole – mówię, pokazując drzwi. Ale to chyba niedobra

pora na żarty, bo twarz mamy tężeje.

– Wiesz, że Daltonowie są... – Mam wrażenie, że nie jest nawet w stanie wymówić tego słowa.

– Obrzydliwie bogaci? Tak, wiem.

– Caymen... – Wzdycha przeciągle.

– W czym problem? My się lubimy.

– Ludzie jego pokroju nie zadają się z takimi jak my.

Teraz ja wzdycham.

– Mamo, zlituj się. To nie jest dziewiętnasty wiek.

Śmieje się ironicznie.

– Bogatym czas płynie wolniej.

Udaję, że mnie zatkało.

– Chcesz powiedzieć, że on wiecznie będzie siedemnastolatkiem?

– Caymen, tu się nie ma z czego śmiać. – Przesuwa dłonią po twarzy. – Co sobie pomyśli pani Dalton?

Gdy widzę jej dłoń zaciśniętą teraz w pięść, euforia wreszcie mi mija.

– Co to ma wspólnego z panią Dalton?

– Poznałaś jej wnuka w tym sklepie. Uzna, że postępujemy nieprofesjonalnie.

– Mam wrażenie, że pani Dalton mnie lubi.

– Lubi cię jako dziewczynę, która ją obsługuje, nie jako kogoś, z kim chodziłby jej wnuk.

Mrugam, bo te słowa mnie zaszokowały. Mama równie dobrze mogłaby powiedzieć: „Rodzina Xandra uważa, że nie jesteś go godna. I wiesz co? Rzeczywiście nie jesteś”.

– Wiedziałaś, że nie chciałabym, żebyś się z nim widywała, i dlatego od początku mnie okłamywałaś.

Wierzyć mi się nie chce, że mama, która tyle przede mną ukrywa, ma

czelność mówić coś takiego.

– Mamo, to jakiś absurd. Nam jest ze sobą fajnie. To cię nie cieszy?

– I tylko o to mu chodzi. Żeby było mu fajnie. Nie dostrzegasz tego? Dla niego, Caymen, jesteś tylko ekscytującym doznaniem, urozmaiceniem, zanim będzie gotów się ustatkować.

– Czekaj, odniosłaś wrażenie, że chcę, żeby poprosił mnie o rękę? Pytanie, czy to robi, zamierzałam odwlec jeszcze o jakieś trzy miesiące.

Całkowicie ignoruje mój sarkazm.

– Dla niego to tylko zabawa. To coś ekscytującego: spotykać się z dziewczyną mieszkającą nad sklepem z lalkami. Taka przygoda. Ale nie będzie tego dłużej ciągnął. Złamie ci serce.

– Łał, już się nie dziwię, czemu mój tata nigdy mnie nie odwiedził.

– Twój ojciec w ogóle nie chciał cię widzieć! I o to chodzi, Caymen. Nie rozumiesz tego? On nas zostawił.

Oddycham z trudem. Pierś wyraźnie mi się unosi i opada, mimo to nie czuję, żeby do moich płuc docierał tlen.

– Niesamowite. Myślisz, że mogłabym go zaszantażować? Pojawić się u niego w pracy z wrzaskiem „Tato” jak Will Ferrell w *Elfie*?

– Caymen, żarty z tego nic żadnej z nas nie dadzą.

Czuję się, jakby ktoś wziął moje serce w garść i je zgniatał.

– *Elf* to poważna sprawa. Ten film to klasyka.

Słyszę ciężkie westchnienie mamy.

– Jeżeli chciałabyś porozmawiać o tym, co naprawdę czujesz, będę tutaj. I nie mogę ci zakazać widywać się z Xandrem, ale jeśli ufasz moim sądom albo coś znaczy dla ciebie moje zdanie, nie rób tego.

Wcale nie chce wiedzieć, co czuję. Zależy jej tylko na tym, bym przestała spotykać się z Xandrem.

– Przyjęłam to do wiadomości. – Wychodzę z kuchni, mając nadzieję, że

wkrótce oddech mi wróci.

## Rozdział 35

**W**sobotę czekam przed sklepem. Z mamą przez cały tydzień ledwie się zauważałyśmy i nie chcę stwarzać jej okazji, by mogła ponownie wygłosić swoją straszną opinię na temat Xandra, więc nie daję jej na to szans.

Nieco kolebię się na obcasach (w butach należących do Skye). Rzadko na nich chodzę. Gotowa jestem jednak w pewnych sprawach poświęcić się dla Xandra i najwyraźniej „wysokie obcasy” też mogę dopisać do tej coraz dłuższej listy... zaraz po „dobrych relacjach z matką”.

Gdy chłopak podjeżdża eleganckim czarnym samochodem sportowym, gryzę się w język. Mówiąc, że ma niejeden samochód, robiłam sobie przecież z niego żarty. Czemu tak dobrze wpisuje się w pewne stereotypy, skoro inne lekceważy? Tak jakby koniecznie chciał udowodnić, że to moja mama ma rację, choć to ona powinna się zdobyć na uświadomienie sobie, że się myli. Na to jednak jej nie stać.

Xander wysiada, a mnie serce daje znać, że wciąż go lubi, i to bardzo. Fantastycznie prezentuje się w garniturze. Przez szczesane do tyłu włosy wygląda jakoś doroślej. Cerę po wypadzie na Florydę ożywia mu zdrowa opalenizna.

– Stęskniłem się za tobą – mówi.

– Ja za tobą też.

– Wyglądasz olśniewająco.

Sukienka dobrze na mnie leży, ale i zmusza, bym była świadoma własnego ciała, bo opina je wszędzie tam, gdzie trzeba.

Fakt, że kupiłam ją w sklepie z używanymi ciuchami, też nie pomaga. Na dzisiejszej imprezie kreacje będą ze dwa razy bardziej bajeranckie i ze sto razy droższe.

– Czuję się jak oszustka.

– Dlaczego? Czyżbyś nie była wcześniej na wielu takich balach?

– Pewnie, niejeden raz. – Wałę go w ramię.

– Szczęściara z ciebie. Mnie mama zmusza, żebym na nie chodził.

– I dobrze robi. Byłoby zbrodnią odbierać światu szansę oglądania cię w garniturze.

Poprawia połę marynarki.

– Podoba ci się?

– Tak. Bardzo.

Jedną ręką obejmuje mnie w pasie i przyciąga do siebie, oszałamiając pełną gamą zapachów, od pasty do zębów po wodę po goleniu. Trochę się potykam na obcasach, ale oparta o niego łapię równowagę. Obejmuję go, przez moment niepokojąc się, że mama obserwuje to przez okno, ale jego aromat i ramiona przypominają mi, o co walczę. Właśnie o to. O niego. Tak dobrze jest czuć, że mnie przytula. W jego objęciach zdaje się znikać wszystko, co mama mówiła o nim i o mnie.

Całuje mnie w policzek.

– Pięknie pachniesz.

– Ty też.

Zerka nad moim ramieniem na sklep.

– Wejdziemy?

– Nie... nie. – Ściskam go mocniej. Chciałabym móc zabrać go tam do środka. Chciałabym, żeby mama go poznała, zaakceptowała tak, jak Masona.

– Okej. – Prowadzi mnie na drugą stronę samochodu i otwiera drzwi po stronie pasażera, pomaga wsiąść.

Kiedy sam też wsiada i zapala silnik, ogarnia mnie przeciągłym spojrzeniem.

– Co się dzieje, myszko? – Chwyta mnie za rękę i kładzie ją na swoim kolanie.

– Wieziemy jakiegoś zwierzaka? Myszkę?

Wycofuje się z miejsca postojowego i rusza.

– Nie podoba ci się?

– Może być. Chociaż kojarzy mi się z Myszka Miki.

– Masz inne propozycje?

– Zawsze miałam słabość do cukierczka, głównie dlatego, że mnie to rozśmiesza, bo wcale nie jestem słodka.

– A laleczka?

– Ha. Tylko jeśli mam się jeżyć.

– Okej. To może mistrzyni uników. Pasuje do ciebie. – Ścisną mi dłoń. – Niezła próba, ale co się dzieje... laleczko?

Wzdycham.

– Strasznie pokłóciłyśmy się z mamą.

– O mnie?

– Megaloman. Myślisz, że zawsze chodzi o ciebie?

– To o co poszło?

– O ciebie.

Uśmiecha się. Uwielbiam jego uśmiech. Nie mam ochoty rozmawiać o mamie. Wolę o jego uśmiechu lub o całowaniu. O całowaniu mogłabym pogadać.

– Co się twojej mamie we mnie nie podoba?

– Głównie to, że jesteś bogaty. Gdybyś mógł zmienić choć to jedno, moje życie byłoby o wiele łatwiejsze.

– Popracuję nad tym.

- Dzięki. Jesteś bardzo uczynny.
- Chce więc dla ciebie czegoś innego?
- Co przez to rozumiesz?
- Kogoś, kto nie przypomina jej o przeszłości.
- Zgadza się. Przede wszystkim nie chce, żebym spotykała się z kimś bogatym i zaszła w ciążę, przez którą ten bogacz zwieje.
- Wiąże to z jego pieniędzmi?
- Wiem, że to niedorzeczne.
- To od tego się zaczęło to całe mieszkanie nad sklepem z lalkami? Myślę o tym, jak rodzice mojego taty dali mamie pieniądze na otwarcie sklepu.
- Dokładnie tak.
- Zaczekaj, to znaczy, że przemieszkałaś tam całe życie?
- Tak.
- Łał, to dopiero hardkor. Co mieszkanie nad sklepem z lalkami ma wspólnego z jakimś „hardkorem”?
- Pod pewnymi względami może tak.
- Myślałem, że moja mama jest hardkorowa, ale twoja bije ją na głowę.

\* \* \*

Piękniejszej sali od tej balowej w hotelu w życiu nie widziałam: wielkie żyrandole, posadzka pokryta zdobionymi płytkami, grube kotary aż po sufit. Xander prowadzi mnie do stołu na jej krańcu, biorę więc głęboki wdech. Jakiej to kijowej porady udzielił mi Henry przed spotkaniem z Masonem? No tak: bądź sobą. Mam wątpliwości, czy w tym przypadku to zadziała. Może tego wieczoru powinnam spróbować pobyć kimś innym.

Kiedy widzę panią Dalton, mam ochotę zwać i się schować. Kiedy indziej i w innej sytuacji jej obecność działałaby na mnie uspokajająco, ale po tym, co



powiedziała mi mama, moja dłoń w ręce Xandra aż mnie parzy, jakby na nasze splecione palce padało światło reflektora.

Widocznie za długo jej się przyglądam, bo spotykamy się wzrokiem. Na czole czuję krople potu, więc je ścieram. Pani Dalton uśmiecha się i macha do mnie.

– Chyba ktoś na nas skinął. – Xander mrugnięciem podkreśla ten dobór słów. Też bym sobie pozartowała, ale za bardzo się denerwuję.

– Caymen – zwraca się do mnie pani Dalton – nie wiedziałam, że przyjdiesz. Dobrze cię widzieć. Cieszę się, że Alex podbił cię swoim urokiem.

– Było ciężko, babciu. Tę dziewczynę niełatwo zdobyć. – Całuje mnie w rękę.

– Tak jest z większością tego, co wartościowe.

Może to tylko moje zdanie, ale raczej nie zabrzmiało to jak odpowiedź osoby wkurzonej na wnuka, że ten spotyka się ze sklepową.

– Lepiej bądź dla niej miły – upomina Xandra.

– A to nie jej powinnaś powiedzieć, jak ma ze mną postępować? W końcu to ja jestem twoim wnukiem. – Nachyliła się, całuje ją w policzek, a potem szepcze coś, co rozbawia panią Dalton.

– Co jej powiedziałaś? – pytam, gdy stamtąd wychodzimy.

– Wyjaśniłem, że jesteś w pełni zdolna do rzucania gróźb i ich realizowania i że nie trzeba ci dodatkowej ochrony.

– To prawda.

– Zanim usiądziemy, powinienem się tutaj trochę pokręcić, ale zamiast tego zatańczę z tobą, a potem poszukamy naszego stolika.

– Nie.

– Nie zatańczysz ze mną?

– Nie, to znaczy jasne, zatańczę z tobą, ale dziś z niczym nie wyskakuj, bo

dla twojej mamy to zbyt szczególny wieczór, żebyś miał się okazać wyrodnym synem. Obwiniałyby o to mnie.

Śmieje się.

– Na pewno nie. Mama nawet ostatnio stwierdziła, że zrobiłem się znacznie bardziej odpowiedzialny. Uważa, że to twoja zasługa.

– Nie uświadamiałam sobie, że mam na ciebie aż tak dobry wpływ. Zwłaszcza że ostatnio stałam się królową nieodpowiedzialności. – Według mojej mamy.

– Uważaj, grają naszą piosenkę.

Przez chwilę nasłuchuję. W rogu sali zespół gra jakiś klasyczny kawałek, zgodnie z zapowiedzią Lucasa, bez wokalisty.

– To nasza piosenka?

– Przecież to twój zespół, zapomniałaś? A więc jakkolwiek piosenkę zagrają, będzie nasza.

– Święta racja. – Na obcasach jestem akurat na tyle wysoka, żeby dotykać nosem jego szyi. Rozpinam trzy guziki jego marynarki i kiedy wraz z innymi parami kołyszemy się do rytmu, wsuwam pod nią rękę, obejmując go.

Xander zaczyna wymyślać absurdalny tekst do piosenki i fałszując, wyśpiewuje mi go prosto w ucho.

– Powinieneś złapać za mikrofon. Brakuje cię w tej kapeli.

– Co takiego? Czyżbyś preferowała aksamitny wokal Tika?

– Tak.

– Ja też – śmieje się.

Nasze pogaduszki ucina kobiecy głos.

– Witam ponownie, Caymen.

Xander zatrzymuje się i odwraca.

– Dzień dobry, mamó. – Chwyta ją w ramiona. Potem ona zaskakuje mnie tym samym. Ma ufryzowane jasne włosy i idealnie wyregulowane brwi, a jej

skóra jest tak gładka, że musiała sobie też coś wstrzyknąć.

– Miło jest widzieć, że mój syn tak często się uśmiecha. Do twarzy mu z uśmiechem, nie uważasz?

– Nazywam go jego sekretną bronią.

Xander ściąga brwi.

– Naprawdę?

– Głównie w myślach, ale czasem też za twoimi plecami. – Oglądam się na panią Spence. Jestem sobą, na szczęście chyba nie odstraszył jej ten sarkazm. Na jej twarzy maluje się uśmiech, więc chyba jestem bezpieczna.

Xander przyciąga mnie do swego boku.

– No, to wiele wyjaśnia.

– Podeszłam tylko się przywitać. Niestety, nie mogę z wami zostać. Ktoś musi prowadzić tę imprezę. – Przesuwa dłonią po moim ramieniu. – Ale później porozmawiamy, tylko we dwie. Marzę o tym, żeby cię lepiej poznać.

Przytakuję z uśmiechem, chociaż ciśnie mi się na usta: „Znosi się więc na tortury”.

Gdy się oddala, Xander bierze mnie za rękę i znów przyciąga do siebie, kołysząc się w rytm muzyki.

– Pewnie i tak nie zapamiętasz ich imion, ale pozwól, że pokażę ci wszystkich członków mojej rodziny.

I nie tylko przedstawia po imieniu całą masę ludzi na tej sali, ale też opowiada o każdym jakąś zabawną historyjkę.

– A to – wskazuje przeciwległy koniec sali – moja kuzynka Scarlett.

– Aha, tamta lalka. – Przekrzywiam głowę. – Rzeczywiście podobna.

– Prawda?

Śmieje się, a ona chyba czuje, że o niej rozmawiamy, bo nie tylko patrzy na Xandra, ale i rusza w naszym kierunku.

– Witaj, Scarlett.

Podaje mu wiotką rękę, a potem całuje powietrze tuż przy jego policzku.

– A to Caymen.

– Cześć. Wiele o tobie słyszałam.

Zerkam na Xandra. Gada tylko o mnie? I jak należałoby odpowiednio skomentować takie słowa?

– Jeśli jestem tak interesującym tematem, wygląda na to, że Xander powinien częściej ruszać się z domu.

Scarlett posyła mi równie szeroki uśmiech, co u jej porcelanowego sobowtóra, a potem łapie Xandra za biceps.

– Widziałeś, z kim przyszedł dzisiaj twój brat?

– Nie, jeszcze tam nie dotarliśmy. – Xander wyciąga szyję, wyraźnie próbując namierzyć towarzyszkę brata.

– Jeśli możesz, lepiej jej unikaj. Poważny przypadek kompleksu Kopciuszka.

– Poważnie? – Xander parska śmiechem. – Lucasowi się to podoba?

– Mnie to nie dziwi, zważywszy na to, gdzie studiuje. – Scarlett wydyma wargi.

Czy Xander nikomu ze swoich krewnych nie powiedział, że jestem biedniejsza niż mysz kościelna? Bo gdyby tak było, chyba próbowałby jakoś załagodzić to, co właśnie powiedziała Scarlett, zamiast zachowywać się tak, jakby się z nią zgadzał.

– W każdym razie, miło było mi cię poznać, Caymen, ale właśnie przyszedł Bradley, więc muszę lecieć.

Odprawiam ją wzrokiem, czekam też, żeby Xander, skoro już jej tu nie ma, jakoś naprawił to złe wrażenie. Mógłby powiedzieć, że jego kuzynka to napszona snobka (na to właśnie wygląda). Niczego takiego nie robi. Podsuwa mi za to łokieć i proponuje:

– Usiądźmy.

Prowadzi mnie prosto do Lucasa, mówię więc:

– Scarlett mówiła chyba, że powinniśmy ich unikać.

– Przez cały wieczór by się nie dało. Mamy wyznaczone miejsca, a ja jestem głodny.

– Cześć, Caymen. – Lucas wstaje i obejmuje mnie jedną ręką. – Nie sądziłem, że się tu dziś zjawisz. Postanowiłaś w końcu zmierzyć się z nudą?

– No, właściwie... – Nie bardzo wiem, co powiedzieć. Jeszcze nie wyszłam z szoku po tym, co właśnie usłyszałam od Scarlett i Xandra. Lucas wskazuje dziewczynę siedzącą na prawo od niego.

– Poznajcie się, to jest Leah.

Leah nie wstaje, ale się do mnie uśmiecha.

– Miło mi.

Xander podsuwa mi krzesło, siadam więc bezwolnie.

– A gdzie Samuel? – pyta Xander, rozglądając się. Na lewo od nas, przy dwóch pustych krzesłach, są kartoniki z imionami.

– W drodze.

Samuel pojawia się niespełna pięć minut później i wóczas, zupełnie jak na lotnisku z Lucasem, Xander ściska się z nim, jakby nie widzieli się od wieków.

Dołącza do nich Lucas. Potem Samuel przedstawia swoją partnerkę i wymieniamy uprzejmości.

– Samuelu – mówi Xander, kładąc dłoń na dolnych partiach moich pleców.

– To Caymen Meyers.

– Ta Caymen Meyers? – Na twarzy tamtego pojawia się wielki uśmiech, a mnie zdumiewa, jak bardzo bracia różnią się od siebie. Xander swoją ciemną karnację zdecydowanie odziedziczył po tacie, jego bracia są jaśniejsi, jak ich mama.

– Tak wiele o tobie słyszałem – oznajmia Samuel.

– Współczuję.

Wszyscy siadamy, a Samuel podnosi pusty kieliszek i kiwa na przechodzącego kelnera, który zaraz go napełnia.

– A więc, Caymen, jesteś spokrewniona z Meyersami od SCM Pharmacy? Szykuję się, żeby zaprzeczyć, ale ubiega mnie Xander.

– Tak, to jej dziadkowie. Mamy ich dzisiaj na liście gości. – Rozgląda się. – Jeszcze nie dotarli, ale jak tylko się pojawią, zmuszę Caymen, żeby mnie im przedstawiła.

Samuel kontynuuje temat:

– Mój tata darzy twojego dziadka ogromnym szacunkiem. Mówi, że człowiek zdolny czerpać takie zyski ze sklepów średniej wielkości, musi być geniuszem. Sam chciałbym mieć taką głowę do interesów.

Jestem zbyt oszołomiona, żeby zebrać myśli. Czy to dlatego rodzina Xandra tak idealnie mnie przyjmuje? Bo on udaje, że jestem bogata?

## Rozdział 36

**J**a nie mam dziadków.

Lucas i Xander wybuchają śmiechem, a potem Lucas pyta:

– Skoro ona mówi coś takiego z całkiem poważną miną, to skąd wiesz, Xander, kiedy żartuje?

– Ona zawsze żartuje.

Samuel uśmiecha się, a potem mówi:

– Dopóki Xander mi nie powiedział, nie wiedziałem, że Meyersowie mają tu jakichś krewnych.

Xander kiwa głową.

– Ja też nie wiedziałem, dopóki nie powiedziała mi tego babcia.

To nie ma najmniejszego sensu. Pani Dalton musiało się coś pomylić. Skąd jej przyszło do głowy, że jestem spokrewniona z tymi superbogatymi Meyersami? Tylko dlatego, że nosimy to samo nazwisko?

Przełykam ciężko ślinę i przyglądam się otaczającym nas stolikom. Potem wgapiam się w drzwi, obserwując wchodzących. W pewnym sensie zażartowałam, że nie mam dziadków. Bo mam, i to dwa zestawy. Tyle że ich nie znam. Rodzice mamy wyrzekli się jej, kiedy zaszła w ciążę. A rodzice taty zapłacili jej za trzymanie buzi na kłódkę. Wredniejszych dziadków ciężko sobie wyobrazić. Mama nosi nazwisko Meyers, ale jest ono pospolite. Niemożliwe, żeby była spokrewniona z tymi Meyersami od SCM Pharmacy. To tylko zbieżność nazwisk. Patrzę na drugi koniec sali, na panią Dalton. A słodka pani Dalton się do mnie uśmiecha.

Wszyscy przy stole wpatrują się we mnie i uświadamiam sobie, że ktoś mnie o coś zapytał.

Podskakuję, bo jakaś ręka łapie mnie za kolano. Opuszczam wzrok i wędruję po niej spojrzeniem aż po ramię Xandra i jego pełne niepokoju oczy.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

– Nie... Tak... Muszę tylko skorzystać z łazienki.

– Za tymi drzwiami i na prawo. – Podnosi się, pokazuje mi drogę, a potem całuje w policzek. – Tylko nie zwiej przez okno ani nic takiego. Zaraz się zacznie supernudne przyjęcie. Nie chciałabyś go przegapić.

Próbuję się roześmiać, ale bezskutecznie. Łazienka przynosi mi oczekiwaną ulgę, zamykam się więc w jednej z kabin i staram się ogarnąć, co się właściwie dzieje. Xander myśli, że jestem bogata. Sądzi, że pochodzę z bogatej rodziny. To dlatego jego tata, słysząc, jak się nazywam, od razu mnie zaakceptował, a bracia traktują mnie jak kogoś równego sobie. Zbiera mi się na płacz, tłumię go więc ręką.

– Bogaci chłopcy to głupki – mówię, zmuszając się do tego, by rozbudzić w sobie złość, bo nie mogę dać się teraz zranić. Muszę przecież wrócić do domu z godnością.

Zbieram się więc do wyjścia z łazienki i już prawie jestem przy drzwiach, kiedy otwierają się one z takim impetem, że ledwie udaje mi się uskoczyć.

– Przepraszam – rzuca jakaś dziewczyna, przebiegając obok mnie. Dopada do umywalki i zaczyna trzeć płamę na białej bluzce. Jedno spojrzenie na jej czarną spódniczkę uświadamia mi, że to kelnerka. Jest bliska łez.

– Wszystko w porządku?

– Zachlapałam bluzkę czerwonym winem i nie wiem, czy to zejdzie. – Trze jeszcze mocniej, a potem sięga do podajnika z mydłem. – Szef odeśle mnie do domu.

– Czekaaj, nie bierz mydła. Mam coś innego. – Sięgam do torebki i wyjmuję



buteleczkę wody utlenionej. W naszym sklepie lalki rzadko się brudzą, ale co jakiś czas się zdarza, że jakiś dzieciak, któremu lepią się ręce, lub jakiś amator kawy narobi trochę szkód. Ta woda czyni cuda. Skrapiam nią bluzkę dziewczyny, a potem wycieram do sucha ręcznikiem wziętym z blatu. – Sama zobacz. Magia.

Przygląda się, a potem chwyta mnie w ramiona. Zaraz jednak przychodzi jej chyba do głowy, że nie powinna spoufalać się z gośćmi, bo się odsuwa, cała czerwona.

– Przepraszam. To tylko... Ogromnie dziękuję.

– To tylko odplamiacz.

– I tak jestem wdzięczna.

– Miło mi.

Po raz ostatni spogląda na swoją czystą już bluzkę.

– Lepiej wróć do pracy.

– Lepiej tak.

Wychodzi, a ja opieram się o wyłożoną kafelkami ścianę. Jej „katastrofa” na chwilę zaprzętnęła moją uwagę, nie wymazała jednak tego, co czeka na mnie za drzwiami. Muszę się stąd ulotnić. Kiedy powiem Xandrowi prawdę, nie będę mogła spojrzeć mu już w oczy. Kieruję się znów na salę balową i w holu o mało nie przewracam kobiety z zestawem słuchawkowym, trzymającej podkładkę z przypiętymi kartkami.

Już zaczynam ją mijać, ale jednak się zatrzymuję.

– Pani jest organizatorką tego balu?

Uśmiecha się, bo właśnie tak nauczyła się odnosić do gości, widzę jednak w jej oczach wyraźne oznaki napięcia. Przypuszcza zapewne, że chcę się na coś poskarżyć.

– Tak, w czym mogę pomóc?

– Xander Spence mówił, że są tu moi dziadkowie, ale nigdzie ich nie widzę.

Mogłaby pani powiedzieć, przy którym stoliku siedzą? Meyersowie. – Wskazuję jej notatki, na wypadek gdyby nie wiedziała, jak rozlokowano gości.

– Oczywiście. – Wertuje kartki, przesuwa palcami po jednej ze stron, a potem ogłasza: – O, są tutaj. Stolik trzydziesty. Proszę za mną.

– Dziękuję pani.

Mam wrażenie, że idę pod wodą. Moje nogi poruszają się w zwolnionym tempie, głowę rozsadza mi ciśnienie. Zaraz po wejściu na salę cofam się pod najbliższą ścianę, ona także.

– Tam są. Pani w turkusowej sukni.

W ślad za jej palcem celuję wzrokiem w damę w turkusach.

– Tak. To ona. Dziękuję.

– Proszę bardzo. – Organizatorka imprezy odchodzi szybko, prawdopodobnie w odpowiedzi na głosik, który, jak słyszę, wydziera się w jej uchu.

Siedzą tyłem do mnie, dama w turkusach ma ciemne włosy sięgające ramion, a mężczyzna obok niej dystyngowaną siwiznę. Trzymam się skraju sali i powoli ją obchodzę, czekając na ten moment, gdy ujrzę ich twarze. W końcu do tego dochodzi. Liczę, że z miejsca ich rozpoznam, że coś gwałtownie poczuje. Nic takiego się jednak nie dzieje. Jakiś ciężar spada mi z ramion.

Kobieta podnosi wzrok i nasze spojrzenia się spotykają. Jej mina sprawia, że znów czuję brzemień, cięższe jeszcze przynajmniej o dwie tony – poznaje mnie. Jej usta układają się w słowo „Susan”. Widzę to nawet z miejsca, w którym stoję. Imię mojej mamy w jej ustach sprawia, że twarz mnie pali.

Pani Dalton się nie myliła. Ci Meyersowie to moi dziadkowie.

Dama łapie męża za ramię, a on patrzy na nią zdezorientowany. Nie czekam na to, jak rozwinie się sytuacja. Odwracam się na pięcie, żeby dać nura za drzwi... i wpadam prosto na Xandra.

– Tu jesteś. Właśnie podano przystawki. Kawior i krakersy z grecką sałatką. Lubisz kawior?

– Nie wiem. Nigdy jeszcze nie jadłam. – Dociera do mnie, co miał na myśli, mówiąc dziś o tym, że moja mama jest hardkorowa i o „mieszkaniu nad sklepem z lalkami”. Uważa, że moja mama zamieszkała tam z wyboru. Żeby mi pokazać, jak żyją ci inni. Ja też teraz pojmuję, że coś w tym jest. Moja mama wyrosła w bogactwie, to dlatego wie o wiele więcej, niż można by się spodziewać, o zaletach i wadach życia w dostatku. Moja mama...

Okłamała mnie. Moje życie to kłamstwo. Nie, jej życie jest kłamstwem. Moje jest prawdziwe. Bankrutujemy. Żyjemy na styk. Od upadku sklepu dzieli nas tyle, co nic.

– Co się stało? Co ja zrobiłem? – pyta Xander.

Z oczu strzelają mi chyba promienie śmierci, taka jestem wściekła.

– Spodobałam ci się tylko dlatego, że myślałeś... – Nie kończę tego zdania. Za bardzo jestem zła. Nie tylko na niego. Na wszystko. Na moją mamę, na całą tę sytuację, na dziadków, których nawet nie znam. – Muszę już iść.

Kiedy się odwracam, widzę za sobą kolejną znajomą twarz. Taką, której nie miałam wcale ochoty widzieć. Robert. Na jego widok żałuję, że poprzednim razem nie udało mi się oblać go colą.

Xander chwyta mnie za łokieć.

– Zaczekaj. Porozmawiajmy.

– Nie wydaje mi się, żebym zapamiętał twoje nazwisko – mówi Robert.

– Bo go nie podawałam – warczę.

– A gdzie jest dziś twój chłopak? Mason, zgadza się? Całkiem nieźle śpiewa.

Xander zaciska dłoń na moim łokciu.

– Robert, nie pora teraz na to.

– Po prostu w zeszłym tygodniu widziałem ją na koncercie. Nie wiedziałem,

że są z Masonem parą.

– Nie jesteśmy – mówię.

– Co chcesz powiedzieć? – Xander cofa rękę z mojego ramienia.

– Świata poza sobą nie widzieli.

– Nie. Nieprawda. – Kątem oka widzę, że zbliża się do nas moja babka. –

Muszę już iść.

– Caymen. – Po oczach Xandra widzę, że go ranię, ale sama też czuję się zraniona. I zbyt obolała, żeby myśleć. Za bardzo, żeby się teraz bronić przed tym jego durnym kolegą. Chcę się stąd tylko wydostać.

I właśnie to robię.

## Rozdział 37

**K**iedy wchodzę do sklepu, miotają mną sprzeczne uczucia. Jedno to bezgraniczna złość na mamę, że przez całe moje życie we wszystkim mnie okłamywała. Drugim jest dojmujący ból złamanego serca, taki, że mam ochotę rzucić się mamie w ramiona i powiedzieć jej, że nie myliła się co do bogaczy i że musi teraz ukoić moje cierpienie.

Tkwi za kasą jak słup soli, jakby na mnie czekała. Światła są pogaszone, tylko kilka półek jest podświetlonych. Twarz mamy ma w sobie niewiele więcej życia niż liczka otaczających ją lalek.

- Przepraszam – mówi. – Byłam niesprawiedliwa.
- Widziałam ich tam dzisiaj – chrypię. Gardło wciąż mnie boli.
- Kogo?
- Twoich rodziców.

Szok i potem rozpacz sprawiają, że na jej twarzy pojawia się skurcz, potem opiera się czołem o ladę. Za bardzo absorbuje mnie żal nad samą sobą, żeby jej teraz współczuć. Przechodzę obok niej, a potem idę schodami do mojego pokoju, upewniając się, że dobrze zamykam drzwi.

W życiu widziałam wiele potłuczonych lalek. Jedne z uszkodzeniami nie większymi niż odłamany palec, inne pozbawione kończyn lub z popękkanymi głowami. Nic z tego nie może się jednak równać z tym, jak sama jestem teraz rozbita. I to ze swojej winy. Zawsze przecież wiedziałam, że on należy do całkiem innego gatunku. Czemu sobie wyobrażałam, że również mogłabym tam pasować?

Przebieram się w jakieś dresy, potem kulę na łóżku i wreszcie daję upust łzom gromadzącym się pod powiekami, pozwalając sobie na szloch.

Słyszę ciche pukanie do drzwi i je ignoruję. To nie powstrzymuje jej od wejścia. Czemu by miało? Wyraźnie przecież nie liczy się z moimi uczuciami. Znów duszę w sobie łzy i staram się opanować oddech. Siada za mną na łóżku.

– Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego ukrywałam przed tobą prawdę o moich rodzicach. Coś we mnie obawiało się chyba, że zapragniesz żyć tak jak oni. Że nie będę ci w stanie zapewnić aż tyle, a ty będziesz zazdrościć im tego, co twoim zdaniem ci się należy.

Gdyby zostawiła mnie z w spokoju, może trzymałabym wszystko w sobie, ale palący mnie ogień wyrywa się z mojego gardła.

– Czemu ich porzuciłaś? – Podnoszę się, by usiąść prosto. – Co takiego zrobili?

– Caymen, to nie tak. Oni naprawdę wyrzucili mnie z domu. I wydziedziczyli. Tego nigdy nie ukrywałam. Ale jednego żałuję. Naprawdę. Mogłam być bardziej otwarta. Czułam złość, byłam urażona i zbyt dumna, by słuchać moich rodziców. Nawet jeśli chcieli to naprawić, nie dałam im szansy. Po prostu zniknęłam.

– A ja przez ciebie czułam się okropnie z tym, że ukrywam sprawę Xandra. Przez ciebie czułam się nic niewarta. Miałam wrażenie, że pani Dalton i jej rodzina mnie nienawidzą.

– Ogromnie cię przepraszam.

– Pani Dalton wie, kim jesteś? Bo czegoś tu nie rozumiem.

– Wie, co przeżyłam, ale nie przypuszczałam, że zna moich rodziców. Widocznie cały czas to przede mną ukrywała.

– Nie wiem jeszcze, czy kiedyś ci znów zaufam. Jestem wściekła.

– Rozumiem. Mam nadzieję, że zaufasz, ale to rozumiem.

– Wracając do Xandra. Nie jest ideałem, ale był troskliwy i dobrze mnie

traktował, a ty nawet nie chciałaś dać mu szansy. Nie jest jak mój tata. A ja nie jestem tobą. Nie zamierzam zająć w ciążę i nawiać.

Mama kiwa głową.

– Wiem.

Nagle łapie się za brzuch i gwałtownie nabiera tchu.

– Co ci jest?

– Nic. Wszystko dobrze. Potrzebuję tylko... – Wstaje trochę chwiejnie, potem opiera się o ścianę.

Ja też się podnoszę.

– Nie najlepiej wyglądasz.

– Powinnam się położyć. – Zatacza się i przytrzymuje oparcia swojego krzesła.

– Mamo. Coś ci dolega.

Znów łapie się za brzuch i wybiega z mojego pokoju.

Idę za nią prosto do łazienki, gdzie ledwie zdążyła dopaść do umywalki, żeby wymiotować. Umywalkę plami jasna czerwień.

– Mamo! Czy to krew?

Wyciera usta, rozmazując krew na nadgarstku. Kaszle.

– Zdarzyło się to już wcześniej?

Kiwa głową.

– Okej. Jedziemy do szpitala. Natychmiast.

\* \* \*

Chodzę po korytarzu, czekając, aż lekarz powie mi, co się dzieje. Jestem tu już od dwóch godzin. Kiedy w końcu wychodzi, ledwie trzymam się na nogach. Rozgląda się, a gdy się dziwię, na co właściwie czeka, pyta:

– Jesteś sama?

– Sama? – Nie rozumiem tego pytania.

– Ktoś jeszcze jest z tobą?

– Aha. Nie. Jestem sama. – Źle się z tym czuję. Może trzeba było zadzwonić do Matthew. Powinien tu być. Ma prawo wiedzieć. Obiecuję sobie, że poszukam jego numeru i zatelefonuję do niego zaraz po rozmowie z lekarzem.

– Proszę powiedzieć, jak się czuje moja mama.

– Już jej lepiej. Robimy badania, pewne rzeczy staramy się wykluczyć. Daliśmy jej coś, co pomoże jej zasnąć.

– A... hm... – Nie wiem, jak to powiedzieć. – Z dzieckiem wszystko w porządku?

– Z dzieckiem? – Robi wielkie oczy i zagląda do notatek. – Powiedziała, że jest w ciąży?

– Nie. Tak mi się jakoś wydawało.

– A więc nie jest. Ale przeprowadzimy dodatkowe badania, żeby to wykluczyć.

Wstyd mi za to, że odczuwam cień ulgi. To uczucie nie trwa jednak długo, bo skoro ciąża została prawie całkiem wykluczona, mamie musi dokuczać coś znacznie poważniejszego. Niepokój całkiem wypiera zawstydzenie.

– Jest chora? – pytam zdławionym głosem.

– Tak, i staramy się ustalić przyczynę choroby. Dobra wiadomość jest taka, że wykluczaliśmy pewne poważne sprawy. – Poklepuje mnie po ramieniu, jakbym dzięki temu mogła lepiej przyjąć to, co mówi. – Wkrótce będziemy już coś wiedzieć.

– Mogę się z nią zobaczyć?

– Zasnęła i na razie musi tak zostać. Obiecuję, że przedzwonię do ciebie, jak tylko zacznie się budzić. – Milknie i znów się rozgląda. – Naprawdę nie powinnaś być teraz sama.

Ale jestem sama. Poza matka nie mam nikogo.

– Nie mam komórki.



– Pod jakim numerem można by cię więc złapać?

Tyle razy w życiu martwiło mnie, że w odróżnieniu od wszystkich innych znanych mi nastolatków nie mam telefonu komórkowego. Ale teraz, gdy marzę tylko o tym, by nie ruszać się z poczekalni i zasnąć na tej przedpotopowej kozetce, po raz pierwszy czuję, że jest mi niezbędny do życia.

Może powinnam pójść do Skye. Ale jeśli jej nie zastanę? Poza tym do jej domu mam dziesięć minut dalej niż do sklepu. A dodatkowe dziesięć minut odległości od szpitala nie wchodzi w rachubę. Podaję więc numer do sklepu i wychodzę.

Czym prędzej tam wracam, a potem idę na górę, żeby czekać przy telefonie. To mi jednak nie służy. Muszę czymś zająć myśli. W sklepie zawsze jest coś do roboty. Przez te wszystkie lata mieszkania nad sklepem z lalkami nigdy dotąd nie odkurzałam półek o pierwszej w nocy. Kiedy docieram do okna wystawowego, regały pod jedną ze ścian lśnią, a ja spływam potem.

Zabieram się do kolejnej ściany. Jakoś tak w połowie drugiej półki natrafiam na plakietkę, nad którą brakuje lalki. Carrie. Przeszukuję półki, ale jej tam nie ma. Pewnie mama ją dzisiaj sprzedała i zapomniała przełożyć karteczkę z imieniem do szuflady, gdzie by czekała na nasze następne zamówienie.

Tyle że nie musimy zamawiać Carrie. Ma wzięcie. Wiem, że zostały nam w zapasie jeszcze przynajmniej dwie sztuki. To śpiący bobasek, noworodek, uosobienie spokoju. Wszyscy ją uwielbiają. Nawet ja uważam, że jest urocza, a to już swoisty cud, jeśli wziąć pod uwagę, że przeważnie na widok tych lalek przechodzą mnie ciarki.

Idę na zaplecze. Na drugiej półce, jedno obok drugiego, leżą trzy pudełka z wypisanym na krótszym boku imieniem „Carrie”. Ta półka jest na tyle nisko, że mogę jej dosięgnąć bez pomocy, więc ściągam jedno z pudełek. Po jego wadze od razu poznaję, że jest puste, ale i tak w nim grzebię, potwierdzając to

swoje odczucie. Łapię za następne pudełko. Puste. Zdejmuję wszystkie, nie zważając już na imiona. Wkrótce potem podłoga zasłana jest styropianowymi chrupkami, ale nie ma tam nawet jednej lalki.

Wiem już, ile czasu trzeba na oczyszczenie całej ściany z pudełek i ich przekopanie. Czterdzieści pięć minut. Osuwam się na podłogę i opieram czoło o kolana. Zawsze myślałam, że odejmuję mamie tego brzemienia, robię w sklepie więcej, niż do mnie należy, dbam, żeby był w nim ruch, ale teraz wyraźnie widać, że dźwigała to sama. Czemu mama nie chciała się tym dzielić?

Ja robię to samo.

Biorę z półki telefon bezprzewodowy i wybieram numer.

Słyszę cztery dzwonki.

– Słucham? – odzywa się zaspany głos.

– Jesteś mi potrzebna.

## Rozdział 38

**K**iedy Skye wchodzi do sklepu, zatyka ją.

– Co tu się stało?

– Wszystko rozpirzyłam.

Siada na kanapie i poklepuje poduszkę obok siebie. Przysuwam się, kładąc głowę na jej kolanach. Bawi się moimi włosami, zaplata warkoczyk i go rozplata.

– Jestem okropna. Myślałam, że nie przeżyję tego, że mama znów jest w ciąży. Ale dopiero teraz czuję się tak, jakbym umierała.

– Powiedz, co się dzieje.

– Moja mama jest chora. Leży w szpitalu. Nie pozwolili mi tam zostać.

– A więc nie jest w ciąży?

– Nie.

– O co więc chodzi z tym Matthew?

– Sama nie wiem. Może ze sobą chodzą. Powinnam go powiadomić czy nie?

– Głowa mi pęka. – Nie mam do niego numeru.

– Tym się nie przejmuj. Twoja mama z tego wyjdzie. Jutro będzie mogła sama zadzwonić do tego Matthew.

Kiwam głową.

Skye kilkakrotnie przeciąga mi dłońią po włosach.

– A gdzie jest Xander? Pognał może, żeby przywieźć ci jedzenie?

Zaciskam powieki, nie chcąc myśleć o wcześniejszej, też strasznej, części tego wieczoru.

- Z nim już koniec.
- Co takiego? Czemu?
- Skye, on myślał, że jestem bogata. Tylko to go do mnie ciągnęło. Dziewczyna krztusi się i poprawia na kanapie.
- Hm... Bez obrazy, ale przecież był tutaj, prawda? Czemu miałyby uważać, że jesteś bogata?
- Ponieważ zna moich dziadków. Rodziców mamy. A wygląda na to, że oni należą do najbogatszych ludzi w całej Kalifornii.
- Co?
- Byli dziś na tym balu dobroczynnym.
- Łał. To jakieś szaleństwo. Podnoszę się tak, żeby usiąść.
- Obłąd, prawda? Powinna być wściekła. Na mamę. Na Xandra.
- Wściekasz się na Xandra, bo masz bogatych dziadków?
- Nie. Bo tylko to mu się we mnie podobało.
- Tak ci powiedział?
- Właściwie to nie. Ale... – Przesuwam dłońmi po twarzy. – Ale skąd miałybyśmy wiedzieć, czy tak nie jest? Jeśli nawet zapewni, że i tak by się ze mną widywał, nigdy już tego nie sprawdzimy, bo teraz już niczego nie da się dowieść.
- Skye oburącz bierze mnie za rękę.
- Nie wszystko wymaga dowodów. Może po prostu powinnaś mu zaufać.
- A jeśli chodzi o moją mamę? Jej też mam zaufać? Skoro całe życie mnie okłamywała? Jestem wściekła. Do tego mam do siebie pretensje za tę wściekłość, bo przecież jest chora. – Znow padam na kanapę i gapię się w sufit.
- Rozumiem. Też bym była wściekła. Ale nie uważasz, że zasługują na to, żeby wiedzieć, że jest chora?

– Kto?

– Jej rodzice.

Przytakuję. Wiem, że ma rację.

– Zadzwoń jutro do Xandra i weźmiesz dla mnie namiary na nich?

– Nie chcesz z nim gadać?

Wciskam dłonie w oczy.

– Nie. I nie mów mu, proszę, co się dzieje z moją mamą. Ostatnie, czego potrzebuję, to żeby zaczął mi współczuć i odwiedził mnie z poczucia winy.

– Dobra, pewnie, że załatwię dla ciebie te namiary. – Przenosi się na podłogę i opiera głowę o kanapę, obok mojej. – Może spróbujesz się przespać? Podyzuruję za ciebie przy telefonie.

– Nie zasnę.

– Chcesz, żeby przyszedł tu Henry? Mógłby pograć na gitarze. Może to cię trochę rozerwie.

– Jest wpół do czwartej nad ranem. Nie sądzisz, że śpi?

Skye spogląda na telefon, który potwierdza tę godzinę.

– Pewnie nie. To nocny marek.

– Myślę, że noc trwa do drugiej. Jest więc chyba rannym ptaszkiem.

– Czemu noc miałaby się kończyć o drugiej?

– Nie wiem. Tylko do tej godziny jestem zwykle na nogach, więc to musi być koniec nocy.

Śmieje się i puszcza SMS-a.

– Jeśli odpowie, to jest na chodzie, jeżeli nie, to śpi.

– Łał, oto wybitnie naukowa metoda ustalania, czy ktoś nie śpi.

Na żarty stuka mnie w głowę.

– Cieszę się, że twój sarkazm ma się dobrze.

\* \* \*

Tak jakoś nad ranem dochodzę do wniosku, że Henry to fajny koleś. Cieszę się, że Skye umiała tyle w nim dojrzeć. Zасыpiam przy dźwiękach jego gitary.

Kiedy otwieram oczy, widzę Skye po przeciwnej stronie pokoju, z telefonem w ręce. Momentalnie przytomnieję, zrywam się z kanapy i o mało nie potykam o Henry'ego, który zasnął na podłodze. Skye zauważa mnie i macha ręką, kręcąc jednocześnie głową. Potem bezgłośnie informuje: „Xander”, momentalnie więc robię w tył zwrot i padam na kanapę. Oby bez większych problemów wydobyła od niego namiary na dziadków, a wtedy będzie mógł wymazać mnie za swojego życia.

– Nie – mówi Skye. – Ona śpi.

Która w ogóle godzina? Sięgam po rękę Henry'ego i przekręcam zegarek na jego nadgarstku, żeby zobaczyć tarczę. Dziesiąta trzydzieści. Łał, zaliczyłam co najmniej pięć godzin snu. Tylko dlaczego wciąż czuję się tak, jakby ktoś przywalił mi w twarz kijem bejsbolowym? I czemu Skye wisi jeszcze na telefonie? Ile czasu zajmuje spisanie numeru i adresu?

– Xander, proszę – słyszę. Jest za miła. Ja bym już miała ten numer. Może, skoro i tak czekam, powinnam zadzwonić do szpitala. Rozglądam się za telefonem i wtedy dociera do mnie, że Skye przez niego gada. Czemu nie skorzystała ze swojej komórki? Co, jeśli szpital próbuje się teraz do mnie dodzwonić? Moja złość na Xandra wraca z całą mocą.

– Nie – wzdycha Skye, o wiele za słodko. Już mam wstać i zabrać jej ten telefon, kiedy mówi: – Dziękuję – i zapisuje coś na trzymanej w ręce kartce. – Tak. Oczywiście, przekażę. – Rozłącza się.

– Co przekażesz?

– Że chciałby z tobą porozmawiać.

– Dobrze wiedzieć. Tylko że ja nie chcę z nim gadać.

– Wiem. – Podaje mi kartkę, a potem siada przy Henrym, przejeżdżając mu dłonią po policzku. – Henry. Pobudka.

Ja kopię go w nogę i zaraz się zrywa.

– Czasem, Skye, trzeba być nieco bardziej natarczywą.

Przewraca oczami, ale się uśmiecha. Rzeczywiście, przydałoby jej się czasem być bardziej natarczywą, ale za nic w świecie nie zamieniłabym mojej przyjaciółki na nikogo innego.

\* \* \*

Godzinę później stoję w szpitalnej poczekalni, czekając na to, żeby ktoś mi pomógł. Nikt nie zadzwonił, ale po tym, jak Skye musiała pójść do pracy, a ja skontaktowałam się z rodzicami mamy i wszystko im przekazałam, nie byłam w stanie dłużej czekać. Rejestratorka w końcu odkłada słuchawkę i mówi:

– Leży w pokoju trzysta pięć. Proszę pojechać windą na trzecie piętro. Tam wystarczy zadzwonić i ktoś wpuści panią na oddział.

– Dzięki.

Niepokoję się. Chcę jak najszybciej zobaczyć mamę. Wiem, że jeśli ją ujrzę, poczuję się lepiej. Większość złości przeszła mi już w zamartwianie się, trochę jednak jeszcze tu i ówdzie zalega i tego też chcę się pozbyć. Gdy już jestem w sali i widzę jej twarz, bladą, ale spokojną, z miejsca oddycham z ulgą. Przysuwam do łóżka krzesło i zmuszam się do tego, by wziąć ją za rękę.

– Hej, mamó – szepczę. Ani drgnie.

Nie wiem, jak długo tam siedzę, trzymając ją za rękę (godzinę? dwie?), ale w końcu pojawia się lekarz i gestem wywołuje mnie na korytarz.

– Przepraszam, że wieczorem nie pozwoliłem ci się zobaczyć z mamą, ale położyliśmy ją na dole, a tam sale są wspólne i o wiele trudniej przyjmować w nich gości. W nocy jednak przenieśliśmy ją tu, na górę.

– Wiadomo już, co jej jest?

– Jeszcze czekamy na kilka badań. Czy twoja mama bywała ostatnio

przemęczona?

– Tak.

Kiwa głową, jakby się tego spodziewał.

– Mam pewną teorię, ale będziemy jeszcze musieli wprowadzić jej sondę do żołądka, żeby się tam rozejrzeć. USG niewiele wykazało, a chciałbym się temu przyjrzeć bliżej.

– Okej. Czy to niebezpieczne?

– Nie. To rutynowa procedura o minimalnym stopniu ryzyka, która może nam dostarczyć konkretnych odpowiedzi.

– Wie już o tym?

– Jeszcze się nie wybudziła. – Widzi chyba na mojej twarzy przerażenie, bo szybko dodaje: – To żaden powód do niepokoju. Środek nasenny powinien niedługo przestać działać. Wtedy z nią porozmawiamy, wy też będziecie mogły pomówić. A jeśli się zgodzi, to pierwszą rzeczą jutro rano będzie właśnie to badanie.

– Mogę tu teraz zostać?

– Oczywiście. Jak powiedziałem, twoja mama ma teraz salę tylko dla siebie, spokojnie możesz więc zostać. A nawet przespać się tutaj, jeśli będziesz chciała.

– Dziękuję.

Kiedy już mam ponownie wejść do sali mamy, widzę wychodzących zza rogu dziadków. Czemu mama nie może się obudzić i się nimi zająć? Dla mnie ci ludzie są obcy. Rozcieram sobie ramiona, a potem lekko do nich macham.

– Caymen, prawda? – mówi... pani Meyers? Babcia? Ta kobieta.

– Tak. Dzień dobry, jestem Caymen.

Na moment zakrywa usta, bo właśnie nabiera tchu.

– Wyglądasz całkiem jak twoja matka w tym wieku. – Dotyka mojego policzka. – Tyle że oczy masz po ojcu. Jesteś taka piękna.



Przestępuję z nogi na nogę. Jej towarzysz mamrocze coś do niej pod nosem, a potem wyciąga do mnie rękę.

– Cześć. Ja jestem ten obcy, a to jest ta obca. Zrobiło się zręczniej?

Nawet się uśmiecham.

– Jedyne, przez co mogła poczuć się niezręcznie, to twoje pokręcone poczucie humoru, Sean. Kochanie, on żartuje.

– Wiem. – Czy poczucie humoru może być dziedziczne? Wskazuję drzwi. – Jeszcze się nie obudziła, ale możecie ją zobaczyć, zapraszam.

Kobieta bierze kilka głębokich wdechów, a potem kilka szybkich.

– Załatwić ci butlę z tlenem, Vivian, czy dojdiesz do siebie? Jakaś zapasowa na pewno gdzieś się tu wala.

Kobieta szturcha go w pierś.

– Daj mi chwilę. Od siedemnastu lat nie widziałam mojej córki, a teraz zobaczę ją w szpitalnym łóżku. Muszę się z tym oswoić.

– Lekarz uważa, że wie, w czym problem, i mówi, że ona... – Chcę powiedzieć, że „wyjdzie z tego”, uświadamiam sobie jednak, że akurat tego nie powiedział. Może nie wyjść.

– Caymen – odzywa się Sean – możesz mnie skierować do tego lekarza? Mam do niego parę pytań.

– Pewnie. Akurat tam stoi, rozmawia z pielęgniarką.

– Dziękuję. Wejdźcie beze mnie. Za chwilę do niej przyjdę.

Oddała się, a Vivian zatrzymuje się przed drzwiami, znowu oddychając w ten swój dziwny sposób.

– Powinna pani wejść tam sama. Ja tu trochę poczekam – doradzam jej.

Kiwa głową, ale poza tym ani drgnie.

Otwieram drzwi i dopiero to wprawia ją w ruch. Czy mama się wkurzy, gdy po obudzeniu zobaczy, że siedzi przy niej jej matka? Biorąc pod uwagę, jak bardzo wczoraj w sklepie poruszyła ją wzmianka o jej rodzicach, mam

wrażenie, że od dawna pragnęła tego spotkania.

Wędruję spojrzeniem w głąb korytarza, gdzie Sean nadal rozmawia z lekarzem. Cieszę się, że jest przy mnie ktoś, kto zajmie się ważniejszymi sprawami. Jeżeli Sean ma taką głowę do interesów, jak przedstawiał to Xander i jego bracia, wiem, że sobie z tym poradzi.

Moi dziadkowie są bogaci. Niesamowite.

Sean jest już ponownie przy mnie.

– Jak sądzisz, ile czasu jej trzeba na nadrobienie siedemnastu lat zaległości?  
– pyta, patrząc na zegarek. – Myślisz, że dziesięć minut wystarczy?

Uśmiecham się.

– Mama śpi, więc to prawdopodobnie trochę skraca ten czas.

Sean wypuszcza powietrze przez zęby.

– Nie, Vivian jest wystarczająco dobra w kłótniach z samą sobą. – Odwraca się do mnie. – Pewnie więc musimy je zostawić same na dłużej. Jadłaś już?

– Pan nie chce jej zobaczyć? Nie widział jej pan od siedemnastu lat.

– Ciebie również nie widziałem od siedemnastu lat.

Oczy mnie szczypią, a obraz mi się rozmazuje, ale mruganiem powstrzymuję łzy.

– Mam chyba trochę czasu, żeby to nadrobić, prawda? Dziesięć minut wystarczy?

– Myślałam o pięciu, ale przekonamy się, jak to będzie.

Uśmiecha się.

– Rzeczywiście jesteś moją wnuczką.

## Rozdział 39

**R**eszta dnia upływa mi na oglądaniu, jak bezgraniczna radość mamy zmienia się w złość, a potem szloch w łzy radości. To istna karuzela i lekarz nie jest tym zachwycony. Po południu wywała nas wszystkich, choć przecież obiecał, że będę mogła spędzić tam noc. Gdy mama się przed tym nie broni, dochodzę do wniosku, że musi odpocząć.

– Dobrze poszło – mówi na korytarzu Sean.

Vivian patrzy na niego z ukosa.

– Caymen, mieszkamy ładny kawałek stąd. Myślisz, że moglibyśmy zatrzymać się u was, dopóki twoja mama nie dojdzie do siebie?

– Jeśli to za duży kłopot, możemy zatrzymać się w hotelu – dodaje szybko Sean.

– Mieszkanko mamy naprawdę małe. Nie wiem, czy będzie wam wygodnie. Na pewno przywykliście do większych przestrzeni.

Sean wyrzuca ręce w górę.

– Viv, ona uważa, że jesteśmy rozpieszczeni. To nie do zniesienia.

– Skończ już – ucina Vivian. – Dla nas, jakkolwiek by było, będzie dobrze, kochanie. A ty co byś wolała?

Wolałabym, żeby zatrzymali się w hotelu, ale zabrzmiałoby to po chamsku, a może zresztą trochę towarzystwa mi się przyda.

– Możecie się zatrzymać u nas, nie ma problemu.

Kiedy idziemy na parking, Sean chrząka.

– A więc Xander Spence, he? Trochę za ładny jak na mój gust, ale dobrego

chowie.

– Na szczęście nie o twój gust tu chodzi – wtrąca Vivian. – Wygląda na całkiem miłego chłopca.

– Nie jesteśmy parą.

– Och. Zeszłego wieczoru mieliśmy inne wrażenie.

– To się zmieniło. I dobrze. – A więc o to chodzi z dziadkami. Że ma się więcej ludzi skorych do udzielania rad?

Vivian obejmuje mnie ramieniem.

– Nie chciałam tego mówić, kochanie, ale on i dla mnie jest za ładny.

Uruchamia się we mnie maszynka do obrony Xandra za wszelką cenę i mówię:

– Gdy się go lepiej pozna, jest... – Milknę. Już przecież nie muszę go bronić.

Vivian lekko ściska mi ramię.

– Długo były te dwadzieścia cztery godziny, prawda?

– Owszem.

\* \* \*

Widać, że według nich nasze mieszkanie jest małe. Choćby po tym, że Sean po otwarciu drzwi szafy ściennej w przedpokoju stanął jak wryty, bo myślał, że prowadzą one do dalszej części domu.

– Dla nas dwóch sporo tutaj miejsca, zresztą piętro niżej mamy cały sklep, jest się więc gdzie rozłożyć, jeśli tutaj robi się zbyt tłoczno.

Jeszcze za bardzo nie znam Vivian, wydaje mi się jednak, że obwinia siebie za to, jak mieszkamy. Ale powiedziałam to, co rzeczywiście myślę: pewnie, że mamy małe mieszkanie, zwłaszcza w porównaniu z wieloma innymi, ale dorastając, nigdy nie czułam, że mnie to ogranicza. Zawsze byłam szczęśliwa. Chyba dopiero ostatnio zaczęłam dostrzegać to wszystko, czego mi brakowało.

Vivian upiera się przy pójściu na zakupy, a potem wraca z taką furą jedzenia, że nie spałaszujemy tego przez miesiąc. Zabiera się do szukania w szafkach miejsca na wszystko, co kupiła. Potem zaczyna się wypytywanie.

– Chodzisz więc do ostatniej klasy, tak?

Przytakuję.

– A na jakie studia wybierasz się w przyszłym roku? – pyta niewinnie Sean, czytając etykietę na kupionej przez Vivian puszcze kukurydzy. Wyraźnie unika kontaktu wzrokowego, bo czego innego jak nie kukurydzy można się spodziewać w puszcze kukurydzy? Czyżby wyczuwał, że to dla mnie niezręczny temat?

– Nie jestem... – Chcę powiedzieć, że nie jestem pewna, ale nie mogę. I to nie dlatego, że wstydzę się to przyznać, ani z tego powodu, że muszę pomagać w sklepie. Odkrycie w nocy tych wszystkich pudełek na zapleczu uświadomiło mi, że żadna ze mnie pomoc. Mama musi sama określić potrzeby sklepu, a moje zaglądnienie jej przez ramię nijak jej tego nie ułatwi. Muszę wziąć się za siebie. – Myślę o studiowaniu nauk przyrodniczych. Nie jestem jeszcze pewna gdzie.

– Co zamierzasz robić, gdy otrzymasz dyplom? Interesuje cię medycyna?

– Nie, myślałam o kryminalistyce. Ale jeszcze nie wiem.

– Licencjat w tej dziedzinie daje szerokie pole do popisu. Otwiera całe mnóstwo kierunków działania. Możliwości są praktycznie nieograniczone.

Znów przytakuję.

– Zgadza się.

Dzwoni telefon, szybko więc odbieram, myśląc, że może to mama lub lekarz. Ale to inny mężczyzna.

– Czy jest Susan?

– Nie, nie ma. Czy coś jej przekazać?

– Możesz jej powiedzieć, że dzwonił Matthew?

– Matthew. Nie, to znaczy tak, mogę, ale jest w szpitalu.

Słyszę drwiący śmiech, który zbija mnie z tropu.

– To taki sobie teraz znalazła wykręt.

– Co takiego?

– Słuchaj, powiedz mamie, że jeśli ureguluje rachunki, przestanę do niej wydzwaniać.

– Pan jest windykatorem?

Sean patrzy na mnie.

– Niech do mnie oddzwoni.

Sean pokazuje mi gestem, żebym przekazała mu telefon, więc to robię. Wychodzi za drzwi, zamykając je za sobą. Dobrze jest mieć wsparcie.

## Rozdział 40

**M**ama mocno trzyma mnie za rękę.

– Lekarz powiedział, że to standardowe badanie, mamo. Nie ma się co denerwować.

– Od rana ani przez chwilę nie słyszałam w twoim głosie sarkazmu. Czyli według ciebie to poważna sprawa.

Śmieję się.

– Jestem za bardzo zmęczona, żeby stać mnie było na sarkazm, poza tym przez twojego tatę czuję się mniej oryginalna.

Uśmiecha się.

– Polubiłaś ich?

– Tak. – To wszystko, co mogę powiedzieć. Nie pora teraz na wyciąganie tego, że niepotrzebnie całe życie mnie okłamywała. Dziadkowie zdecydowanie nie są takimi potworami, jakich z nich zrobiła. Jakoś udało mi się zdusić w sobie złość.

– Wiem – mówi, najwyraźniej czytając mi w myślach. – Odebrałam ci ich. Podjęłam tę decyzję na swój użytek, ale nie miałam prawa decydować za ciebie. Ogromnie cię przepraszam.

Ściskam jej dłoń.

– Nadrobimy to, kiedy wydobrzejesz. Pora skończyć z tym odgrywaniem chorej. Zależało ci na odzyskaniu rodziców, ale mogłaś się zdobyć na coś mniej dramatycznego.

Znów się uśmiecha.

– No to nie umrę.

– Kocham cię, mammo.

– Ja ciebie też, dzieciaku.

Vivian i Sean już rozmawiali z mamą, zjeżdżam więc windą na parter, żeby do nich dołączyć w poczekalni. Ledwie wychodzę z za rogu, widzę, że nie są sami. Momentalnie rozpoznaję plecy Xandra, choćby po tym, jak nienagannie prosto je trzyma. Gdyby Vivian nie spojrzała na mnie, ledwie tam stanęłam, wycofałabym się tak, żeby mnie nie zauważył, on jednak odwraca się, widząc jej spojrzenie. Serce kołacze mi w piersi. I tak się jednak wycofuję i wychodzę przed szpital, w chłód dnia. Bezlistne drzewa otaczające parking odcinają się czernią od niemal białego nieba.

– Caymen! – woła Xander. – Zaczekaj. Proszę.

Zatrzymuję się na pożółkłym trawniku i odwracam do niego.

– O co chodzi?

– Prawie zapomniałem, jaką niepewność może wzbudzić w człowieku twoje spojrzenie.

Czekam, żeby wyjaśnił, dlaczego tu przyszedł.

– Okej, przypuszczam, że to ja powinienem zacząć. – Bierze głęboki wdech.  
– Bo to ja stoję w obliczu klęski. To ja postawiłem wszystko na jedną kartę, choć wiedziałem, że mogę przegrać. I jestem przerażony.

Mocno przełykam ślinę, broniąc się przed odruchem nakazującym mi go pocieszyć.

– Ale jak powiedziałaś, kto nie ryzykuje, ten nic nie ma. – Patrzy na trawę, a potem podnosi wzrok, prawie jakby przygotował mowę i właśnie zaczynał ją wygłaszać. – Ogromnie cię przepraszam. Za tamten wieczór. Za bal dobroczynny. Zrobiłem z siebie durnia. Nie wiedziałem, że nie znasz swoich dziadków. I jeszcze to, co Robert powiedział...



– Robert? – Przywołanie tamtego wieczoru i Roberta mnie szokuje. W natłoku wszystkich spraw, które potem nastąpiły, całkiem o nim zapomniałam. – Ja nie... Mnie i Masona nic nie łączyło...

– Wiem. Skye wszystko mi wyjaśniła. Wtedy mnie to zaskoczyło i myślałem, że to dlatego uciekasz. Że czujesz się winna. A Robert to palant. Nie wiem, jak mogłem mu nawet przez moment uwierzyć. Powinienem być pobiec za tobą, upewnić się, że wszystko okej. Że między nami wszystko okej.

Fakt. Robert to palant. Xander przygląda się swoim dłoniom, potem podnosi je, żeby przeczesać palcami włosy, mniej zadbane niż kiedykolwiek przedtem.

– Rozumiem, że wstrząsnęło tobą spotkanie z dziadkami, bo dotąd wcale ich nie znałaś, ale czemu nie odbierałaś, kiedy dzwoniłem?

– Spotykałaś się ze mną dlatego, że jestem bogata.

– Słucham?

– Zaprzeczaj, ile chcesz, ale nigdy się nie dowiemy, czy to nie miało znaczenia. Bo nie wymażesz już tego z pamięci.

– O twoich dziadkach dowiedziałem się niecały miesiąc temu. Babcia mi powiedziała. Początkowo nie miałem o niczym pojęcia.

– Nie wymażesz tego z pamięci – powtarzam.

– Ale... – Marszczy nos, a potem podłamanym patrzy w niebo.

– Co: ale?

– Nie miej mi za złe, ale... nie jesteś bogata. Widziałem, jak mieszkasz, a kiedy dowiedziałem się o twoich dziadkach, przyszło mi do głowy, że może twoja mama chciała, byś poznała, jak żyją inni ludzie, czy coś w tym stylu, żebyś miała porównanie. Ale gdy pojąłem, że nawet nie znasz Meyersów i że po raz pierwszy zobaczyłaś ich na tym balu, zrozumiałem, Caymen, że nie macie pieniędzy. Jesteś biedna. I nadal mi się podobasz. Bardzo.

Parskam śmiechem, a on się uśmiecha. To, jak mnie podchodzi, świadczy, że jest gotów zakończyć ten temat. Ze mną jest trochę inaczej. Nadal mam pytania.

– Ta twoja kuzynka. Kiedy mówiła o kompleksie Kopciuszka, nie pisałaś nawet słówka.

– Moja kuzynka to rozkapryszony bachor, z którym, jak się przekonałem, nie warto się spierać. Ale masz rację. Tamtego wieczoru wiele rzeczy zrobiłem nie tak. Powinienem stanąć w obronie partnerki brata i ciebie. A Robertowi tak wygarnąć, żeby nie tylko nie wygadywał już nigdy takich rzeczy, ale nawet w ogóle się do mnie nie odzywał. Nie powinienem był pozwolić ci wyjść. Należało odwieźć cię do domu. Chrzanić ten bal dobroczynny.

– Nie chrzani się balów dobroczynnych.

Nagle milknie, całkiem nieruchomieje. Jestem zdezorientowana. Byłam pewna, że zmierza do jakiejś mocnej konkluzji, którą naprawdę chciałabym usłyszeć. Do czegoś, co każe mi powiedzieć: „Jest okej. Miłość wszystko zwycięży”. Zamiast tego posyła mi ten swój uśmiech z przygryzaniem wargi, sprawiający, że omal nie rzucam mu się w ramiona. Po raz pierwszy od tamtego wieczoru, gdy go zostawiłam, czuję, że serce mi nie pęka.

– Co się tak szczerzysz, jakbyś wygrał na loterii?

– Właśnie do głosu doszedł twój sarkazm. Powiedziałaś: „Nie chrzani się balów dobroczynnych”. Sarkastyczna bywasz tylko wtedy, gdy jesteś w dobrym nastroju. A skoro jesteś, niemożliwe, żebyś była na mnie niewyobrażalnie wściekła.

– Na ciebie i na moją mamę. Uważasz więc, że rozpracowałeś schematy mojego sarkazmu?

– Tak.

– Sarkastyczna jestem stale, Xander, niezależnie od nastroju, toteż nie ma sensu sporządzanie jakichś grafików czy czegoś takiego.

Śmieje się radośnie.

– Masz pojęcie, jak bardzo mi ciebie brakowało?

Zamykam oczy i nabieram powietrza. No i padło. Zdanie, po którym pragnę

mu wybaczyć.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem? Jak się dowiedziałeś o mojej mamie? – Wstrzymuję oddech. Odpowiedź na to pytanie wydaje mi się bardzo ważna. Czy postanowił mnie odnaleźć, gdy już dowiedział się o mojej mamie, czy przedtem? Marzę, żeby usłyszeć „przedtem”.

– Kiedy wczoraj zadzwoniłem do waszego sklepu i Skye nie dała mi z tobą porozmawiać...

– Myślałam, że to ona do ciebie zadzwoniła – weszłam mu w słowo.

– Nie, zadzwoniłem do ciebie, ale odebrała Skye i jedyne, czego chciała, to informacja o twoich dziadkach. Błagałem ją, żeby dała mi z tobą porozmawiać, ale się uparła. Pojechałem więc do sklepu, ale był zamknięty. Zdenerwowałem się. Dotąd nie widziałem, żeby był nieczynny w ciągu dnia. Dlatego w poszukiwaniu Skye zajrzałem do tego antykwariatu obok, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Nie zastałem jej, ale właścicielka, tak na marginesie, chyba trochę szurnięta...

– Między nami używamy określenia „ekscentryczna”, ale to też się nadaje.

– W każdym razie powiedziała mi o twojej mamie. Nie była pewna, w którym jest szpitalu, więc zacząłem od miejskiego, a potem przyjechałem tutaj. – Podchodzi o krok bliżej i znów sięga po tę swoją tajną broń, czyli uśmiech. – Możemy się już przytulić? – Chociaż pyta, to nie czeka na odpowiedź, tylko od razu przyciąga mnie do siebie. Nie bronię się, a nawet obejmuję go w pasie. Po twarzy spływają mi bezgłośnie łzy i wreszcie się rozluźniam. Potrzebowałam go.

– Kocham cię – szepczę.

– Co mówiłaś? Nie dosłyszałem.

– Nie przeginaj.

– Ja też cię kocham – odpowiada. Dotyka policzkiem mojego. – I to bardzo.

## Rozdział 41

Odsuwa się pierwszy, choć złapałam w garść jego koszulę na plecach i trzymam mocno.

– I co z twoją mamą? Jest w ciąży?

– Nie.

– To dobrze... Tak?

– Nie. Myślałam egoistycznie. Dziecko byłoby dobrą nowiną. Ta jest okropna. Próbują ustalić, co mamie dolega.

Wsuwa mi za ucho kosmyk włosów i ściera kciukiem łzę z policzka. Ponownie próbuje się wyswobodzić, ale zbyt mocno trzymam go za koszulę. Parska śmiechem i się poddaje, znów oplatając mnie ramionami.

– Rozpracujemy to. Mój tata zna najlepszych lekarzy na świecie i...

Teraz to ja go puszczam i się odsuwam.

– Nie. Rozwiązanie tego problemu to nie twoja sprawa. Ostatnie, czego potrzebuję, to żeby twoi rodzice pomyśleli sobie, że zaczęłam z tobą kręcić z powodu choroby mamy i tego, że potrzebowałam waszej pomocy. Vivian i Sean trzymają rękę na pulsie i wszystko się ułoży – zapewniam go, choć jeszcze nie wiem, czy sama w to wierzę.

– To co mogę zrobić? Twoi dziadkowie mają się gdzie zatrzymać? W końcu jestem z branży zapewniającej ludziom nocleg na noc lub dwie...

Uśmiecham się.

– Jesteście może głodni? Kiedy ostatnio jadłaś? Może przywiozę wam wszystkim coś do jedzenia?

Chwytam go za rękę.

– Xander.

– Słucham?

– Zostań, proszę. Czy dopóki lekarz nie wyjdzie... zostaniesz... tu ze mną?

– Oczywiście. – Ściska mi dłoń i wchodzimy razem do szpitala.

Sean na nasz widok unosi brew, myśląc zapewne: „Chyba wspólnie uzgodniliśmy, że ten chłopiec jest za ładny?”.

– Lekarz już tu był? – pytam.

– Nie.

– Tak przy okazji, to Xander – mówię, lekko podnosząc jego rękę. – A to państwo Meyersowie... Choć zapewne poznaliście się już na balu.

Spojrzenie Seana wędruje od Xandra do mnie i z powrotem, tak jakby powstrzymywał się od udzielenia mi jakiegoś dziadkowego upomnienia. Zastanawiam się, czy trudno mu przychodzi zachowanie swojej opinii tylko dla siebie. Możliwe, że w ciągu ostatnich dwudziestu lat nauczył się czegoś na temat nastolatków. Kiedy mama z nim mieszkała, najwyraźniej nie miał pojęcia, jak z nimi postępować.

W końcu odzywa się Vivian.

– Xander, my znamy Caymen od niedawna, ale ty chyba będziesz umiał się o nią zatroszczyć.

– Oczywiście, proszę pani.

– Caymen – mówi dziadek, biorąc Vivian za rękę. – Pójdę nakarmić tę oto damę. Potrzebujesz czegoś?

– Nie, dzięki. – Znajduję sobie krzesło w kącie, a Xander siada obok mnie. Telewizor wiszący w innym rogu sali podaje wiadomości zbyt cicho, żeby to do nas docierało.

Vivian i Sean wychodzą razem. Przyglądam im się. Jak to możliwe, że niedawno miałam tylko mamę, a teraz tak troszczy się o mnie aż troje ludzi?

Przeszywa mnie strach. A jeśli to boskie zrządzenie i chodzi o to, bym nie została sama, gdy coś przytrafi się mojej mamie? Patrę w sufit. Nadal potrzebuję mamy, mówię w myślach. Proszę, nie odbieraj mi jej.

– Caymen? – Xander chwyta mnie za rękę. – Dobrze się czujesz?

– Po prostu się boję.

– Wiem. Ja też. – Rozprostowuje nogi, opierając się głową o ścianę.

Podnosi moją dłoń do ust i już nie opuszcza.

Opieram głowę na jego ramieniu.

– Okej, zatem praca detektywa odpada. Choć muszę przyznać, że masz o wiele lepiej ode mnie rozwinięty zmysł obserwacyjny.

– Tylko w warunkach wymuszonej obserwacji.

Przesuwam palcem po żyłę na jego przedramieniu.

– A może wytwórnia nagrań? Henry wielbiłby cię po wsze czasy.

Uśmiecha się.

– Fajnie by było, ale wytwórnia nagrań wymaga pieniędzy. O ile opinia kompletnego muzycznego laika jest coś warta, uważam, że Zrzedliwe Ropuchy są naprawdę niezłe. Poradzą sobie... Ale można by z nimi pogadać o tym ich logo. Kto to coś zaprojektował?

– Fakt. Jest straszne. Ale może tak okropne, że aż dobre?

Krzywi się.

– Nie jestem przekonany.

– Okej, czyli koniec z wytwórnią nagrań. To nas sprowadza znów do planów związanych z gastronomią. Uwielbiasz jeść.

– Owszem.

– Wkurzysz się, jeśli coś powiem?

– Czemu miałbym się wkurzyć?

– Bo może ci się to nie spodobać.

Wzdycha.

– Okej, powiedz.

– Wydaje mi się, że twój tata może mieć co do ciebie rację. Według mnie jesteś człowiekiem o wielu talentach. I kimś zdolnym mierzyć się z wieloma problemami jednocześnie. Do tego cechuje cię ten uroczy spokój. Może więc twoją przyszłością jest hotelarstwo. Dobrze do ciebie pasuje. – Wstrzymuję oddech, oczekując, że Xander zacznie się bronić i powie mi, że nie znam go tak dobrze, jak on mnie.

Jego barki podnoszą się, a potem opadają.

– Masz rację. Nie spodobało mi się.

– Przykro mi.

– Ale może masz rację. Za bardzo przejmuję się hotelami jak na człowieka, którego podobno wcale one nie obchodzą.

– Caymen.

Gwałtownie odwracam głowę w stronę nowego głosu w pomieszczeniu i momentalnie się podrywam, bo widzę, że to lekarz.

– Tak? Jak się czuje mama?

– Badanie przebiegło bez problemów. Potwierdziło to, czego się spodziewałem. Twoja mama ma wrzody żołądka, które krwawią.

– Co to oznacza? Bo brzmi poważnie.

– I jest poważne. Dobrze, że to wykryliśmy. To uleczalna dolegliwość, ale będzie wymagać długotrwałej rekonwalescencji. W środowisku wolnym od stresów.

– Na pewno. – Może będzie musiała odpocząć od sklepu z lalkami. Nabieram tchu. – Mogę się z nią zobaczyć?

– Tak. Poprosiła o to, gdy tylko się ocknęła.

Lekarz odwraca się, a ja ruszam za nim. Oglądam się, bo Xander nie idzie w moje ślady.

– Zaczekam tutaj – mówi. – Przekażę to wszystkim twoim dziadkom, kiedy

wrócą.

– Nie. Proszę, chodź ze mną. Mama będzie chciała cię zobaczyć. – Kiedy opowiedziałam jej, co zaszło na balu między mną a Xandrem, wydawała się zbyt smutna jak na osobę, która za nim nie przepada. Wtedy nie miałam do powiedzenia nic, co mogłoby ją pocieszyć, teraz jednak mam nadzieję, że uszczęśliwi ją, że jesteśmy razem.

– Caymen, mną się nie przejmuj.

Zawracam, łapię go za rękę i ciągnę za sobą.

– Nie chodzi o ciebie.

Śmieje się.

\* \* \*

Do pokoju wchodzę sama, Xandrowi każę poczekać na korytarzu. Mama wyciąga do mnie rękę, siadam przy jej łóżku.

– Mam wrażenie, że dołożyłam ci stresów.

– Nie ty, tylko twój żołądek.

– Przepraszam.

– Nie ma sprawy. Szkoda tylko, że bardziej mnie nie wtajemniczałaś. Mogłabym ci przecież pomóc.

Śmieje się bez przekonania.

– Bardziej? Caymen, dawałaś z siebie więcej, niż miałam prawo prosić.

Przyglądam się igle od kroplówki tkwiącej w jej ramieniu. Otacza ją siniak.

– Sklep ma...

– Poważne kłopoty? Tak, wiem.

– Pracuję nad alternatywnym rozwiązaniem. Możliwe, że okaże się nim sprzedaż przez internet. Ale odpowiedzialność za nią, Caymen, spocznie na mnie. Nie na tobie. Wyobrażałam sobie, że kiedyś przekażę ci sklep, ale chyba aż tak bardzo cię to nie pasjonuje?



Śmieję się, a potem opieram czoło o łóżko, tuż obok niej.

– Staralam się tak tylko dlatego, że wiedziałam, jaki jest dla ciebie ważny.

Głaszcz mnie po głowie.

– Niezwykła z ciebie córka. Mnóstwo rzeczy robisz tylko ze względu na mnie, prawda?

– Tak to już jest w rodzinie.

– Caymen, jeśli chcesz się z nim spotkać, masz do tego prawo.

Patrzę jej w oczy.

– Słucham? O kogo ci chodzi?

– O twojego ojca. Sama zdecyduj. Mnie tym nie urazisz.

Kiwam głową. Jeśli chodzi o ojca, jeszcze nie jestem pewna, czego chcę, ale dobrze wiedzieć, że wybór należy do mnie.

– Skoro więc sklep z lalkami nie jest spełnieniem twoich marzeń, to co takiego?

– Studia. Nauki przyrodnicze.

– Wspaniale.

– Jest tutaj Xander. Na korytarzu.

– Wiedziałaś, że wróci. Czy ktoś umiałby tak długo wytrzymać bez ciebie? Zawołaj go. Będą przeprosiny.

Uśmiecham się. Mocny uścisk mamy przypomina mi, jaka jest silna. Rewanżuję się jej, a potem wychodzę na korytarz.

– Lepiej się czuje?

Przyciągam do siebie Xandra, wtulając twarz w jego szyję.

– Skąd we mnie tyle szczęścia, skoro moja mama leży w szpitalu, a sklep jest w tarapatach?

– Bo wiesz, że wszystko się ułoży. To jak cisza po burzy. Wszystko się uspokoiło i choć żywioł pozostawił po sobie ślady, wiesz, że najgorsze już za

tobą.

– Niezłe porównanie.

– Dzięki.

– Jesteś gotów na poburзовą pogawędkę z moją mamą?

– Z jakiejś przyczyny mniej we mnie pewności siebie niż przy pierwszym spotkaniu z nią.

– Dasz sobie radę. Przecież wszystkie mamy cię lubią, pamiętasz?

Ugina nogi w kolanach, obejmuje mnie w pasie, a potem prostuje się, podnosząc mnie tak, że tylko palcami stóp dotykam płytek podłogi.

– Dopóki kocha mnie jej córka, nie ma na mnie mocnych.

– Nawet jeśli chodzi o drom, bo po tym wszystkim pojedziemy do ciebie obejrzeć *Lśnienie*.

– Czy to naprawdę dobry pomysł, skoro mam wiązać przyszłość z hotelarstwem? – Czuję policzkiem, że się uśmiecha.

– Bez obaw, zawsze możesz zakryć sobie oczy. Nie wyśmieję tego... aż tak bardzo.